

PIOTR GUZY

KRÓTKI ŻYWOT  
BOHATERA POZYTYWNEGO

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1982

KW 44.423

II 1.880.735 Clu

II 1.985.320 (A) Clu



**KRÓTKI ŻYWOT  
BOHATERA POZYTYWNEGO**

BIBLIOTEKA « KULTURY »  
TOM 351

Wydanie drugie foto-offsetowe

ISBN 2 - 7168 - 0005 - 7  
IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par MAISONS-LAFFITTE (Yvelines)

PIOTR GUZY

**KRÓTKI ŻYWOT  
BOHATERA POZYTYWNEGO**

(Powieść)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1982

© Copyright by Piotr Guzy, 1966.

---

© Copyright pour la langue polonaise by  
INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L., 1966

*Dawniej  
bardzo bardzo dawno  
bywało solidne dno  
na które mógł się stoczyć  
człowiek*

---

*człowiek współczesny  
spada we wszystkich kierunkach  
równocześnie  
w dół w górę na boki  
na kształt róży wiatrów*

Tadeusz Różewicz: „Spadanie”.



To jest niepokojące, po co właściwie Hibisz, taka szyszka, wzywa mnie do siebie? czego ode mnie chce? nie mógł powiedzieć wprost przez telefon? to nie wróży nic dobrego, ja mam wycucie w tych sprawach, gdyby było inaczej, nie byłby taki zagadkowy, jasne, powiedziałby od razu sprawy się mają tak i tak, należy przedsięwziąć to i to, zamiast tych paru słów, które co oznaczają? nic, ale za to dużo dają do myślenia, niepokojące, na pewno, bardzo niepokojące, mówił tak, jakby się posługiwał jakimś kodem, tylko że ja nie posiadam do niego klucza i ani rusz nie mogę go rozszyfrować, przecież, nie, to jest nonsens, nie podejrzewam go żeby mi chciał celowo napędzić strachu, jaki miałby w tym interes? no, jaki? sprawa jest prosta, mówił przez telefon, więc musiał być ostrożny, ostrożność nie zawadzi, nawet w jego przypadku, ale czego miałby się obawiać? Hibisz? przecież to nie byle kto, jego pozycja w KC jest mocna, może nie? tyle lat ją sobie wyrabiał, nie wychylał się, no tak, łatwo powiedzieć mocna, diabeł nie śpi, każdemu któregoś dnia cegła może spaść na głowę, nie ma wyjątków, żadnych, coś musiało się stać, nie byłby ryzykował takiego telefonu, bo nawet jeśli się wyrażał tak enigmatycznie, zawsze pewne ryzyko, mogą podsłuchiwać, dlaczego miałby się dla mnie narażać? z wdzięczności? niby dlaczego nie? nie wszyscy się jeszcze ześwinili do końca. — *Dziecino, bardzo cię proszę, dobrze? Nie mów mi, że cała ta zabawa może się dla mnie źle skończyć, sam o tym doskonale wiem, nie trzeba mi ciągle przypominać.* — Inny koniec jest mało prawdopodobny, nie ma co, utną mi łeb jak amen w pacierzu,



dzisiaj wszystko stanęło na głowie, świat dostał kręćka, człowiek przestał się w czymkolwiek rozeznawać, co jest? dlaczego? same pytania, żadnych odpowiedzi, od dawna czuję jak gromadzi się wokół mnie ten jakiś smród, ale źródło, jakie jego źródło? wchodzę do pokoju, ludzie na mój widok obniżają głosy, milkną, elektryczność w powietrzu, uwaga! wysokie napięcie! nic nie rozumiem, albo te ich oczy, nikt nie spojrzy mi prosto w twarz, a jeśli się zdarzy, ale to już bardzo rzadko, pilnują się, dranie, że złapię kogoś jak z boku na mnie łypie, momentalnie ucieka wzrokiem na stronę, w sufit, w okno, w własne paznokcie, gdzie się da, jednym słowem panika, jakbym go był zdybał na, no bo ja wiem, na czymś brzydkim, co jest? albo dzisiaj na akademii, nawet do stołu prezydyjnego nie zaprosili, nikt nie podszedł, nie raczył podejść, nie przywitał się, jakby mnie w ogóle nie zauważono, jakby mnie tam wcale nie było, cóż to, ja trędowaty? ale spokojna wasza głowa, dziateczki, jeszcze się z tego wywinę, wtedy się porachujemy, nie wywinę się? tylko Hibiszowi pokażę te papiery, oko mu zbieleje, chyba nikt nie widział jak je wyciągałem z archiwum, nie, wszelkie środki ostrożności, zresztą, nawet gdyby widział, wielka rzecz! czy mi nie wolno? mnie? kierownikowi wydziału bezpieczeństwa? jak mnie zdejmą z funkcji, jeśli, jeśli mnie zdejmą z funkcji, to co innego, ale na to przyjdzie jeszcze poczekać; mam nadzieję. — *Towarzyszu, to nie są byle świstki papieru! Popatrzcie kto to podpisywał — Co mi tu będziecie wymachiwać* jakimiś papierzyskami? Czy wyście się urwali z księżyca? A co to kogo dzisiaj obchodzi czyj tam widnieje podpis? To było pięć, dziesięć lat temu, to się dzisiaj nie liczy, nieważne, co było a nie jest, ponimajecie? Zresztą, co to jest instrukcja? To są słowa, tylko słowa, towarzyszu Ostuda, wy zaś od tego macie rozum, żeby je właściwie interpretować. Nigdzie nie było powiedziane, że tego lub owego należy powiesić, rozwalić w garażu albo zwyczajnie zgnoić w areszcie śledczym. Było powiedziane? No więc? Wy się nie zaśnaniajcie cudzymi nazwiskami. Świstek papieru dziś jest, jutro nie ma, a poza tym, nie bądźmy naiwni, czy to tak trudno udowodnić, że podpis sfałszowany? Dajcie sobie spokój z tymi papierami. Was dzisiaj powinno obchodzić tylko jedno, czy wy, towarzyszu, czy wy macie czyste ręce, a nie kto i jakie gdzieś tam podpisywał instrukcje. — No tak, jeśli w ten sposób stawia się sprawę — A jak można inaczej? — *Zmierzch, o tej porze*

roku już wcześniej, jesień, na polach ogniska, trzeba będzie któregoś dnia wyjść za miasto, cholera, ręce mi drżą, mam rozpalone policzki, a kto mi kazał zeznawać przeciwko Srokoszowi? zaprą się, wszystkiego się zaprą, dla nich zawsze znajdzie się jakieś wyjście, ogniska i dym wlecze się nisko nad ziemią, kartofle pieczone, ach, końcem patyka wyterlać taki z popiołu, chwycić w palce, przerzucac z ręki do ręki, chuchać, aż się na tyle ochłodzi żeby, już i ciemno, żeby można było nie myśleć, albo spać, zapaść się w długi sen, potem człowiek się budzi i okazuje się, że to wszystko była mara senna — *Towarzyszu Hibisz, czy to oznacza, że już wydano nakaz aresztowania mnie?* — Nie będę zapalał światła, może się zdrzemnę, mam jeszcze dość czasu do pociągu, gdybym był został w Jagoduszkach, tam na pewno też kolchoz założyli, oni wszędzie, bez żadnego patyczkowania się, jednomyślnie, czy są jakie sprzeczwy? no więc! no to co? to też jest życie, nie? zresztą prędzej czy później i tak bym trafił do aparatu partyjnego, do niczego innego się nie nadaję, urodzony do tego, skórka jest najlepsza, zwłaszcza jeśli lekko przypalona, ze śledziem solonym, tłuszcz ściekający po palcach — *Przypomnijcie sobie, towarzyszu Hibisz, przecież nie chciałem składać przeciwko niemu żadnych zeznań. Mówiliście, że trzeba, że Partia tego wymaga, że jako dobry towarzysz partyjny, nie mówiliście tak? Powiedzcie, nie mówiliście?* — Ktoś tam, chyba Basiula, do łazienki, Basiula, na pewno, matka jeszcze w kościele, byłbym słyzał jak wraca, chyba że dziś nie poszła, siedzi u siebie, siedzi? klęczy i modli się, stara ropucha, u siebie w pokoju, dziś tak wszyscy, tylko by się modlili, taki naród, klepią pacierze, biją się w piersi, przebierają palcami ziarenka różańca, taki szał, orgia pobożności, co za naród! a przy tym wszystkim żrą się, o byle gównu skaczą sobie z pazurami do oczu, jeden drugiego gotów by utopić w łyżce wody, no i to pijaństwo, chleją o każdej porze dnia i nocy, w domu, na ulicy, w fabryce, w biurze, potem leżą pijani na chodnikach, na schodach, po bramach kamienic, w rynsztokach, pierdolą się, to przede wszystkim, gdzie się da, wszystko jedno z kim, na skwerach, w rowach, po zarzyganych bramach kamienic, w parku miejskim, dyszą wstrętnie, pocą się, obłapują, błędzą rękami po pośladkach, grzebią jedno drugiemu w kroczu, pakują sobie wzajemnie języki do ust, i okłamują się, ach, jak się okłamują, potem te drgawki, to potrząsanie zadkiem, pajace, ten zapasek obrzydliwy starzyny, pleśni,

gnicia, miłuj bliźniego, na samą myśl można się porzygać. — *Ile razy mam powtarzać, że te krzaki mają być wycięte? Do czego to podobne? Jak króliki! Jak psy! Wszystko tam się rusza, szeleści, skrzypi, aż ziemia cała od tego chodzi. Jak długo można tolerować, żeby taka rozpusta odbywała się na oczach całego miasta? Jeśli do jutra te krzaki nie zostaną* — Dlaczego siedzisz po ciemku? — A dlaczego nie miałbym, zresztą, zaraz, przecież jeszcze nie tak późno, oj po co przekręca kontakt? no, po co przekręciła? jak ja tego nie lubię jak ktoś tak nagle, jakby mi w oczy sypnął garścią piachu, teraz te tysiące świecących punkcików, te wirujące kręgi, tak bez żadnego ostrzeżenia zapala światło w pokoju kiedy człowiek już się przyzwyczaił do ciemności, jakiś głupi przesąd, niby dlaczego nie powinno się siedzieć po ciemku? — Kochanie, poraziłam ci oczy. — Teraz zatroskana! poraziłam ci oczy! nie trzeba było przekręcać światła, hm, już znowu się łąsi, wzięła gorącą kąpiel, jakieś nowe perfumy, przyjemne, kto jej je kupił? teraz jej pieszczot potrzeba, naga. — Już dobrze? Już nie boli? Basiuła dotknie oczu swoimi paluszkami i już jest dobrze, prawda? Masz jeszcze dwie godziny do pociągu, Karolku, chodź, tak mi się chce kochać. — Zrzuciła szlafrok i spróbuj teraz jej się oprzeć jak ci sterczą przed oczami te jej sztywne sutki, ona jednak ma śliczne piersi, i nogi, i w ogóle, trupa by ożywiła. — Pocałuj cię w pępek. No nie uciekaj! Nie bądź taka łechtliwa! — *Co za radość! A już myślałem, że państwo nie przyjdziecie.* — *Stoberski pomaga Basiuli zdjąć palto, a jak to gorliwie robi, ho! ho! łapie nas pod rękę, trzyma, już mu się nie wyslizniesz, tak mocno trzyma, boi się że mu jeszcze uciekniemy? i ciągnie do towarzystwa, a nazbierał tego, no, wcale, wcale, ze dwadzieścia parę osób, kobiety, mężczyźni, tak mniej więcej po połowie, żeby każdy chłop miał swoją babkę, albo odwrotnie, popatrzmy więc, rozmieścił to wszystko w dwóch pokojach, bardzo dobrze, przedzielone korytarzem, to on ma także duże mieszkanie? aha, tu jest adapter, tańczą? owszem, kilka par, znajomi, przynajmniej z widzenia, ano niech tańczą, chwileczkę, a tamci dwoje na tapczanie, co oni? już się migdała? ładne nogi, no nic, później, na razie wejdziemy sobie do tego tu na prawo, bo tu, jeśli mnie mój wąż nie myli, tak, oczywiście, tu odbywa się główne pijaństwo, to coś bardziej na mój gust, chłop zna się na rzeczy, kto by pomyślał, taki buc, ale bufet, jak widzę, dobrze zaopatrzone.* — Dla białogłowy cherry

brandy, proszę mnie skorygować jeśli źle mówię, a dla ciebie czysta, dobrze mówię? Już ja wiem co kto lubi. Zobaczysz, co tu się będzie działo! Jak Stoberski robi ubaw, to hi! hi! — Idiota! jak mogli takiego zrobić wiceprzewodniczącym Rady Narodowej? przechodzi ludzkie wyobrażenie, facet, który tak się śmieje, hi! hi! pedał w dodatku, tak przynajmniej mówią, ja tam nie wiem, mało mnie to, mnie prywatne życie ludzi nic nie obchodzi, jego sprawa, jego nieszczęście, zgoda, ale jak się faceta stawia na eksponowanym stanowisku, przecież tak nie można, jakieś poczucie odpowiedzialności jednak, tak tych spraw całkiem milczeniem pominąć, bo jakżeż to? trzeba się z nim stuknąć. — To my go cyk, Karolku! — Bracie, już jabym cię cyknął, działacz nowego typu, byś się nie pozbierał! tacy teraz coraz częściej dochodzą do głosu, krzykliwi, wulgarni, pazerni, ładne słowo, na tani schlebiający poklask, chleba i cyrku! wszczęć w ich obecności rozmowę o ideologii to wręcz popełnić towarzyski nietakt, schodzimy na psy, zresztą, cóż to, nie mówiłem? nie od dawna kraczę? ech, ty bucu! jego szczęście, że przez wszystkie te lata nigdy mi nie wlaźł w paradę, już jabym go! przyczał się, cwaniak, cicho, sza! kto o nim słyszał przedtem? i czekał okazji, i doczekał się, cholera, albo ma chody, pewnie ma chody, trzeba się było wcześniej nim zainteresować, teraz za późno. „Małeńka moja, ty jesteś moją wiosną — Dla ciebie zimą kwiaty na szybach rosną”. Basiuła to lubi, melodia, nie, raczej rytm jej się podoba, prawdopodobnie i jedno i drugie, już ją sobie mruczy pod nosem, za kim tak się rozgląda? i biodrami kołysze do rytmu, nie powinna, jak kobieta ma taką figurę jak ona, to nie powinna, to jest czysta prowokacja, to jest celowe, to jest świadome wyuzdanie, jeszcze jak się tak demonstracyjnie obnosi z tymi na pół odsłoniętymi piersiami, czy można nie wyłupiać na nią gałków? a mówiłem, prosiłem, żeby inną suknię, nie! tylko tę, celowo, oczywiście, jej to przyjemność sprawia, świadomość że u nich wszystkich, zaraz zaczną jęzory wywalać na wierzch, ziając jak zgraja psów w płciowej gorączce, upaja się tym, cholera, bezceństwo, podnieca, któż to taki? nie tutejszy chyba, świetnie skrojone ubranie, w dodatku w mojej obecności! musi być znajomy Stoberskiego. — Dobrze, że przyszedłeś, Sławku. Basiuła pozwól bliżej, Karolku, musicie poznać mojego przyjaciela. Pan Światosław Wygaj, państwo Ostudowie. Prawda, jaki miły? Kochany człowiek!

Literat! „Litwo, ojczyzna moja, ty jesteś jak zdrowie!” — Głupiec, który się śmieje z byle, żeby przynajmniej zachował trochę powagi, z czego się śmiejesz, idioto? policzki mu się trzęsą, co za obleśna twarz, a ręce, pulchne to takie, jakby z wyrośniętego ciasta, pedał, nie ulega wątpliwości. — Kochany człowiek, zgodzicie się ze mną, prawda? — No nie! co on teraz? będzie go całował? w czoło, te grube wywinęte do przodu wargi połyskujące śliną, skóra cierpnie na sam widok, pedał, głowę dam, tylko z kim on tu? z tym Wygajem? ejże, coś mi on nie wygląda na, zresztą sam się wzdrygnął gdy go ten bałwan dotknął wargami, więc z kim? warto by poniuchać. — Mój przyjaciel. Mieszka ze mną przez sień. Pół roku temu wrócił z Paryża. Czytaliście jego reportaże w prasie stołecznej? — To jest bałwan, jak Boga kocham, ze świecą takiego, bo on czytał, on od rana do wieczora nic innego nie robi tylko prasę stołeczną czyta, erudyta! gdzie nam się z nim równać? z takim intelektem! czytaliście jego reportaże? — Co pana skłoniło do zamieszkania w naszej prowincjonalnej mieścinie, panie Światosławie? Pan taki światowy człowiek, a u nas przecież nic ciekawego się nie dzieje, nie wyobraża pan sobie jaka tu nuda. — Stało się, zagięła na niego parol, teraz będzie przewracać do niego oczami, prężyć przed nim te swoje wyzywające piersi, czarować go, aż sam jej się pod nóż podłoży, zresztą on też nie od tego żeby, już ja rozpoznaję te wszystkie symptomy, już po licytacji, teraz tylko rozegrać partię do końca. Chryste Panie, po co ja się z nią żeniłem? — Sławek zamierza napisać powieść z życia prowincji. Mój drogi, musisz koniecznie porozmawiać z Karolkiem. Żywa kronika miasta! Pamiętam jak tu przyjechał na gaziku razem z radzieckim komendantem miasta, jak mu było? Dawidow? wprowadzać władzę ludową. Wtedy to była taka profesja, wprowadzanie władzy ludowej. Miałem kumpla, bardzo sobie chwalił to zajęcie, tylko cóż z tego, długo nie pociągnął, śmiertelność w tym zawodzie raczej duża, aresztowali i posłali do szlachtuza. Nie ty, Karolku, nie ty! To było pod Wałbrzychem. Dlaczego się państwo śmiejecie? Zapewniam was, że dla mojego kumpla to wcale nie było takie zabawne. Karolek mógłby wiele o tym opowiedzieć. Można dalej? Pamiętam jak przemawiał z trybuny na rynku. „Obywatele! Klaso robotnicza! Przynosimy wam wolność!” We wszystkich kościołach kazał bić w dzwony, a księdza za kark i na rynek. Na końcu masówki zaintonował „Boże coś Polskę”, a ksiądz pro-

boszcz kropił wodą święconą i błogosławił. Wzruszenie chwyciło za gardło, łyzy cisnęły się do oczu. Bóg i Ojczyzna, czerwona wprawdzie, no, ale zawsze ojczyzna, matka nasza najukochańsza. Zresztą, szczerze mówiąc, tak między nami, darowanemu koniowi w zęby się nie zagłada, czy nie dobrze mówię? Spokój, proszę państwa! Tego samego dnia wieczorem był zamach na Karolka. Kto strzelał? Czarna reakcja strzelała zza węgła. Tak się wtedy mówiło, czarna reakcja, plugawe pacholki rekinów finansowych z Wall Street, zaplute karły imperializmu, tym podobne określenia, które obecnie z jakichś niezrozumiałych względów wyszły z użycia. Znowu się państwo śmiejecie. Nie można od was żądać chwili powagi, zwłaszcza przy tak poważnym temacie? Taaak, łyza kręci się w oku, byli czasy, Karolku, co? — Jak takiego nie bić po pysku? poczekaj, ty synu taki owaki, pluć w rękę i bić po pysku! będziesz ty się naigrawał z Władzy Ludowej! szczury! tylko by gryźli, kąsali, dopaść jednego z drugim, złapać za gardło, ale nie wolno, nie te czasy, liberalizacja, psiakrew, czuję że się dziś urznę, gdzie on ma tę wódkę? zaprawię się, ten idiota znowu się śmieje, z czego tak? ktoś jakiś kawał powiedział, już ja znam te ich kawały, niby to zupełnie sobie niewinne, ale, znam, znam, nie mnie w butelkę nabijać, całe bractwo ryczy, cóż ich obchodzi, że ja jestem obecny? ja, przedstawiciel Władzy Ludowej! gównu ich to obchodzi, ja już się nie liczę, teraz przy nas wszystko można, śmiech to zdrowie, właśnie, więc śmiejmy się, kpijmy sobie z Polski Ludowej, ba! to dziś nawet do dobrego tonu należy, psiakrew, a nie ostrzegałem? nie ostrzegałem? Basiula też, jak jej nie wstyd, ten jej śmiech taki zachrypnięty, zaprawiony seksem, przecież to jest jak zaproszenie do łóżka, czy ona sobie z tego nie zdaje sprawy? już ona dobrze, jak potem się dziwi, że zaraz by ją chcieli, ale to celowo tak, podnieca ją, dodaje rumieńca życiu, bo tu taka nuda panuje wszechwładnie, ach, jaka nuda, panie Światosławie, kto chce, może mi bezkarnie rogi przyprawiać, potem się śmieją ze mnie na ulicy, po domach, co ja jestem? gównu? — *Tak, dziecino, nie zaprzeczaj, ja się w twoich oczach już zupełnie nie liczę, całe twoje postępowanie tego dowodzi. Po prostu wykorzystujesz w sposób zupełnie bezceremonialny moją cierpliwość, moją dobroć. Ale nie bądź znowu zbyt pewna siebie, to się kiedyś przecież skończy, zobaczysz! Nie obrażasz sobie chyba, żebym ja tak to znosił i nic* — Dobra wódka, to jedno mi jeszcze pozostało, ciekawym jakie są

te kanapki, spróbujemy, lepiej nie słuchać, nie patrzeć, po co sobie nerwy targać, trzeba się oszczędzać, przejdę do drugiego pokoju, jeszcze jedną z ogórkiem, ze śledzikiem, dwie wezmę ze śledzikiem, co mam sobie żałować, i kieli-szek sobie napełnię, może wziąć całą butelkę? co? nie wy-pada? a może? nie, lepiej nie, ostatecznie ma się jednak trochę tej ogłady towarzyskiej. — *No nie uciekaj! Nie bądź taka łechliwa!* — *Ach, Karolku!* — *Cóż to jednak za ciało, wspaniały brzuch, jedno dziecko, ale nawet ani śladu ja-kiejkolwiek zmarszczki, gładki, prężny, jak wtedy gdym ją po raz pierwszy zobaczył naga, bardzo ważna rzecz u ko-biety, pośladki, za mało się o nich w poezji, owszem, oczy, policzki, wargi, o pośladkach nikt.* — *Miło tak cię pieścić, Basiuła, policzkiem się przytulić, wargami muskać brzuszek.* — *Też to lubi, zwłaszcza tak się podrażnić ze mną, znowu mi ucieka, no nie uciekaj! chce żeby podziwiać piersi, no, ładne, ładne, podziwiam, co jeszcze mam podziwiać? gdzie ona się nauczyła tych wszystkich sztuczek? ot, pytanie, bo przecież już wówczas gdy pierwszy raz, inna rzecz, że takie wyuzdanie jest urocze, nie, wcale nie, w trybie warunko-wym, mogłoby być urocze gdybyśmy byli jak inne małżeń-stwa, gdyby ona wiedziała jaki czasami wstręt mnie ogarnia kiedy ją dotykam, ale tak działa na zmysły — Masz, całuj! Całuj!* — *Wolne krzesło? a, dziękuję, w sam raz dla mnie, niech tamci mielią językami, zresztą mało mnie to, tu o wiele przyjemniej,* „Ja wiem, że ty mnie jeszcze poko-chasz”, można patrzeć jak tańczą, bawią się, nastrój tro-chę jak w burdelu, to mi się podoba, taki półmrok, chyba nawet nie pięćdziesiątka, a jeszcze abażur nakryty kawał-kiem czerwonego jedwabiu, cholera, człowiek całe życie przeżyje i nigdy nawet nogi nie postawił w burdelu, gdyby tak dostać wyjazd za granicę, do Francji, Włoch, nie dadzą, nie w tym resorcie, najwyżej do Związku Radzieckiego, nie, dziękuję, już byłem, zresztą tam też, zdaje się, gdzieś czy-tałem, burdele oficjalnie zostały zniesione, cały świat robi się coraz bardziej zakłamanym, para migdali się na tapczanie, to chyba ta sama, taka sobie ludowa wersja burdelu, ale się facet do niej zapalił, gdzież jej tam pcha tę rękę, potem przez tydzień będzie chodził ze spuchniętymi jaj-kami, a ona, nie, to jest niewiarogodne, ona mu, fantas-tyczne, tak przy ludziach, widocznie normalna tutaj rzecz, albo ci co się całują w tańcu, mój drogi, to nie taniec, oni się onanizują, jasne, nie widzisz? obłapili się i stoją w miejscu, usta zlepione i tylko do rytmu trą się o siebie.



— „I tak, szanowny towarzyszu redaktorze, w ramach zobowiązań dla uczczenia Rewolucji Październikowej, sposobem gospodarskim urządziliśmy u siebie burdel. Zaoszczędziliśmy tą drogą naszemu kochanemu Państwu Ludowemu poważne sumy oraz uaktywniliśmy szerokie kręgi społeczeństwa, które poprzednio stroniły od życia społecznego”. — Zwariował facet, akurat teraz gdy sytuacja zaczęła być naprawdę ciekawa, odsuń się, dziadu kalwaryjski, cały widok mi zasłonił, to zdaje się stary Mioduszewski, tak, ojciec szklarz, czy co? też pomysł tak się przysiądać, stary zbereźnik, nie rozumiem jak można mu było zwracać restaurację, jeszcze ulgi podatkowe dostanie, wiadomo, Stoberski dopilnuje, przysługują mu przecież, znowu będzie wielka figura, wstąpi do Stronnictwa Demokratycznego, zrobią go radnym miejskim, dziś byle szuja skrzydła prostej i przysposabia się do lotu, wiatry przychylne, prawdopodobnie już wstąpił, wkrótce mijając mnie na ulicy będzie czekał, aż mu się pierwszy ukłonię, będzie sobie mógł czekać do usranej śmierci, już się z nimi spiknął, czego im przeszkadza? zazdrości im, że on już nie może? wice im opowiada, też sobie wybrał czas, żeby, ależ wierzgnęła nogami, co za skóra, i te figi, bielutkie, ślicznie utuczone ciało, można oszaleć jak się coś podobnego zobaczy, mikroskopijne, masz ci, obciągnęła sobie spódniczkę, człowiek by od razu, cnotliwa Zuzanna, ciekawym czy ją znam, twarzy stąd nie dowidzieć, zresztą nieważne, jak się ma takie uda, no już, już, odczep się od nich, stary pryku! odebrać restaurację spółdzielni i oddać w ręce prywaciarza, nie do pojęcia! gdybym ja był w Komitecie Miejskim, przecież to jest publiczne przyznanie się do fiaska, spółdzielnia nie potrafi, więc oddajmy prywatnemu, nie pozwoliłbym, szaleństwo i polityczna ślepotą, do czegoż to doprowadzi? najpierw Mioduszewski, potem kto inny, potem znowu kto inny i tak dalej, wszystko w imię jak najbardziej słusznej, a pewnie, kto by zaprzeczył, zasady uzdrowienia gospodarki, a jakie konsekwencje? przerażające! jak grzyb w domu, nie wiadomo jak i kiedy się zaprószy, dzień za dniem, całe lata, toczy się niedostrzegalny proces nadgryzania, żmudne, niestrudzone wyjadanie wnętrzości, raptem dom się wali, wielka tragedia! dlaczego nie spostrzegliśmy tego na czas? a właśnie! a nie mówiłem? a nie ostrzegałem? a nie krzyczę ciągle, że to prowadzi do zguby? oczywiście, ja, cóż to ja? bimbać sobie na mnie, żenujący spadek po okresie tak zwanych błędów i wypaczeń, jak im nie wstyd przed

durniami głowę popiołem posypywać, z imaginowanych grzechów się spowiadać, zaprzańcy! jak śmiać? sprzedawczyki! czy rewolucja to niańka? przedszkole dla grzecznych dzieci? zdrójcy! nie ma wódki, trzeba było wziąć całą butelkę, a w ogóle to po jaką ja tu cholere, lokomotywa historii, nie czytali Majakowskiego? w ogóle nie trzeba było tu, a niechby sobie poszła sama, tak fiknęła tymi nogami, że, i tak jej nie upilnuję, jak będzie chciała, to żadne święty Boże nie pomoże, na to nie ma rady, instynkt, krew, trucizna, całą butelkę trzeba było, straszna rzecz ten interes pałętający się między nogami, od ulegania temu instynktowi zachowaj nas, Panie, wyciąć trzeba by, wszyscy by się tyłko gzili, w założeniu. owszem, jako potencjalność, surowiec, z którego dopiero, ale w praktyce? zawsze gdzieś znajdzie się jakaś skaza, potem, jak wtedy gdy się połapałem że ona, to tak jakby człowiekowi przedziurawiono serce, i już do końca z tą dziurą, to już lepiej od razu umrzeć, męki sobie człowiek przynajmniej zaoszczędzi, całe życie szukałem, mrzonki, oczywiście, to dobre dla dzieci w przedszkolu, bo takiej istoty nie ma na świecie, niech mi ktoś pokaże, niech udowodni że nie mam racji, żeby była czysta, nieskalana, jak perła, jak woda źródłana, jak lilia, trzeba będzie przynieść więcej wódki, rośnij lilio wysoko, jak pan leży głęboko, fakt, całe życie, jak pan leży głęboko, tak ty rośnij wysoko, i zdawało mi się, że już, już, że to właśnie to, a potem taki huj, o! — *Jak możesz mi zarzucać, że sam ci go wpakowałem do łóżka? Jak możesz? Mnie! Swojemu mężowi! Czy jestem rajfurem? Jak się ktoś suką urodził, to suką zostanie, tego już nikt nie odmieni. — Może i suką ja się urodziłam, ale kurwą to ty mnie zrobisz! — Jeśli w tej chwili nie zaprzestasz tej hysterii — Gdzie mój kieliszek? mnie śmiała, mężowi! gdzie ten kieliszek? że ja z niej, a kto się z całym miastem puszcza? ja? a kto ze mnie robi pośmiewisko przed ludźmi? a potem z pretensjami do mnie, że ja z niej kurwę, bezczelność! mam jej ich wyliczyć wszystkich po kolei? po nazwisku? wskazać daty, miejsca? pójdę nalać, idą tańczyć, prawidłowo, według harmonogramu, aby dograć partię do końca, już się trzymają za ręce, romans w stadium wybitnie zaawansowanym, co, do mnie on tak się uśmiecha? jakby już się czuł winny, jakby mnie z góry przepraszał za to, co się dopiero stanie, ja nic nie mogę, to ona, a ty nie masz na tyle siły, żeby powiedzieć nie? wyciąć, cholera, wszystkim powycinać! nawet mi prosto w oczy nie spojrzysz. — *Jak to z wami jest,**

*obywatelu Wygaj? Utrzymujecie, że macie czyste sumienie, że nic was tam w środku nie gryzie, a człowiekowi prosto w oczy nie potraficie spojrzeć. No, wytłumaczcie wy mi, dlaczego? — Jak się bawimy, Karolku? Tylko uważaj na siebie, dobrze? Nie pij za dużo, bo potem, wiesz. — A Wygaj się miesza, przykro mu za nią, współczuje z nią, no tak, mieć takiego męża, takiego ochlaja, całe miasto się z niego podśmiewuje, może cham w dodatku, zazdrosny, i jeszcze dojdzie do rękoczynów? — Widzę ja, że Basiuła w dobre dostała się ręce. Literat, poeta, co? Basiuła lubi intelektualną konwersację, prawda, Basiuła? — Ona już wie, ja to po jej oczach, że ja już wiem, że, ech, lepiej nie myśleć, a ten czemu wargi zagryza? za drwinę sobie przeczytał moje słowa? — Niech pan się nie obawia, panie majorze, oddam panią Basiulę w pana ręce zdrową i całą. — Nic lepszego nie mógł wymyśleć, dowcipniś, na dowcip się zdobył! — Znaczy się nieruszona? Cieszę się, że pan mnie o tym z góry i tak skwapliwie zapewnił. No, to idźcie się bawić, ja się pójdę czegoś napić, bo w gardle mi znów sucho. — Tylko pięści zaciskać i milczeć, jak parsknęła śmiechem to myślałem, że mnie ktoś igłą w samo serce dziabnął, dla niej to żart, a dla mnie? ale nic, trzeba przymknąć oczy, do złej gry zrobić dobrą twarz, „rogi mu przyprowiali, ale zachował twarz, nawet powieka mu nie drgnęła, kiedy kiepskim żartem zabijał w sobie coraz bardziej pulsujący ból”, jak przejdę na emeryturę, w tym zawodzie śmiertelność wysoka, to zacznę pisać powieści, żywa kronika, a żeby wiedział! kpił, ale mimo woli dotknął sedna sprawy, kawał prawdy wyrwany z żywej materii życia, z własnych bebeczków, krew wytoczona z własnego serca, ale kto by to chciał czytać? kto by uwierzył? takie brudy, świat jak kloaka, życie ja... jatka, zakrzyczeliby, zaszczuliby, że nieprawda, że błotem obrzucam, że zięć nienawiścią, nikt z nich nie ma odwagi zmierzyć się z prawdą, woleliby żeby była inna, byle tylko im nikt przeszłości nie wypominał, bo jakżeż to, dzisiaj dygnitarze, działacze na wysokim szczeblu, białe koszule, bankiety, szampan, stabilizacja, doniczki w oknach, biedermeiery w saloniku, perskie dywany, w ogóle Europa! bo brudną robotę już kto inny robi, więc lepiej zapomnieć, lepiej nie wywoływać duchów, tak? teraz już czas na budowanie legendy, gdzie wszystko będzie piękne, wygładzone, antyseptyczne, ładnie zapakowane w celofan, papka przeżuta, dzieciom w szkołach można podawać, tak? czego ja tu,*

po co przyszedłem, wódka, słusznie, spróbuję trochę tej żubrówki, kawałek śledzia, albo szynki? — Kradną? Wiadomo, że kradną, a co mają robić? Nikt nie kradnie dlatego, że u niego z moralnością kiepsko i apelować do jego obywatelskiego sumienia to to samo co siebie wystawiać na durnia. — Upiję się dziś, jak mi Bóg miły, upiję się, gniazdo żmij! — Więc dlaczego kradną? — Niech gadają, no! o nie! teraz każdy wody w usta nabrał, każdy taki mądry, a jak przyjdzie co do czego, no, czemu nie gadają? tylko się gapią na mnie, zepsułem im zabawę, „Bo mój chłopiec w piłkę kopie”, milczą, cholery jedne! — Więc dlaczego? Dlaczego kradną? — „Od niedzieli do soboty ciągle tylko mecz, mecz, mecz!” — E, jak pan takim tonem, to może i lepiej nie odpowiadać, co? — I oko, idiota, robi do towarzystwa, wielka zabawa! kto się boi czarnego niedźwiedzia? nikt, tylko się śmieją, ugryźli i nic im się nie stało. — *Nie, Korbut, wy mi się z tego sianem nie wykręcicie. Powiadacie żart, niewinny żart, a wiecie jak ja to nazywam? Antyludowa propaganda! Dziwię się, że Stoberski, wasz szef przecież, o którym dotychczas mieliśmy jak najlepsze opinie, przez tak długi czas tolerował u siebie człowieka o tak, jak powiemy? wątpliwym? wrogim? profilu politycznym. Trzeba nam będzie z nim również porozmawiać.* — Wezmę sobie butelkę wódki, talerzyk, nałożę sobie trochę kanapek, kilka kawałków kabanosa, dobrze bufet zaopatrzył, nie można powiedzieć, i usiądę sobie, no gdzie? przy szafce bibliotecznej, wielki intelekt! ma szafę biblioteczną! in vino veritas, o, usiądę sobie, niech się hołota bawi, aqua vita, okowita, niech szczeka, jeszcze przyjdzie czas wyrównania rachunków, rachunek krzywd, to ktoś napisał, jakiś wiersz, rachunek krzywd w narodzie, nadejdą czasy, których znamieniem będzie, nie pamiętam, zresztą inna epoka, na tej opoce zbuduję kościół mój, wódka lepi, cukier, duby smalone, co tu Basiuła? na tej opoce zbuduję kościół mój, dlaczego, co ona tu? i bramy piekielne nie zwyciężą go, czemu ciągle łązi za mną? czy ciągle musi się mnie czepiać? czy ja za nią łążę? czy jej w czym przeszkadzam? proszę bardzo, droga wolna, ja przeszkadzać? nigdy! co ma wisieć nie utonie, to wszystko jest tam gdzieś zapisane, z góry obmyślane, jesteście zdeterminowani przez — Karolku, a nie za dużo pijesz? — Wzruszająca troska, na płacz mi się zbiera, martwi się o mnie, moja żona, połowica, moja lepsza połowa, psiakrew, niepokoi się, że się upiję, że się ześwinię, wstydu się za mnie nałyka, dawniej

trząsł całym powiatem, drżeli przed nim jak przed Belzebubem, ogniem i siarką torował drogę rewolucji, kwasem pruskim! a dzisiaj? popatrzcie co się z niego zrobiło! przyczyna zła tkwi w tym, przyczyna zła tkwi w tym, że, że co? nikt ci nie kazał jej kochać, co, dzieciak? kryzys wieku dojrzewania? trzeba było ją wtedy wychędożyć i won! fora ze dwora! po to mnie wzięła do siebie, żeby jej dogodzić, klejnot u mnie solidny zwąchała, co szkodzi popróbować? przypasować, może ten lepiej pasuje niż inne? zamiast od razu uderzać w wielką miłość, księżyc, serenada, „*tak się pięknie składa, jest księżyc, serenada*”, cały ten idiotyczny romantyczny sztafaż, nie, ja od razu nura, na całego, musiałem się zadurzyć, „*w moim sercu uczucia jest dość, gdyby przyszedł, pokochał je ktoś, tak się pięknie składa*”, jakby bez tego wszystko się miało między nami skończyć, wcale by się nie skończyło, mogłem ją do dziś, oczywiście, gdyby mi się nie znudziła, miałbym kochankę, byłbym wolny, i to ładną kochankę! tak, co to by z niej była za kochanka! ajajaj! a niech by się wówczas i z innymi, jej sprawa z kim się prześpi, grunt żeby była jak ja ją potrzebuję, ot, ciemniak, nie wiedział jak sobie życie ułożyć, teraz za to płaci. — Basiula, dziecino droga, nie martw się o mnie, nie zrobię ci żadnego skandalu, daję słowo honoru. Z ręką na sercu, widzisz! Nie narzygam na podłogę, nikomu nie dam po mordzie, chociaż, Bogiem a prawdą, niejednemu by się należało, przestań się o mnie niepokoić, idź! idź, baw się dalej! — Karolku, może już wrócimy do domu? — O tej porze? — Już dawno po jedenastej. — Co to jest jedenasta? Zostaw mnie w spokoju. — Jak uważasz. — Dąsa się, Boże, co za aktorka! jakbym nie wiedział, że po to przyszła, żeby się upewnić, że rzeczywiście zalewam się w sztuk, zielone światło dla Basiuli! po co cała ta komedia? no nie, takie proste to znowu nie jest, przecież wie, że dobrze się orientuję o co jej chodzi, kwestia sumienia, chodzi o moje domniemane przyzwolenie, bo wtedy może powiedzieć: przecież wiedziałeś, dlaczego nie starałeś się mnie powstrzymać? a może jej zrobić psikusa? masz rację, już późno, idziemy do domu, ej! i znęcać się nad kobietą? możesz być spokojna, w niczym ci nie przeszkodzę, daję ci wolną drogę, zielone światło przed tobą, możesz sobie z nim, nie jestem niczym aniołem stróżem! co mnie tam, niech sobie, urżnę się na trupa, na złość, „*nie jestem stróżem brata mego!*”, dziecinada, na trupa! na puszczalską żonę jeszcze nikt nie umarł, też byłby powód, na co umarł?

na raka? na gruźlicę? na puszczalską żonę! kupa śmiechu, trzymajcie mnie za boki, bo pękne! ciekawe jednak, że potrzebuje tego przyzwolenia, dlaczego? wyrzuty sumienia? nie u Basiuli, nie rozumiem, głupie udawanie, trzeba ją było zrobić swoją kochanką, nie byłoby dziś problemu, co mi chce udowodnić? że lepsza ode mnie? no, moje zdrowie! jak ten naród bez przerwy pytluje, głosy jakby przez watę, to gdzie czytałem, „głosy dochodziły do niego stłumione jakby przez ścianę z waty”, nie pamiętam gdzie, zresztą nie ważne, wcale nie oryginalne, każdy gryziپیorek, ale gdyby to nagrać na magnetofon, że lepsza ode mnie? że ona przynajmniej ma świadomość grzechu? jak tysiące chrabąszczy, mierziwi się to wszystko w jednej wielkiej kupie, takie jedno wielkie tarło, w sam raz dla niej, ludzie to są świny, świadomość grzechu? ja mogę co najwyżej popełnić pomyłkę, ale grzech? grzech? — *Rozglądnij się wokół siebie, popatrz, co wyście z ludźmi zrobili. Najszlachetniejsze ideały, którymi człowiek podpierał się w swojej odwiecznej drodze krzyżowej ku doskonałości, utyliście w błocie i stworzyliście społeczeństwo, w którym się wszyscy wzajemnie nienawidzą, a jednocześnie łączy ich wspólna nienawiść do czegoś, co jest poza nimi, ale czego im ani palcem wskazać nie wolno, ani nazwać po imieniu. Całą machinę nowoczesnego państwa nastawiliście na zniszczenie człowieka, ale każdego z osobna, tak że każdy choć z całą resztą jednakowo zagrożony, czuje się beznadziejnie osamotniony, sam na sam przeciwko wszystkim i wszystkiemu. Cały świat stał mu się nienawistny. Tylko Boga przeklinać za to, że go stworzył i wam na pastwę oddał. Odebraliście człowiekowi wszelką możliwość obrony, nie zostawiliście mu żadnej instancji, do której mógłby zabiegać o wstawienictwo i sprawiedliwość. Skazaliście go na bezcelowe szamotanie się z sobą, które go zjada i odbiera wszelką chęć, już nie walki, ale samego życia. — Szedłem od Mostu Teatralnego w kierunku okrąglaka i proszę sobie wyobrazić, przed kamienicą na przeciwko dawnego Kruka, tłum ludzi, może ze dwieście osób. W bramie dwóch milicjantów. Kłócą się, wrzeszczą, starają się całe bractwo rozpedzić, ale czy jest jaka rada na ludzką ciekawość? Może gdyby wyciągnęli pałki, ale przy takim tłumie i milicjantowi nie spieszo być gierojem. Podchodzę, pytam co się stało. Ze strzępów relacji wykluwa się zdarzenie jakże symptomatyczne dla czasów, na które skazała nas historia. Poprzedniej nocy popełniono tu straszne morderstwo. Ktoś zamordował fa-*

ceta. Siekierą odrąbał głowę, ciało pokawałkował, zapakował do kufra, ale wynieść nie zdążył, bo akurat właścicielka mieszkania zapukała do drzwi, więc w porywie paniki łokciem wybił szybę i wyskoczył na chodnik, nieszczęście sprawiło, że wprost na głowę przechodzącego milicjanta. Państwo się pytają o co poszło? Sprawca kilka miesięcy temu wyszedł z więzienia. Przesiedział pięć lat. Za co? Prosta sprawa, coś gdzieś powiedział, albo omieszkał powiedzieć, państwo zresztą sami wiecie za co jeszcze kilka lat temu szło się do więzienia. A ten drugi był konfidentem bezpieki. Tamten, jak tylko wyszedł z więzienia, to zaczął go tropić, całą Polskę za nim zjeździł, aż tu go wreszcie zdybał i wymierzył sprawiedliwość. Tak, proszę państwa, straszna jest zemsta ludu! — Kwiatkowski taki chojrak? popatrz, popatrz! kameleony! a jak wtedy składał samokrytykę, w piersi się walił aż dudniło, dziś by się tego wstydził, nie pamięta, nie przyznałby się, dawno trzeba było wykopać z Partii, paszo! swołocz! trzeba będzie z nim coś zrobić, rozsadnik demoralizacji, taką gadaninę płazem puścić? — *Jak ojciec nie przestanie tak gardłować, to ostrzegam, ja się nie będę długo patyczkował tylko wadzę do mamra i koniec. Niech ojciec nie myśli, że tylko dlatego że ojciec to już mu wszystko wolno.* — Nikomu nie wolno, tylko raz im zezwolić, to potem już temu nie będzie końca, pochłoną nas jak lawina, ich nie bezpieka boli, komu, panowie, piasek chcecie sypać do oczu? ja jestem za stary wyga, żeby mnie, was nie bezpieka boli, was Polska Ludowa boli, tylko świadków! żebym miał świadków! tu nie ma jednego, na którym można by polegać, wezmę go do siebie, to się przyzna, niech by spróbował nie, a przed prokuratorem się wyprze i znowu powiedzą, że mi się marzą stare metody, skurwysyny! ogniem spalić! siarką! kwasem pruskim! — *Od samego początku, towarzysze, utrzymywałem, że ten kurs przeciwko nam samym się obróci, nie chcę być fałszywym prorokiem, ale tylko tak dalej, a rozdziobią nas jak kruki i wrony, poszliśmy bowiem na ustępstwa nie z ludem a z wrogiem, i prędzej czy później trzeba nam będzie z tej drogi zawrócić.* — Kwiatkowski powinien wiedzieć, że przy mnie pewnych rzeczy się nie mówi, bezczelność! zemsta ludu! muszę się mu trochę przyrzec, poszperać, może się przydać, kiedyś cała ta szopka narodowa, to kochajmy się wszyscy, musi przecież się skończyć — *Trzeba być przygotowanym, rebiata, stać na stanowisku, czekać, aż zatrąbi trąbka, wiernie do końca, i nie*



*oddawać broni!* — Właśnie, nasz czas jeszcze przyjdzie, tylko spokojnie, bez krzyku, nie rozdzierać szat! i najważniejsze, nie zdawać broni, zakopać w ogrodzie, schować pod podłogą, nasza godzina jeszcze wybiję, przyda się, a wtedy, wtedy my — *Ja nie rozumiem zmian, jakie u nas zachodzą? Ja? Kochani towarzysze, ja rozumiem, aż za dobrze rozumiem, i dlatego serce mi się krwawi jak sobie pomyśle do czego to wszystko prowadzi.* — Już się rozchodzą? chyba jeszcze nie jest tak późno, po północy? po pierwszej? zaraz, popatrzę na zegarek, slow-fox? fox-trot? ja tam nie wiem, nie zwracajcie mi głowy takimi głupstwami, nie widzicie że teraz jestem czym innym zajęty? co z tą ręką? stój! albo głowa mi się tak kiwa, albo ręka mi się tak trzęsie, jedno z dwojga, upiłem się, bzdura, lekkie odurzenie alkoholem, pan doktor stwierdzi, pewnie że piłem, kilka kieliszków, nie wolno? pan nigdy nie pije? spokojnie, panowie, tylko spokój nas może uratować, jeszcze jednego sobie łyknę, niech nawet po północy, czy to powód żeby ludzi pędzić do łóżka? Basiula tam z nim, ja mam kurewską wyobraźnię, ja, proszę panów, jak opuszczę powieki, to tak jakbym stał nad nimi i patrzył jak oni się tam, taka cholerna wyobraźnia, gdzie ta butelka? kto ją przewrócił? kurwa jego mać, co za ludzie, przewrócił butelkę i poszedł, przecież trzeba nie mieć sumienia, żeby, wylać pół butelki, na latarniach bym takich, kopnął i zmarnował pół butelki, jak ktoś wódki nie uszanuje, to po takim już wszystkiego się można spodziewać, a gdzie mój kieliszek? na talerzyku, problem jak go ująć, ostrożnie, powoli, gdzie ci się spieszy? nie potrafisz po mału? sukces! należy ci się piątka, Karolku, dziękuję serdecznie panu profesorowi, sukinsyn! z nieletnimi dziewczynkami się zadawać, z własną uczennicą, ojcem jej mógłby być, okrakiem ją sobie na kolanach, lepiej by kamień młyński takiemu u szyi, niżby miał zgorzyć jedno z tych małuczkich! — *Trzeba być politycznie ślepym, aby nie widzieć do jak tragicznych skutków ta linia nas prowadzi.* — Kto mówi że pijany? kto się ośmielił? niech pokaże swą twarz! milczą, nie ma bohaterów, na bohaterach fiołki rosną, „władczym spojrzeniem powiódł po zebranych i zniewolił ich do milczenia”, trzeba nalać do kieliszka, daleko ten stół, o czym oni tak ciągle pytują? o! o! niedobrze! co się stało? „straciwszy równowagę nasz bohater runął jak długi na ziemię, przez chwilę leżał jakby ogluszony, świadomość wracała do niego powoli falami na przemian to zdziwienia, to niedowierzania, jak budzenie

się ze snu”, no, ale już się podnosi, nie bez pomocy wprawdzie jednego z tzw. bliźnich, kochany chłopak, Stoberski, wiele można by mu zarzucić, ho! ho! ale nie to że mu nie staje uczynności, jak prawdziwy chrześcijanin, wierzę w Boga Ojca i Syna i Ducha Świętego i świętych obcowanie, a w dogmaty? a w nieomylność papieża? w to to nie? ha! mnie tam trzeba było być, wtedy na stosie można było palić, kołem łamać, czarownice w wodzie pławić, nikt nie pieprzył o praworządności. — Dziękuję ci, mój drogi. — Drobnostka, Karolku. Ale się zaprawiłeś. — Ja? Ja się zaprawiłem? — Tylko nie bierz tego sobie zbyt do serca, w najlepszej rodzinie, każdemu się zdarzy. — Najgorzej z takimi wieśniakami, tylko do nich grzecznie przemówić, zaraz się spoufalają, kto mu pozwolił mnie po plecach klepać? jak człowiek batem nad nimi nie wywija, to od razu, nie klep, bo jeszcze ja cię poklepię! — Już w porządku, puść. Muszę iść po Basiule. — Siedź, coś taki narwany? — Czas już — Ty się nie martw o czas — Ale przecież ludzie — Ty się nie martw o ludzi, zaraz dostaniesz kawy, potem dopiero rozpocznie się prawdziwa zabawa, zobaczysz, noc jeszcze jest młoda. „Noc taka jest cudna, że szkoda jej zmarnować”. — Nie śpiewaj tego! — Dlaczego? — Bo nie lubię i już. — W porządku, nie chcesz, to nie. Dla przyjaciela wszystko. Daj buzi! — Nie wygłupiaj się. — E tam, co za głupie krygowanie się. — Nie wydziwiaj, bardzo cię proszę, wiesz że tego nie znoszę. Przestań lizać! Muszę poszukać Basiule. — Basiula bez ciebie nie zginie. Siedź tutaj, zaraz ci przyniosę kawy. Masz mi się stąd nie ruszać, słyszysz? — A jeśli ja nie chcę kawy? co on mi tu będzie z tą kawą? — Basiula! — Gdzież ona, ostrożnie! przecież tu z nim, no, nie ma, jak to nie ma? musi być! przecież szli tańczyć, *mieszka ze mną przez sień*, czego oni tak na mnie ślepią wywalają? do domu z wami! jazda! tu nie żadna opera! — Basiula! — W kuchni będzie, oczywiście, „idąc nasz bohater obie- ma rękami przytrzymał się ściany, przez jego rozkołataną głowę przebiegały niepokojące myśli, zamglonymi oczyma rozglądał się wokół siebie, z szarej kotłowaniny oparów, w którą zamienił się świat, wyzierały ku niemu maski skrzywione drwiną, z rozdziawionych ust wyskakiwały przezwiska, których plugawość osiadała na jego policzkach jak mokra brudna ciecz”, też nie ma, więc gdzie? Stoberski też przepadł, *mieszka przez sień*, może w łazience? no więc gdzie? — Basiula! — Muszę się oprzeć o ścianę, przez

*sień*, to przekłete wirowanie, *na stosie spalić! kołem potać!* za dużo wypiętem, umiar, nigdy nie znam umiaru, Stoberski, nareszcie, ale co robił na klatce schodowej? tam jej chodził szukać? coś tu — Gdzie Basiula? — Chodź! Chodź do kuchni. Dam ci kawy, już gotowa. — Nie ciągnij mnie! Gdzie jest Basiula? — Chodź do kuchni, mówię. Co się będziesz przejmował? — Gdzie jest Basiula, pytam. — O Boże, co z ciebie za człowiek! O byle głupstwo by awanturę robił! — Gdzie jest? — Wysła na chwilę zacerpnąć świeżego powietrza, tu tak duszno, wszyscy palą, ale już wraca. — A Wygaj? — Karolku, słuchaj — Zostaw! Zdejmij ze mnie tę swoją łapę! Myślisz, że ja głupi, co? Ze nie rozumiem? Czego się wszyscy gapicie? Do domu! Jazda! Spierdalać mi stąd! — Karolku, nie rób awantury! Gości mi obrażasz! No, chodź już, chodź. Przystań się rzucać, wrócisz sobie do pokoju, usiądziesz, poczekasz. — Tu poczekam. — Nie rób tego, Karolku. Sam sobie grób kopiesz. — Moja rzecz. — No, dobrze, dobrze, tylko się nie awanturuj! — Zmartwienie, wielkie zmartwienie, i połaty się łzy me czyste, rześiste, żeby nie było awantury, żeby skandalu przy gościach, gównu mnie goście, ja wała na gości, wrócili, niech ja im się dobrze przypatrzę, oddam zdrową i całą, a ja sam dodałem jeszcze znaczy się nienaruszoną, i wykrakałem, łzy me czyste, rześiste nad moim dzieciństwem wcale nie sielskim, nie anielskim, złąpię za gardło, uduszę drania, to nie wiedział, że z mężem tu przysłała? zdrową i całą! przy mnie, przez ścianę, tam siedziałem i się gryzłem, a oni przez sień, przez ścianę, on nie winny, daj mu spokój, człowieku, jak okazja, przecież nie kawał drewna, jak się kobieta sama na niego nadziewa, tylko wszedł, spojrzęła, już wiedziałem jak to się skończy, kiedyś głowę do pieca włożę i skończę — Karolku, co tobie? Czujesz się niedobrze? — Ty! — Wielkie zdziwienie! uderzyłem! tu publicznie przy gościach, państwo widzieli? mąż uderzył żonę, żonę? w dawnych czasach wyganiaли taką za bramy miasta i kamieniowali, nie należało jej się? a co miałem zrobić? pogratulować nowego kochanka? jakie brzydkie są płaczące kobiety, najpiękniejsza kobieta, a jak zacznie płakać, to koniec, wszystkie jednakowe, jak co, to w ryk, jeśli nie chciał skandalu, nie trzeba było jej pozwolić, żeby, co on? nie wiedział? no, już koniec z tym beczeniem, zawsze tak, i potem jak ja wyglądam? co ja jestem, monstrum jakiego? więc co z tego, że wiedziałem? nie, ja nie będę jej zatrzymywał, ma

swój rozum, zdaje sobie sprawę z tego co robi, no to powinna, nie jestem jej aniołem stróżem, już raz powiedziałem, nie jestem niczym aniołem stróżem, nie, wcale nie, wiedziałem, owszem, ale wcale nie chciałem, żeby to się stało, nie, nawet podświadomie, nie prawda, nie prawda, nie potrzebuję siebie jątrzyć, dlaczego miałbym siebie jątrzyć? nonsens, absolutnie nie mam zamiaru pętać się po psychiatrach, na żadne kompleksy nie choruję. — Pójdziemy do domu, Basiula. — To nie jest życie, to jest gehenna, czy tak bardzo jej brak jakiegokolwiek wrażliwości, że nie widzi jakich mi przyczynia cierpienie? do psychiatry, jeszcze co! jaki normalny mąż pozwoliłby swej żonie, nie, to już jakieś zupełnie pomieszanie pojęć, spotyka faceta, pierwszy raz w życiu, nigdy go przedtem na oczy nie oglądała i po pół godzinie wali się z nim do łóżka, to jest normalne? a ja co? ja nie powinienem cierpieć, ja nie mam prawa cierpieć, moje cierpienia to jakieś chorobliwe kompleksy, tak? trzeba było wtedy wychędożyć i za drzwi! mądry Polak po szkodzi, uderzyłem, no więc co? nie miałem prawa? nie ja ją upokorzyłem, no więc co, że przed ludźmi? miałem zamilczeć, żeby wszyscy mogli się ze mnie potem pośmiać? jaki ten Ostuda głupi, żona mu się puszcza na lewo i prawo, a on nic, dobrze go ona pod pantoflem trzyma! nie trzyma, spokojna głowa, ja na żadne takie, co ja jestem? szmata, żeby mną pomiatać? cóż to, to ja już nic nie czuję? ameba jakaś czy co? — Poczekaj, otworzę bramę i zapalę światło. — Jak dwoje zupełnie sobie obcych ludzi, małżeństwo! nawet gdy patrzę na nią to tak, jakbym patrzył na obcą kobietę, mijam ją gdzieś na ulicy, i tak kątem oka, a! to ta, podobno się puszcza, no! no! to byłoby wcale interesujące z taką się przespać, tak, ale to zupełnie co innego gdy o własną żonę chodzi, tak jakby mi kto korkociąg do serca wetknął. — Pozwól. — Nie chce, sama zdejmie, obraziła się, przestałem dla niej istnieć, otoczy się milczeniem jak płaszczem nieprzemakalnym, żeby nie była taka piękna, wcale nie, ja, nawet gdyby nie była tak piękna, to i tak bym ją kochał, teraz siedzi na łóżku i, wiedząc, że tu stoję w hallu, zacznie cicho pochlipywać, tak się będzie nade mną znęcać i skończy się wreszcie na tym, że przyjdę, uklękne przed nią i będę prosił, żeby mi przebaczyła, żeby mnie przebaczyła! za co? na Chrystusa Pana, za co? czy jaką krzywdę jej wyrządziłem? uderzyłem, o Jezu! wielkie rzeczy! ona mnie nigdy nie uderzyła? i nie robiłem dramatu, trudno, nerwy, jak dwoje ludzi ciągle razem w tych

samych czterech ścianach, ale tym razem się pomyliła, nie pójdę do niej! tym razem się przerachowała, nie będę skamlała o przebaczenie, milczenie? proszę bardzo, ale tym razem nas będzie dwoje do tej gry, zobaczymy kto dłużej wytrzyma, miesiąc? ja mogę i miesiąc, dlaczego by nie? dwa? mogę dwa, i złamię ją, przyjdzie jeszcze mnie błagać, a wtedy ja: na kolana! cholera! stopy mi będzie całować! co tam robi? rozbiera się, już wiem, rozbierze się, położy do łóżka i dopiero gdy ja również się położę, wtedy dopiero zacznie chlipać, żebym się męczył, żeby mi serce pękało, o tak! wie jakie na mnie zastosować tortury, nie rozumiem tego, jak tak można żyć? zawsze jak psy, jak jakieś, to przechodzi moje ludzkie pojęcie, nie, ja tego dłużej nie mogę wytrzymać! — Basiuła, powiedz coś, odezwiw się wreszcie! — Nie odpowie, słowa nie piśnie, milczeniem chce mnie zniszczyć, żebym się przed nią upodlił, żebym się poczołgał do niej, w kurzu, w błocie, w włosienicy na gołym ciele, jak niewolnik, mnie okrucz ze stołu wystarczy, jeden łaskawy uśmiech, a pozatem niech mną pomiata, niech mnie bije, katuje, wcale się nie skarżę, tak jest dobrze, moja niewola jest właśnie urzeczywistnieniem mojej wolności, być jej niewolnikiem moja rozkosz największa! nie ma co, trzeba też się rozebrać, i tak leżeć przy niej przez godzinę i słuchać jej płaczu? Golgota! poszłaby lepiej się rozbierać do łązienki, czy nie wie jak na mnie działa widok jej nagości? ale to specjalnie, jak psu kiełbasę powąchać, czy on ją rozebrał do naga, czy tylko tak? nawet koszuli nocnej nie wkłada, żebym potem, leżąc obok niej, wiedział, że wystarczy rękę przesunąć, a nie śmiał, żebym leżał sztywny, sparalizowany, jak psu kiełbasę, masz, powąchaj, ale, broń Boże, aby nie uszczknij! co znaczy nie uszczknij? żona, nie mam prawa? — Nie dotykaj mnie! — A właśnie że dotknę, I nie tylko dotknę! co, chcesz się bić? Proszę bardzo! Nie oprzesz mi się, jestem silniejszy, no, spróbuj! Pięściami? Piąstkami? Bij, ile chcesz! W końcu i tak ulegniesz. Gryziesz? To gryź! To cię podnieca, prawda? Podobą ci się, gdy cię tak nagle, myślisz że cię nie znam? Jeszcze chwila i, no, widzisz, po co było stawiać opór? — Już wszystko dobrze, a nie mówiłem? pół godziny temu on też musiał tak samo czuć powolną uległość jej rozchylających się nóg i wtedy tak w nią, nie, przed nim się nie broniła, sama się przed nim rozłożyła, jak kurwa jaka, jak jaka wyuzdana blać, masz, bierz mnie! nie tak było, gdy ze mną pierwszy raz? dobrze pamiętam, tego bym

nie pamiętał? i tak prawdopodobnie robi z każdym, z którym pierwszy raz, to jakieś pławienie się w bezwstydzie, człowiek wchodzi do pokoju, a ona już na łóżku, naga, z rozrzuconymi nogami, masz, bierz mnie! i uśmiecha się ironicznie, jakby chciała powiedzieć, coś taki zaszokowany? nie o to ci szło? jakby się śmiała z człowieka, że taki głupi, na to! na to dał się nabrać! ale wystarczy na nią wejść, to jakby ją giez ugryzł, tak jak teraz, no i kto tu teraz i czyją jest ofiarą? gdzie ten uśmiech ironiczny? zaraz zacznie się rzucać, już? już? no to masz! masz! jak ryba wyrzucona z wody na brzeg, no to masz! masz! zawsze wie jak zrobić, żeby razem, no i po wszystkim, będziemy mieli spokojną noc. — Już dobrze, Basiuła, prawda? — Ach, ty buhaju, Karolku, ty buhaju! — Będziemy mieli spokojną noc, jutro rano wstaniemy jakby się nic nie było stało, rzuciła mi ochłap, a ja nań jak głodny pies, to bydlę we mnie udobruchała, oswoiła, ściągnęła mnie do własnego poziomu, wytrąciła argument z ręki, ma rację, wcale nie jestem lepszy od niej, nawet się po nim nie umyła. — *Masz, catuj! Catuj!* — *Zanalizujmy czym ona na mnie tak działa, więc jej śmiech, zawsze się w takich chwilach śmieje, zachrypnięty śmiech, coś tam w jej strunach głosowych, albo się go specjalnie nauczyła, czemu nie? w każdym razie śmiech, skóra, o tak, jedwabista miękkość jej skóry, ma śliczne pośladki, piersi, oczywiście, gdy ją pierwszy raz zobaczyłem, to właśnie jej piersi mnie tak, myślałem, Boże, gdyby tak móc dotknąć, pocałować!* — Chodźmy na tapczan, dziecino! — Piersi jak wyzwanie rzucone światu, zaraz, dziecino, zaraz, chwileczkę, no już, gdy wnikam w nią, ciekawe jak to kobieta czuje, wątpię czy ona sama umiałaby to opisać, owszem, zewnętrzne okoliczności, to przewracanie głowy z jednej strony na drugą, to zagryzanie dolnej wargi, ale to nie to, co czuje? jak czuje? co czuje teraz, w tej chwili? coś poczuła, bo wargę jeszcze mocniej zagryzła, ręką uderzyła w poduszkę, zacisnęła palce, oczywiście w tym jest dużo świadomego działania, reguluje sobie rozkosz, jaką jej udzielam, rozkłada ją sobie w czasie, w napięciu, tak jak teraz, oczy uciekły gdzieś w głąb czaszki, straszą ślepych białkami, teraz jakby zamarła, zaraz podrzuci tułów, piersiami do mnie się przycisnie, właśnie! właściwie człowiek nigdy drugiego człowieka nie potrafi, może gdyby mu można było wejść do mózgu, zresztą czy tu rzeczywiście o zrozumienie chodzi? raczej o posiadanie, człowiek chciałby być wszystkim, całym światem, każdą myślą, każdym ruchem,

strasznie skomplikowane, prawdopodobnie bez znaczenia, pozostaje własna przyjemność, taka jak ta — Basiuła! — Ach, ty buhaju! Jak ty to robisz, że aż boli. Taki duży, taki silny! — Własna przyjemność, ale ważna przed swoim spełnieniem się, potem? ty buhaju! potrafię jej jednak dogodzić. — Wyglądasz w tej chwili jak jakaś ciepła rozleniwiona kocica. — Lubisz swoją kocicę? — Czemu nie może tak być zawsze między nami? człowiek tak mało chce od życia, żeby miał spokój, żeby go ktoś kochał, żeby się nie musiał ciągle męczyć, przecież jestem dobrym kochankiem, powinienem jej wystarczyć, zegar na kościele, musi już być późno, nie zdradzam jej, jestem troskliwy, na niczym jej nie zbywa, więc czemu? najpóźniej za pół godziny będę musiał wyjść z domu, coś w niej jest takiego, co ją do tego zmusza, no bo co innego? ciągnie ją, nie daje spokoju, ale co? za pół godziny wyjdę z domu i już nigdy tu nie wrócę, nonsens, dlaczego miałbym nie wrócić? zresztą w naszych czasach niemożliwe, dokumenty, byle milicjant zapyta o dokumenty i już, gdzie przepadniesz? chyba za granicę, też nie łatwa sprawa, przez Czechosłowację, owszem, można by, ale jak złapią na granicy? lepiej przez Niemcy, najtrudniej byłoby dostać się do Berlina, oni najpewniej kontrolują w pociągach, na rogatkach miasta, uciekinier polityczny! ale gratka dla Amerykanów! ależ skąd! dlaczego mieliby wytoczyć proces? czy Świątku wytoczyli proces? pieniądze na tym zbił, ciężkie pieniądze, a przecież ja w porównaniu z nim to szczeniak, przyjęliby z otwartymi ramionami, zwłaszcza gdybym się zjawił z plikiem odpowiednich dokumencików w rękę, to jest polityka, moi drodzy, tu nikt sobie głowy etyką nie nabija, tylko co z Basiułą? co by beze mnie robiła? też kłopot! raz dwa by sobie znalazła kogoś na odpowiednio wysokim szczeblu, małoś to byłoby chętnych? ciało stworzone do uprawiania miłości, maszyna do kochania, żoną jakiegoś ministra wcześniej czy później by wylądowała, już ona by sobie krzywdy nie dała zrobić, chyba żeby z Urzędu robili jakieś wstręty, jak to zniknął? dziś nikt nie znika bez powodów, nic by jej nie zrobili, przesiedziałyby się przez kilka miesięcy, potem powróciłyby do panieńskiego nazwiska, Ziemińska, to nawet lepiej brzmi niż Ostudowa. — Basiuła, powiedz mi szczerze, kochasz mnie? — Karolku, tak bardzo cię kocham, że nawet nie umiem tego wyrazić. I tak mi dobrze teraz z tobą. A już myślałam, że nie przyjdiesz do mnie przed wyjściem, i dlatego ja sama, nie gniewasz się? — Głupiutka



jesteś. — A byłbyś przyszedł? — Oczywiście. — Tak jej dobrze, czy jak kobiecie jest dobrze to znaczy, że kocha? nie zupełnie mi się ta logika, kwestia fizjologii, pomogłem jej w rozładowaniu stanu napięcia, ale co to ma wspólnego z miłością? tak mi teraz dobrze, nie wie co to słowo znaczy, to pęknięcie na suficie, nigdy dotąd go nie zauważyłem, a przecież nie pierwszy raz kochamy się na tym tapczanie, gdzie myśmy się już nie kochali! na biurku, przyjemne, ale ja nie lubię na stojąco, jak mi potem kolana latały, a ona się śmiała, pękała ze śmiechu, w kuchni na stole, w wannie, potem ci z dołu krzyczeli, bo woda zaczęła im przeciekać przez sufit, w hallu pod drzwiami, ona by to wszędzie robiła, na ulicy wtedy, dobrze że już było ciemno, a tam w bramie już była jakaś para, gdzie tam! czy to w czym przeszkadza? jeszcze bardziej się rozchutliła, wszędzie, z każdym, takie zwierzątko, ciekawe czy to prawda, że ona z tym Niemcem w czasie okupacji, nigdy się nie dowiem, przecież nie będę łąził po ludziach i pytał czy to prawda, że moja żona, durny był ten Drobnal, nigdy mu nie przyszło do głowy, że po takim donosie będę go musiał wykończyć? czego się spodziewał? nagrody za zdemaskowanie kolaborantki? nawet gdyby to była prawda, ale wątpię, znaleźliby się inni, potwierdziliby, więc chyba nieprawda — Karolku, dlaczego tak cicho? Taki smutny jesteś. Martwisz się tym wezwaniem do Hibisza. Zmieniłeś się od tego telefonu. Co on ci powiedział? — Nic ważnego. — Na pewno nieprawda, ludzie dużo rzeczy wygadują z zawiści, bo ładna, bo każdemu ślinka na nią, a poza tym chcieliby mnie politycznie skompromitować, szef bezpieczeństwa żonaty z kolaborantką! nie wierzę, takich rzeczy nie ukryje się przed ludzkim okiem, a jeszcze w takiej małej mieścinie, człowiek kichnie na jednym końcu miasta, na drugim słyhać, no dobrze, boją się, ale przecież byłyby jakieś anonimy, czy to tak trudno napisać anonim i wysłać, powiedzmy, z Warszawy, z Katowic? oczywiście, że nie żyła jak zakonnica — *Wielgocki, wy mi tu bajek nie opowiadajcie, jeszcze raz pytam, po co spotykaliście się z Niedźwiedziem?* — *To nie było żadne*, jak pan to nazywa, spotkanie, po prostu przyprowadziłem lekarza do ranego w oddziale. Łącznik wcale nie do mnie przyszedł, do brata, ale brat, jak pan sam zresztą dobrze wie, wtedy akurat siedział, więc sam zaofiarowałem się skontaktować z lekarzem i zawieźć go na miejsce, tym bardziej, że znam teren, bo mój stryj, którego Niemcy w Buchenwaldzie za-

mordowali, mieszkał przed wojną w Mogulinie i myśmy tam często na wakacje jeździli. — Białaluki! Wróciliście z Anglii specjalnie po to, żeby Niedźwiedziowi przekazać fundusze i instrukcje. Widzicie, my wszystko wiemy. Mamy dowody. Czy nie lepiej od razu się przyznać i zaoszczędzić mnie pracy, a sobie kłopotów? — *Czy byłbym się inaczej z nim obszedł, gdybym nie był wiedział, że z nią spał?* *sama się do tego przyznała, nie przyznała się?* był jej pierwszym, to wystarczy, miałem mu darować? taki skurwysyn, ot, bo mu się zachciało pobawić z dziewczyną, a o tym, że drugiemu życie rujnuje, nie, o tym to nie pomyślał, aby tylko zaspokoić swoją chuć! co go obchodzi konsekwencje? zadowolił się, a potem ktoś inny musi cierpieć przez całe życie, no dobrze, nie był jedynym, ale on wszystko zaczął, jaką mam gwarancję, że właśnie o nim teraz nie myśli? leży przy mnie, łapie oddech po rozkoszy jaką ja! ja! jej dałem a myśli o kim? o nim? o tych, którzy po nim przyszli? nie, nie ma żadnego usprawiedliwienia, on jest winny, on w niej tę bestię spuścił z łańcucha, już on ma najmniej powodów, żeby się skarżyć, niech Bogu dziękuje, że w ostatniej chwili się opamiętałem i nie zatłukłem go na śmierć. — *Zgadnij, Karolku, kogo dziś spotkałam na mieście?* — *Kogo?* — *Nie! Zgadnij!* — *Nikt nie przychodzi mi do głowy. Kogo?* — Dominika. — Jakiego Dominika? — Przecież wiesz, dlaczego udajesz naiwnego? Wielgockiego. — Aha. — Co znaczy aha? — Nic nie znaczy. — Musi coś znaczyć, nikt nie mówi aha, jeśli nie chce przez to coś powiedzieć. — Owszem, logika rzeczywiście nie do odparcia. Więc moje aha znaczyło, że wcale się nie dziwię, że go spotkałaś. Najdrzyce są tak małe, wystarczy dwa razy przejść się tam i z powrotem po Krakowskiej, żeby się z wszystkimi spotkać. — To znaczy, że wiedziałeś, że wrócił. — Wiedziałem, kilka dni temu był u nas w Urzędzie zameldować się. — I nic mi o tym nie wspomniałeś? — Dlaczego miałbym wspominać? — Jak to dlaczego? — Nie, kochanie, ja ciebie pytam dlaczego. — Przecież dobrze wiesz, że znałam go przed wojną. — Ładnie to określiłaś: znałam! To mi się podoba. Ładny eufemizm! — Znowu zaczynasz! — Nic nie zaczynam. — Zaczynasz! — Dobrze, zaczynam. Wobec tego, skoro już zacząłem, to i skończę. A więc nie wspominałem o nim dlatego, że nie widziałem powodu, dla którego miałbym ci o nim wspomnieć. Myślisz, że dla mnie to było przyjemne spotkanie? Patrząc na twojego pierwszego kochanka? — O Boże, czy to się nigdy

nie skończy? Wcale nie był moim kochankiem! — Był. Ja wiem, że był. — Nie był! Nie był! Słyszysz! Już tyle razy ci mówiłam, powtarzam jeszcze raz, wcale nie był moim kochankiem! Czy dość jasno się wyrażam? Nic takiego nigdy między nami nie było. To tylko tobie się wydaje, że kładę się do łóżka z każdym mężczyzną, z którym zamienię choćby dwa słowa. Masz zaświnioną wyobraźnię. O tak, ja wiem, tobie by to odpowiadało, gdybym naprawdę się puszczała, ulżyłoby twojemu własnemu sumieniu. Myślisz, że ja nie wiem, co wy tam robicie w Urzędzie? Myślisz, że ludzie nie wiedzą? — Przestań! — Nie przestanę, nie trzeba było zaczynać! To przerażające co ty sobie o mnie myślisz. Żeby to jeszcze była zwykła zazdrość! Rozumiem, mężczyzna może być zazdrosny, niech by nawet czasami zrobił awanturę, ale u ciebie to jest chorobliwe. To nawet nie zazdrość, chyba jakieś zboczenie. W wyobraźni stwarzasz sobie jakąś sytuację, Bóg wie co, na jakiej podstawie, potem chciałbyś, żeby się sprawdziła w rzeczywistości. Twoje oczy. Myślisz, że nie umiem czytać w twoich oczach? Zawsze na mnie, zawsze po mnie myślą, jak jakieś wstrętne lepkie robaki, jakbyś na mojej twarzy szukał śladów tych wszystkich plugastw, o które mnie podejrzewasz. Niekiedy to już sobie myślę, że nie wytrzymam, że zacznę wyc z wściekłości, że złapię coś do ręki i zacznę tłuc wszystko dokoła siebie, taka mnie pasja ogarnia, że sama już nie wiem, co ze mną jest. Kto ci tak zaświnił wyobraźnię? Jak można żyć z taką wyobraźnią? — Już dobrze, tylko przestań! — Nie przestanę! — Za głośno krzyczysz! Wszyscy sąsiedzi posłyszają. — Niech słyszają! Co mnie obchodzą sąsiedzi? — Przestań! — Nie przestanę. Ty zacząłeś! — Niczego nie zaczynałem. Po prostu dałem ci do zrozumienia, że nie chcę słyszeć o twoim Dominiku. Już mam po uszy tego całego Dominika. Tylko Dominik i Dominik! Jeszcześmy się nawet nie byli pobrali a już mi o nim bębnił. — Bębniłam, zaraz bębniłam, wspominałam raz czy dwa razy, czemu nie? To taki grzech? Myśmy się bardzo lubili, nigdy temu nie zaprzeczałam, w tym nie było nic zdrożnego, normalna młodzieńcza przyjaźń. On chodził do liceum, ja jeszcze do gimnazjum, niekiedy czekał na mnie po lekcjach i odprowadzał do domu. Czasami w niedzielę po nabożeństwie spotykaliśmy się w parku. Wszystkie dziewczęta i wszyscy chłopcy zawsze po nabożeństwie szli do parku. To był taki zwyczaj. Owszem, Dominik był bardzo miły, bardzo taktowny i w ogóle, czy

to tak wielki grzech zachować po kimś dobrą pamięć? — Pamięć! Aha! Jak to niewinnie brzmi! To już ile lat? A do dziś nosisz przy sobie jego fotografię. — Nie, to już za wiele! Zaglądałeś mi do torebki. To jest niewybaczalne. To jest, to jest, to jest świństwo, to jest draństwo, po prostu brak mi słów! Jesteś wstrętny! Może i do mojego kieszonkowego kalendarzyka zaglądałeś? — Może. — Jesteś świnią, zwykła paskudna świnią! Dobrze, skoro już tak chcesz, skoro ci taką to widocznie sprawia przyjemność, dobrze, powiem. Masz rację, Dominik był moim pierwszym kochankiem, nie będę się już więcej zapierała. To właśnie on odebrał mi tak zwane dziewictwo. Jeśli chcesz, kiedyś usiądziemy sobie spokojnie i chętnie posłużę ci szczegółami. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony. — Po co trzaska drzwiami? chce iść do sypialni wybeczeć się, proszę bardzo, nie przeszkadzam, przynajmniej spokojnie dokończę obiadu, niech płacze, tylko po co robi awanturę? więc jednak był, sama powiedziała, przyparłem ją do muru i musiała przyznać, zawsze wiedziałem, sprawa załatwiona, teraz ja się nim zajmę, zapłaci mi za to, ja mu dam kochankiem! w czterdziestym dziewiątym wraca do Kraju, stęsknił się! w czterdziestym dziewiątym roku! co on, oszalał? to oni tam nie wiedzą jak tu jest? i mimo to wrócił, no, dlaczego? no, po co? po co? wiadomo po co, braciszek ma kontakty z podziemiem, jasne, nie? ja mu dam tęsknotę za ojczyzną! czas wracać do biura, jeszcze płacze? nie, a proszę! myślała, że zaraz za nią polecę i będę uspokajał, taka figa! gdzie ja teczkę zostawiłem? w kuchni, no tak, nie reagować, najlepsza rzecz, płacze, niech sobie płacze, najgorzej gdy starać się ją uspokoić, wtedy dopiero łyżę się leją, bo jest przed kim, bo jest widz, a tak sama się uspokoi, już się uspokoiła, może w ogóle nie płakała? coś to nie w jej charakterze, coś mi się tu wydaje, że za tym wszystkim jeszcze coś więcej się kryje, dlaczego nie płacze? — Karolku! — Słucham. — Nie kłóćmy się już, dobrze? — Czy ja się kłóciłem? — Nie mów tak, bo znowu zaczynasz, po prostu zapomnijmy o tym, dobrze? — Dobrze, ja zawsze bardzo chętnie rękę do zgody wyciągam. — Wiem, Karolku. Coś mnie dzisiaj poniosło, przepraszam cię. — Nic nie szkodzi. Zdarza się. — Karolku, nie gniewaj się, ale muszę ci coś jeszcze powiedzieć. Zaprosiłam go do nas na kolację. Tak długo był poza Krajem, ciekawy jak tu u nas wszystko wygląda, myślałam, że gdybyś z nim porozmawiał — Basiula, czyś się zastanowiła nad tym, co

robisz? Nie wiesz, kto to są Wielgoccy? Stary do dziś siedzi za sabotaż i wcale nie zanosi się na to, żeby miał prędko wyjść. Jeden syn akowiec, udowodnione kontakty z bandami, myśmy go wprawdzie miesiąc temu zwolnili, ale to wcale nie znaczy, że facet czysty, dla nas po prostu wygodniej mieć go na wolności. A teraz z Anglii wraca drugi syn. Czy wiesz, że on w czasie wojny należał do tzw. cichociemnych? Dwa razy skakał w Polsce, dwa razy potem wracał do Anglii. Nie byle kto! I taki dziś wraca! W czterdziestym dziewiątym roku! Po co? Zastanów się! doprawdy, Basiula, jak można być tak lekkomyślną? Nie czytasz gazet? Nie słuchasz radia? Nie widzisz co się dzieje? — Boisz się, żeby się kto nie dowiedział, że go przyjmujemy u siebie w domu. — Boję się! Pewnie że się boję! Czy tobie się wydaje, że jestem nietykalny? — Karolku, któżby się odważył, na twoim stanowisku! — Przerażasz mnie swoją naiwnością. Moje stanowisko? Nic bardziej niepewnego. Jutro mogą mnie zamknąć, pojutrze rozstrzelać i koniec pieśni. Mnie nie wolno siebie stawiać w dwuznacznej sytuacji. Poczekaj ze sześć miesięcy, rok, do tego czasu będziemy o nim coś niecoś wiedzieli, zobaczymy po co wrócił, wtedy — Nie przypuszczasz chyba, żeby wrócił w jakichś podejrzanym zamiarach. — O słodka naiwności! Ja nie wiem po co wrócił, nikt nie wie, trzeba czekać, obserwować, aż puści farbę. — Ależ to nonsens! Wrócił, bo co miał robić? To jego kraj, jego ojczyzna. Niewinny człowiek a ty od razu — Basiula, nie ma niewinnych, tylko autentyczny wariat jest niewinny. Jeśli ktoś na oko wydaje się niewinny, to tylko dlatego że lepiej się zamaskował. Wierz mi, mam praktykę, codziennie w Urzędzie mam do czynienia z niewinnymi. Niewinność, moja droga, jest zawsze podejrzana, zawsze warto w niej pogrzebać i zwykle okazuje się, że trud nie był daremny. — Dominik już przed wojną był socjalistą. Nawet miewał z tego powodu kłopoty w gimnazjum. Gdy w fabryce jego ojca wybuchł strajk, to on zorganizował wśród uczniów gimnazjum zbiorczą dla strajkujących. O mało go za to nie wylali z budy. — Przed wojną twój Dominik — Nie mów mój Dominik! — Przepaszam. Przed wojną on miał siedemnaście lub osiemnaście lat, co to za socjalista w takim wieku? Zresztą, zapewniam cię, najgorsza reakcja to właśnie ci wszyscy przedwojenni radykałowie. Byle głupstwo i zaraz się taki załamuje, krzyczy, że zdrada ideałów, takie bzdury, a wsadzić takiego na dwa miesiące, to potem już wróg na całe życie. Daj sobie

spokój z Wielgockim. Przedwojenny fabrykant, nie podchodzić do takiego! Na sto metrów czuć dywersją! — *Basiula, nie chcę cię martwić, ale mnie już czas zbierać się do pociągu.* — *Nie! Tak mi się dobrze przy tobie leżało, nawet zasnąłam na chwilę. Jeszcze nie musisz iść. Powiedz, że jeszcze nie musisz iść.* — *Muszę, przykro mi, ale muszę.* — *Weź mnie jeszcze raz.* — *Nie zdążę.* — *Zdążysz, Karolku.* — *Nie, dzieciно, wierz mi, nawet nie próbuj tego, zostaw, Basiula, zostaw, ja naprawdę — Dlaczego skuliście mi ręce? Jestem towarzyszem partyjnym, nie można mi było przynajmniej tego upokorzenia zaoszczędzić?* — *Towarzysz partyjny? Ty? Ty nie bluźnij, ty!* — *Zawsze w sobie to piekło noszę, nie dopiero teraz, ona myśli, że dopiero ten telefon, ile ja nocy nie przespałem, człowiek leży, patrzy w sufit, męczy się, zawsze tak, jakby ktoś stał za drzwiami, czekał, czaił się, nerwy, oczywiście.* — *Nie zapomniałeś czego?* — *Zdaje się, że nie. Teczka, prochowiec, to wszystko. Tak mi się nie chce odjeżdżać od ciebie, Basiula.* — *Nie jedź. Jutro dam znać do biura, że zachorowałeś, oni przetelefonują do Warszawy.* — *Nie, lepiej już raz z tym wszystkim — Tego się nie odwlecę, zły numer wyciągnąłem na loterii, zresztą, nawet, prędzej czy później ktoś zadzwoni, drzwi się otworzą, ktoś wejdzie, Przyszliśmy po was, tak jest lepiej, pojedę, wyjaśnię, co wyjaśnię? no, co ja mam do wyjaśnienia? przecież nie mogą mnie pociągać do odpowiedzialności za to, że robiłem to, co do mnie należało.* — *A właśnie, że mogą, towarzysz Ostuda. Poprawność obecnej linii działa retrospektywnie i dopiero w jej świetle można obiektywnie osądzić, kto się od poprzedniej oddalił, kto ją karygodnie wypaczył. Czyż inaczej byłby możliwy jakikolwiek postęp? Dopiero rezultat jakiegoś działania może być podstawą do oceny samego działania. Ze wście chcieli jak najlepiej? A cóż Partię obchodzą wasze subiektywne racje?* — *Basiula, wracaj do łóżka.* — *Przyciśnij mnie do siebie, nie, nie tak, włóż ręce pod szlafrok. Taka jestem nienasycona, Karolku, zawsze mi ciebie za mało. Znowu cię chcę. Ach, żebyś wiedział, jak bardzo cię chcę.* — *Jak wrócę, Basiula, jak wrócę.* — *Nie, ja chcę teraz, tutaj!* — *Basiula, naprawdę już muszę, jak wrócę.* — *Kiedy?* — *Nie wiem dokładnie, pojutrze, przypuszczam. Gdyby mnie co zatrzymało, dam znać. Cicho! Ktoś idzie po schodach!* — *Zresztą, dlaczego mieliby od razu do nas? no, kiedyś tak przyjdą, dnia ani godziny, zacznę ulegać jakiejś psychozie, jedna*

osoba, nie oni, a poza tym po mnie nie przychodziliby nocą, mężczyzna, kroki takie ciężkie, minie nas? nie minie? minął, idzie wyżej, może klatkę schodową obstawiają? przyjdą, wywloką z łóżka, zatłuką, człowiek nie może się odczepić od tego, mania prześladowcza czy co?, jakaś zmora, przecież to wierutny nonsens, przecież — Już. — Nie, cicho, Basiuła, nie było słyhać jak otwierał drzwi. — Teraz. — Nie! — Teraz! Słuchaj, otworzył, o, teraz zamyka. Ktoś do Dunisowskich. Co ty, Karolku, nie boisz się chyba, żeby — Nie lubię, jak ludzie szwendają się po nocy po schodach. — Wyczuła, przez moment złapał mnie strach i wyczuła, oddech mi zamarł? ciało zeszywniało? co za idiotstwo tak się dać złapać, zbłąźniłem się, to mi się nigdy jeszcze nie zdarzyło, tak ulec lękowi, niby dlaczego? człowiek leży w łóżku, patrzy w sufit i przywołuje do życia jakieś chimery, potem rezultat, ktoś idzie i serce zaczyna szaleć, rozsypuję się, czy co? — Pa, Basiuła, zobaczymy się pojutrze rano. — Na pewno stoi w drzwiach, a jeśli mnie arestują? patrzy jak schodzę na dół, nie, nie, nie mam czasu, muszę na pociąg, nawet nie będę się oglądał. — Karolku! — Co, dziecino? — Pa! — Hm! całusa mi chciała posłać i jeszcze raz pokazać mi swoją nagość, co jest z tymi kobietami? tylko by kusiły, specjalnie mnie zawołała, celowo ręce podniosła, żeby się szlafrok rozchylił, żeby — Wracaj do wnętrza, Basiuła, jeszcze się przeziębisz. — Żeby w tym obrazem jej wychylonej do przodu nagości w oczach jechał do Warszawy, specjalnie, celowo, z premedytacją, żeby mi to utkwiało w pamięci, żeby mnie zżerało, żeby nie mógł o niczym innym myśleć siedząc w pociągu, żeby się męczyć, deszcz? dobrze, że wzięłem prochowiec, jakie puchy na mieście, stała w drzwiach całą siebie mi pokazując, patrz, jaka jestem, specjalnie rozpięła szlafrok, nienasycona, i tak ją zostawiłem na lodzie, czy ona widuje się jeszcze z Wygajem? — *Stawku, kochanie, nie śpisz jeszcze? Jak to dobrze! Karolek właśnie wyjechał do Warszawy, wróci dopiero pojutrze. Chcesz, żebym przyszła? Mogę na całą noc. Już lece.* — Gdyby tak coś na niego znaleźć, trudna sprawa, to już nie to, co kilka lat temu, ma czystą przeszłość, był w AK, ale to się już dziś nie liczy, z tym się już dziś nikt nawet nie kryje, co za karuzela! jeszcze z nich zrobią kiedyś bohaterów narodowych, a my w odstawkę! nie zrobiłaby tego, jakaś przyzwoitość jednak obowiązuje, przecież co dopiero byliśmy razem, cała jeszcze nagrzana od moich pieścizot, jeszcze po nich nie ostygła,

a właśnie! dlaczego by nie? *taka jestem nienasycona, właśnie teraz! tym większy dreszcz!* — *Może kiedyś, Basiulu, odezwie się w tobie sumienie i stanie ci przed oczami ogrom krzywd, jakie mi wyrządziłaś. Może wówczas zapłaczesz nad sobą i* — Nie, próżna mowa, taka logika do niej nie przemawia, ile już razy mówiłem, błagałem, groziłem, nic, nic, ona dalej swoje, na nią jest tylko jeden sposób. — *Cholera, zattukę na śmierć! Już się z tej ziemi nie podniesiesz! Przez tyle lat groziłem, błagałem, ile razy ja przed tobą płakałem? I nic! Ale teraz nadszedł koniec mojej pobłażliwości, wybije z ciebie to całe kurwienie się, przebrała się miarka, już ja cię! Leż, cholera!* — żeby teraz mogła siebie zobaczyć, wstrętna rzecz nagość, gdyby nie była przyszyła naga, ale taka była pewna siebie, że jak tylko ją zobaczę, to zaraz, no, ale do czasu dzban, wybije z niej to wyuzdanie, myśli że jej wszystko wolno, że mąż się nie liczy, że może po całym mieście latać z tym świerzbem w kroczu i byle kogo sobie, a potem do mnie i myśli, że ja nic, szczęśliwy, że wróciła! dla mnie ochłapy wystarczą, i tak będę wdzięczny! — Leż, nie ruszaj się! Nie pozwoliłem ci wstawać! Bo znowu uderzę! — Nie bij! Nie bij! — Dobrze, skoro tak ładnie prosisz, nie będę bił. Podnieś się na kolana. Proś o przebaczenie! — Karolku, przebac! — Nie żadne Karolku! Mężu! — Przebac, mężu! Przebac, przebac mi nędznej! Przebac mi moje wiarołomstwo, tyle razy próbowałam, przebac, przebac, błagam cię! — Co próbowałaś? — Poprawić się. — I nic? Wobec tego ja ci pomogę. Leż! Nie pozwoliłem ci się podnieść. Pozwoliłem? — Nie, mężu. — O, widzisz, nauka zaczyna po mału skutkować. Zaczyna? — Tak, mężu. — Jesteś kurwa, ale ja znalazłem na ciebie sposób i pomogę ci się wyzwolić z twego kurstwa. Tak cię teraz oporzadzę, że już nigdy nikomu nie przyjdzie chętka zwalić się z tobą do łózka! Żyletką! O tą! Popatrz! Ludzie we wstrętem będą się od ciebie odwracali. Ale najpierw obejmij mi kolana ramionami i powtarzaj za mną: Jestem kurwą, przebac mi, mężu! — Jestem kurwą, przebac mi, mężu! — Jestem apokaliptyczną kurwą, przebac mi, mężu! — Jestem apokaliptyczną kurwą, przebac mi, mężu! — Jestem największą kurwą, jaka kiedykolwiek żyła we wszechświecie, paszczą wielgachną ziejącą chucią niezmierną, bladzią kosmiczną — *Nie! nie! tak nie można, trzeba się opanować, człowiekowi aż ciarki przebiegają po skórze, przecież do tego stopnia jeszcze nie zbydłęciałem, przecież, ona ma rację, to jakieś zboczenie,*



już z tego wszystkiego zaczynam zmysły tracić, tak się nad nią znęcać, tak ją z błotem, z gnojem mieszać, przecież kiedyś jeszcze się zapomnę i — *Basiula, postuchaj mnie, tak dalej nie możemy. Musimy mieć do siebie zaufanie. To straszne tak żyć, jak my z sobą żyjemy. Nie jestem jak jakiś kapo w obozie koncentracyjnym, żeby koło ciebie cały czas z pałką chodzić. Nie zmuszaj mnie do tego! Nie każ mi się tak upadlać! Ratuń mnie, Basiula, przed samym sobą!* — Może się wrócić do domu? może jeszcze nie zdążyła wyjść? jest późniejszy pociąg, trochę się spóźnię, ale to nic, Hibisz i tak na pewno każe mi na siebie czekać. — *Basiula, czy nie widzisz, że to ty właśnie wyzwalasz we mnie tego jakiegoś potwora. Czasem to już sam siebie nie poznaję. Nigdy bym nie podejrzewał, że tyle we mnie nabierało się złości, tyle nienawiści. Żebyś wiedziała, ile ja wstrętu czuję do siebie! Czasami taki jestem na ciebie rozwścieczony, że gotów bym cię zabić i muszę się wszystkimi siłami hamować, żeby do reszty nie stracić głowy. A przecież cię kocham, czy nie widzisz tego, Basiula? Czy nie widzisz, że ja bez ciebie żyć nie mogę?* — U Sierczewicza w Komitecie Powiatowym jeszcze się pali, ano, Sierczewicz pracuje, noce zarywa, lokatę sobie nabija, gorliwiec! ale jemu też, na to szczepionki nie ma, jemu też noga się kiedyś powinie, tylko kwestia czasu. — *Musimy, towarzyszu Ostuda, mieć zaufanie do klasy robotniczej. Jesteśmy jej Partią, nie stróżem. Wam się ciągle wydaje, że naród to jest wróg, którego trzeba ujarzmić. Wy musicie zrozumieć, Ostuda, że my właśnie jesteśmy częścią tego narodu. Jeśli mu przewodzimy, to dlatego, że jesteśmy jego najlepszą, najszlachetniejszą częścią, to dlatego, że posiadamy bardziej rozwiniętą i zorganizowaną świadomość klasową. Ale to wcale nie znaczy, że możemy naród i klasę robotniczą ignorować, narzucać mu naszą politykę. Przeciwnie, musimy uważnie wsłuchiwać się w to, co naród myśli, co czuje, czego chce, a potem cierpliwie tłumaczyć mu nasze poczynania. Jesteśmy zarazem jego przewodnikiem i sługą. Trzeba mieć pokorę, towarzyszu Ostuda, schylić głowę przed klasą robotniczą i zaufać jej nieomylnemu instynktowi. — Jakbym ja nie wiedział, co naród myśli! taki chłystek, bo szkołę partyjną skończył, mnie będzie uczył! ja na partyjnej robocie zęby zjadłem, wsłuchiwać się, wachać! wszyscy po październiku potracili głowy i biegają w kółko jak pies koło własnego ogona. — Busole klasową zgubiliśmy, ot co, towarzysze!* — Albo to

zrozumieją! w pokorę przed narodem uderzyli, już nas naród tak kiedyś zdzielił po głowie, że — *Pokorę? O jakiej pokorze mowa? Nie jesteśmy straganiarzami na rynku, żeby się targować. My rządzymy, koniec, kropka! Słuchać, co naród chce i co? Władzę mu oddać? Aha! Tak daleko to znowu my nie! Więc po co ten bajer? Do kogo? Z czym? — Z nimi ten kłopot, że nie chcą zrozumieć najprostszych prawd, taki inteligencki wstręt do nagiej prawdy, tego nam nie wolno, bo sobie rączki pobrudzimy, paluszki! tego nie, bo sobie zrazimy ludzi, kury im macać, a nie do rewolucji się brać! taktyka, każdy błąd można wytłumaczyć taktyką, owszem, taktyka, ale skierowana na wzmocnienie naszej władzy, a nie na jej osłabienie, coraz liczniejsze rzesze społeczeństwa zaprzęgać do udziału w władzy? czysta demagogia! po co? żeby nas niepostrzeżenie wysiudali? przepędzili na cztery wiatry? kury im macać, rewolucjoniści od siedmiu boleści! pustki na dworcu, facet śpi na ławce, rozwalął się jak u siebie na łóżku, powinni takich przepędzać stąd, jak to wygląda? na ławce, rozwalony jak, rozmamłany, na pewno pijany, cholera, a w poczekalni? parę osób, no tak, knajpy zamknięte, to tu przyszli. — Proszę duże jasne. — Pociąg, chyba towarowy, tak, ależ długi, jedzie pociąg z daleka, ani chwili nie czeka, cały budynek się trzęsie, i huknęło i zagrzmięło i ziemia zadrżała i rozewały się chmury i ozwał się wielki głos, bzdury, skąd to człowiekowi łązi po głowie? czas wyjść na peron, jeszcze ten towarowy widać, ostatni wagon połyskuje czerwonym światelkiem, zaraz zniknie, zniknął, i znowu ciemność zapadła nad ziemią i pogrążył się człowiek na nowo w swój odwieczny los przeklęty, ech! — Pan szanowny pokaże bilet. — Co za ton? jakim tonem, człowieku, jakim to tonem? zaraz zobaczymy jak mu mina zrzędzie, no masz, służbowa legitymacja, bydłę, cholera, pokazać takiemu służbową legitymację, zaraz dłoń do daszka przykłada, zaraz papierosa z ust wyjmuje, w portki robi, bo mógłbym na niego złożyć meldunek, że pali w czasie służby. — Palcie dalej, po nocy samemu to i nudno. — Wstrętna jakaś służalcza wdzięczność, co za naród, tylko człowieka na oczy zobaczą, już się pod nimi kolana załamują, stare jakieś lokajskie nawyki, dumy skurwysynów trzeba od początku uczyć. — To ten pociąg? — Tak jest, obywatelu majorze. — Szkoda, że nie ma wagonu restauracyjnego, może będzie od Poznania, ale jest pierwsza klasa, można żyć, tylko żeby przedział jakiś pusty, nie ten, ten też nie, ten jest pusty, nie*

lubię, żeby mi kto chrapał nad uchem, albo smrodził pod nosem zapoconymi skarpetkami, przynajmniej spokojnie, aha, przecież gdzieś mam gazetę, gdzie ją włożyłem? jest! poczytamy. „NA WARSZTACIE KOMISJI SEJMOWYCH. ŚWIATŁA I CIENIE POLSKICH EKRAŃ (OBSŁUGA WŁASNA)”. „ŁAJKA ŻYJE — STWIERDZA UCZONY RADZIECKI. DZIŚ SPUTNIK II ZNÓW NAD POLSKĄ”. „TELEFONEM OD WŁASNEGO WYŚŁANNIKA: POLSKA DELEGACJA PARTYJNO-RZĄDOWA ZŁOŻYŁA WIENIEC W MAUZOLEUM. OSTATNIE CHWILE JUBILEUSZOWYCH UROCZYSTOŚCI”. Światła uciekają do tyłu, sprawnie ruszył, nawet nie zauważyłem kiedy, już ostatnie domy miasteczka, teraz tylko same pola, lasy, ciemność, tam jakieś światełko, a może to gwiazda tak nisko nad horyzontem? trudno powiedzieć gdy się jest w ruchu, samemu znaleźć się wśród takiej pustki, w ciemnościach, że choć oko wykol, człowieka aż strach oblatuje, Niedźwiedzia należy podziwiać, odważny, do jaskini lwa, znowu drobne światełka, wioska jakaś, jabłonie pachną, grusze, *a dziewczyna jak malina niesie koszyk róż czerwonych*, krowy porykując wracają z pastwiska, skrzypi żuraw studzienny, *a dziewczyna jak malina*, ja wam dam maliny! kołchoz zakładać! a nie roztkliwiać się nad zapachem łajna krowskiego. *Dzwonek? pewnie Basiuła zostawiła klucz i teraz — Czy pan kapitan Ostuda? Bardzo się cieszę, że pana zastałem. Miałem pewne obawy, że w ostatniej chwili mogą zejść jakieś nieprzewidziane okoliczności i wówczas — Obawiam się, że nie bardzo wiem z kim mam — Zaraz wszystko wytłumaczę. Nie zaprosi mnie pan do środka? — Ależ proszę bardzo. — Nie lubię jak ktoś tak obcesowo, niby kto on? to co że pułkownik? jak ktoś sobie tak obcesowo ze mną poczyna, gdyby był niższy rangą, zrugałbym jak święty Michał diabła. — Proszę siadać. — Jestem pułkownik Wildecki. Moje nazwisko, oczywiście, nic panu nie mówi. Popularnie zwą mnie Niedźwiedziem. Niech pan siedzi spokojnie, żadnych podejrzanych ruchów, mój palec wskazujący znajduje się w tej chwili na spuście pistoletu. Powiem krótko o co chodzi. Przyjechałem tu z kilkunastu ludźmi po odbiór jednego z naszych towarzyszy, który miesiąc temu miał nieszczęście wpaść w wasze łapy. Konkretnie, chodzi mi o Czesława Boruszewskiego. Mam nadzieję, że jeszcze żyje. Czekam na odpowiedź. — Żyje. — Cieszy mnie to, kapitanie. To się panu policzy na plus. A przy okazji wypuścimy na wolność*

kilkunastu ludzi, którzy się już dość namęczyli w waszych kazamatach. Oto lista. Czternastu. — Skąd wziął urzędowy formularz? to cwaniak, przyjeżdża tu z gotowym rozkazem przetransportowania więźniów do Poznania, nawet podpisany jak się należy, z pieczętką, ma jakąś wtyczkę w województwie, z numerem bieżącym, Niedźwiedź! więc to jest właśnie ten Niedźwiedź! cholerna pewność siebie, no! no! ale przecież chyba nie przypuszcza, wykluczone! oddać mu czternastu ludzi? że pójdę na tego rodzaju awanturę, no tak, ale, trudna sprawa, trzeba się skontaktować z ludźmi, jak? na pewno pozrywali linie telefoniczne. — Hm, wszyscy polityczni. A reszta? Na pewno znalazłby pan wśród nich wielu ochotników do swojej bandy. — Kapitanie, nie radzę żartować. Dowodzę oddziałem wojskowym i złodziejów, bandytów i pospolitych rzezimieszków u siebie nie trzymam. Pan sobie ich zostawi, przydadzą się na konfidentów. Teraz pan włoży płaszcz i pójdziemy. Czas leci a nie lubię przeciągać ryzyka. — Legendarny Niedźwiedź, nigdy nie przypuszczałem, że się z nim, chyba teraz mnie wykończy, i to oko w oko! wykończy, wiadomo, face-  
tom z bezpieczeństwa nie przepuszcza, pod nóż! taka u nich reguła, albo na gałąź, z kilkunastu ludźmi, co znaczy z kilkunastu? miasta przecież nie opanowali, raczej na gałąź, efektowniejsze. — A jeśli odmówię? — Nie odmówi pan. Transakcja odbędzie się na pewnych warunkach. W zamian za Boruszewskiego oddam wam Hibisza. — Zgadza się, Hibisz żyje, mówiłem, od samego początku, od kiedy przepadł twierdziłem, że żyje, gdyby nie żył, dawno bylibyśmy znaleźli ciało, Niedźwiedź wystawia trupy na widocznym miejscu, żeby służyły jako przestroga, a gdyby skoczyć do drzwi? nie, sięgnie. — *Towarzysze, nie miałem innego wyjścia, no, co miałem zrobić? Musiałem się zgodzić. Przez cały czas trzymał mnie na muszce. Zresztą nie rozumiem czego właściwie ode mnie chcecie, czy odzyskanie towarzysza Hibisza nie było ważniejsze, niż oddanie Boruszewskiego i kilku rzezimieszków?* — Jaką mam pewność, że Hibisz jest w pańskich rękach? I w ogóle, że pan dotrzyma słowa? — Nie ma pan absolutnie żadnej, może się pan tylko zdać na moje słowo. — A jeśli mimo to odmówię? — I tę możliwość wziąłem pod uwagę. Niech pan popatrzy na tę kopertę. Co w środku? Zaraz pan zobaczy. Proszę. Puderniczka, pomadka do ust. Już się pan zaczyna domyślać? Klucze, dowód osobisty. Otworzyć? — Co pan zrobił z moją żoną? — Przebywa w bezpiecznym miejscu i nic

jej nie grozi. Wróci do domu, jak cała ta wyprawa zostanie pomyślnie zakończona. Może pan być spokojny, nic jej od nas nie grozi, my nie gwałcimy kobiet. Idziemy! — *Wypuściliście z rąk czternastu zaciekłych wrogów Polski Ludowej! — Uratowałem Pierwszego Sekretarza Komitetu Powiatowego Partii!* — A może im nie na rękę było, że Hibisz wrócił? zwracam im człowieka a oni na mnie z pyskiem, że kilku oprychów wypuściłem, komuś przeszkadzał, na pewno, byłiby woleli, żeby całkiem przepadł, wiadomo, rozgrywki personalne, zresztą jeśli o tych oprychów idzie, to większość z nich i tak po kilku miesiącach znalazła się z powrotem pod kluczem. „WYSTĘPUJĄCY W IMIENIU OPOZYCJI LABOURYZYSTA NOEL — BAKER OŚWIADCZYŁ, ŻE PROBLEM ROZBROJENIA ZNALAZŁ SIĘ W ŚLEPYM ZAUŁKU W WYNIKU „ZASADNICZYCH BŁĘDÓW RZĄDU ANGIELSKIEGO”. „WEDŁUG DONIESIEN AMERYKAŃSKIEJ AGENCJI ASSOCIATED PRESS, PODCZAS ROZMÓW Z BRITYJSKIM MIN. ZAOPATRZENIA WOJSKOWEGO JONESEM A BOŃSKIM MIN. OBRONY STRAUSEM, KTÓRE ZAKOŃCZYŁY SIĘ W PIĄTEK, ROZPATRZONO PROBLEMY ZAOPATRZENIA W BRONĀ RAKIETOWĄ ZACH. NIEMIECKICH ODDZIAŁÓW NATO, JAK RÓWNIEŻ ZAGADNIENIA PRODUKCJI TEJ BRONI W NIEMCZECH ZACHODNICH”. — *Gdyby się kto pytał na Komendzie, wytłumaczy pan, zgodnie z prawdą, że przyjechałem z Urzędu Wojewódzkiego, a ponieważ regularnie odstawiacie część więźniów do województwa, nie powinno to wzbudzić żadnych podejrzeń. Zresztą pana interes w tym, żeby nie wzbudziło. — Mój interes, trudno, trzeba iść, mówi się trudno i kocha się dalej, chodźmy, nieprzyjemna sytuacja, co za tupet! do jaskini lwa! jeśli spróbuję dać nura, cały magazynek wpakuje mi w plecy, już widzę siebie leżącego pod ścianą, z rozrzuconymi ramionami, głowa w kałuży krwi, lepiej zaniechać, może później? jeepem przyjechał, wojskowe znaki rejestracyjne, kierowca też w mundurze KBW, no tak, któremu milicjantowi przyszłoby do głowy sprawdzić czy wóz rzeczywiście wojskowy, na pewno i tak ma papiery w porządku, kurwa mać! żeby się dać złapać w taki potrząsk! jedźmy, zobaczymy co będzie dalej, może jakiś milicjant nawinie się pod rękę, jaki ja jednak jestem głupi, i co? krzyknę do milicjanta, żeby co? rozwaliliby mnie z miejsca, milicjanta też, jasne, i jaki z tego pożytek? dla kogo? *boha-**

*terską śmiercią zginął na polu chwały, dziękuję, nie używam, nie kupię.* — Jesteśmy na miejscu. Prowadźcie, kapitanie, do budynku. — Dwie kryte ciężarówki, wojskowe, oczywiście, w biały dzień mógł przyjechać, przy odrobinie szczęścia operacja też byłaby się udała, ilu może mieć ludzi? trzydziestu? czterdziestu? to może być siła, na pewno uzbrojeni po zęby, no, nie mówmy hop, jeszcze się nie udała! kto dziś na służbie w dyżurce? Cieplak, ale się zerwał na nogi, spał, cholera, już ja mu pokazę spanie na służbie, drań, banda pod oknem a on sobie w najlepsze — Towarzyszu... pułkowniku, kapral Cieplak melduje się na służbie. — Spocznijcie, kapralu. Co tu u was słychać? — Na ogół spokój, towarzyszu pułkowniku. — Na ogół? — Jeden z więźniów awanturował się pod wieczór, musieliśmy mu sprawić manto i wsadzić do ciemniaka. — Któryż to? — Grała, towarzyszu kapitanie. — W śledztwie pod zarzutem zamordowania magazyniera jednego z okolicznych tartaków, poza tym istnieją podejrzenia, prawdopodobnie uzasadnione, że w czasie wojny współpracował z Gestapo. Bardzo skomplikowana sprawa. — Hm. Kaźcie, kapitanie, tych ludzi odstawić na wozy, a jeśli idzie o Boruszewskiego — Telefon! co za spokój, nawet mu powieka nie drgnęła, to znaczy nie pozrywali telefonów, interesujące, jabym tak nie umiał, żadnej reakcji, nerwy by mnie rozsądziły, tak nic nie dać znać po sobie, zresztą kto wie, zależy od sytuacji, na pewno doskonale się orientuje jaką rozporządzamy siłą ognia, trzeba będzie pomyśleć żeby na przyszłość taka niespodzianka — Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa do towarzysza pułkownika Wildeckiego. — Sprytnie! powinszować! rzecz przemyślana z zegarkiem w ręku, koordynacja! gdyby Cieplakowi w jakiś sposób, ale ten idiota wpatrzony w niego jak w boga, pułkownik! trzeba będzie zainstalować jakiś system alarmowy, dzwonek gdzieś w podłodze, podłączyć z komendą MO, gdzieś w podłodze taki mały guzik, żeby można było niepostrzeżenie nastąpić, i żadnego tu hałasu, jakby nigdy nic, za pięć minut, gdy wyjdą przed budynek, a tamci ich łubodu! albo opracować jakiś system znaków tak, żeby każdorazowy dyżurny — Dziękuję wam, kapralu. Pułkownik Wildecki. Słucham. Dobrze. Tak. Już niedługo. Nie przewiduję żadnych komplikacji. Tak. Jasne. No to dowidzenia. Cześć! — A ten bałwan Cieplak myśli, że — O czym to ja? Aha, kaźcie, kapitanie, tych ludzi przeprowadzić na wozy. — Kapralu, zajmijcie się tym. — Ale ja sobie to kiedyś odbiję, pocze-

kam, za rok, za dwa, za dziesięć, nie daruję, własnoręcznie piłą łeb odetnę, jeśli sam wyjdę z tego, tu mnie rozwali, zawsze lepiej cichaczem, piłą, cholera, na razie niech on sobie, ale to jeszcze nie koniec zabawy, zobaczymy kto się będzie śmiał ostatni. — Dziękuję wam, kapitanie, ale najpierw jeszcze każcie ściągnąć Boruszewskiego do waszego biura. No, ruszajcie się, kapitanie, nie będziemy tu przecie całą noc — A gdyby Cieplakowi jakoś, wszystko jedno, spróbuję, może się pokapuje. — Kapralu! — Zostawcie go, kapitanie, później sobie porozmawiacie. Walcie po tego, jak mu tam? Boruszewskiego. Chodźmy! — Nie udało się, to był głupi odruch, gdzie moja inteligencja? zresztą co mógłbym mu powiedzieć? trzeba było wcześniej się zastanowić, trzeba poczekać. — Nie będziecie chyba mieli nic przeciwko temu, jeśli usiądę sobie za waszym biurkiem. Słuchajcie, kapitanie, nie podoba mi się wasze postępowanie. Zresztą to było bardzo nieudolne. Co wyście mu chcieli powiedzieć? Jedno nieostrożne słowo i koniec z wami! Proszę się co do tego absolutnie nie łudzić! Rozwalę wszystkich co do jednego! I całą budę puszcze z dymem! Tu przesłuchujecie więźniów? — Przeważnie. — Przeważnie co? — Przeważnie tutaj przesłuchujemy więźniów, panie pułkowniku. — No! — *Sukinsyn, nawet mojej godności nie uszanował, pewnie, że to boli, was by nie bolało?* ostatecznie nie jestem oficerem z powojennego naboru, walczyłem, krew swą najdroższą, w partyzantce dali mi porucznika, a jego kto zrobił pułkownikiem? no, nie, nie trzeba znowu przesadzać, był pułkownikiem jeszcze w trzydziestym dziewiątym roku, inteligent, ta cholerna pewność siebie, i zawsze tak jakby w salonie na przyjęciu, ciekawe co się z nim stało, nawet zagranicę? a może został w kraju, zamelinował się gdzieś w jakimś małym miasteczku, nie, w Warszawie łatwiej się zgubić, może nawet do Partii wstąpił, pomyśleć! co bym zrobił, gdybym go teraz spotkał? dziś im wszystkim poodpuszczali stare grzechy, ale chyba nie w jego wypadku, te wszystkie mordy, wisielcy na skrajach wsi, małoż tego sam widziałem? — *Dziękuję wam, kapralu, a teraz zakręćcie się wokół tych pozostałych. I żeby mi to dłużej nie potrwało, niż pięć minut, zrozumiano?* — Tak jest, towarzyszu pułkowniku. — No, jak, Czesiek? Przyjechałem z chłopcami po ciebie. Zmizerniałeś. Kapitanie, zdejmijcie mu te kajdanki. Bili cię, Czesiek? — Oj, panie pułkowniku, czasami to już myślałem, że wykituję. Najgorzej jak szef bił bykowcem. — Pan go bił bykowcem,



kapitanie? Kapitanie? Pan słyszał moje pytanie! — Panie pułkowniku, tu jest jednak, było nie było, Urząd Bezpieczeństwa, tu się ludzi bada, przesłuchuje. — Biję? — Jak trzeba, to się i bije. A jak pan sobie wyobrażał pracę aparatu bezpieczeństwa? — Nie prosiłem o komentarze. Pan odpowiada tylko na pytania, zrozumiano? — Tak jest, panie pułkowniku. — Zdejmij, Czesiek, koszulę. No, przyjemny widok to nie jest. Przyjemny, kapitanie? — Nie, panie pułkowniku. — Dupę też ci tak zmasakrowali? No, dobrze, wciągaj spodnie z powrotem. Bykowcem, powiadasz, cię bił. — Tak bił, panie pułkowniku, że nie można było wytrzymać. A jak mdlałem, to mnie cucili wiadrem wody i na nowo. — Pan pokaże ten bykowiec. Prędkiej! No, no! To pan tu sobie wcale nie zły arsenalik w tej szafie skompletował. Proszę! A skąd wy tyle tych bykowców tu nagromadziliście? W tym budynku w czasie wojny było, zdaje się, Gestapo, tak? — Tak jest, panie pułkowniku. — To spadek po Gestapo? — Częściowo tylko, te cztery są poniemieckie, reszta już produkcji krajowej. — Z jaką to dumą powiedziane „produkcji krajowej”! A teraz pokażcie mi, kapitanie, którym to bykowcem wyście go bili. — Ależ, panie pułkowniku, pan nie ma prawa, ja sobie wypraszam — Pan sobie co? Pan sobie co? — Przepraszam, panie pułkowniku. — Dalej! — Nie miałem prawa tak się wyrazić. — *Bydlę, tak zgnoić człowieka, nawet Dawidow, a to był przecież sukinsyn jakiemu równego po całej Polsce, ba! po całym Związku Radzieckim szukać, nigdy nie posunął się tak daleko, zbeształ, owszem, rodzinę po kątach porozstawiał a jak wpadł w szat, to i spluwą groził, ale szanował moją godność, nie zmuszał, żeby się człowiek przed nim sam upadłał.* — No, ja myślę! Który to był bykowiec? — Ten. — Tym bykowcem cię bił? — Tak. — Dobrze. Spocznijcie, kapitanie, a bykowiec połóżcie na stół. To już polskiej produkcji, czy jeszcze gestapowski? — Gestapowski, panie pułkowniku. — Czemuż to tak? Polskie nie dobre? — Kwestia przyzwyczajenia, panie pułkowniku. — Nie wstydzicie się tak? Tak się z Polakami obchodzić? Milczycie? Jasne, bo co tu można powiedzieć? No dobrze, wobec tego załóżcie mu z powrotem kajdanki i zawołajcie kaprała, niech go odprowadzi do mojego jeepa. A ten bykowiec zabierzemy z sobą. Wy pojedziecie z nami. Nie macie się czego obawiać, po prostu środek ostrożności, po wszystkim wróćcie sobie do domu. — *Żadnej nawałanki, Cieplak dalej na służbie, tamten z karabinem przed*



*bramą, nikt się nie pokapował, dopiero rano, gdy mnie nie będzie, no, spóźnia się, zasnął, poczekają do dziesiątej, potem zaczną dzwonić, już jesteśmy na szosie starotarnowickiej, ale zanim się domyślą co się stało, zanim się skontaktują z Poznaniem, zejdzie do jedenastej, wtedy dopiero po rozum do głowy, przecież to była banda! uprowadzili go! wtedy dopiero szum, a my gdzie już wtedy będziemy? szukaj wiatru w polu! ładne te wille w ogrodach, tu trzeba było sobie wziąć mieszkanie, cały dom z ogrodem, podobno w niektórych nawet baseny do pływania, ale Basiula się uparła, nie, za daleko do miasta, pięć minut drogi! to jest daleko? zresztą od czego wóz służbowy? gdzie mnie wiozą? że też nigdy nie przewidziałem takiej możliwości, ileż to już takich napadów było w różnych punktach Polski! gdzie tam! do głowy by nie przyszło, kto by się ośmielił? Urząd w samym centrum miasta, samobójstwo! cmentarz, pola, już za miastem, co jest? zatrzymujemy się? — Zdejmiemy ci, Czešku, te kajdanki i dla odmiany założymy kapitanowi. Poobcierały cię? Od tego nie umrzesz, na miejscu znajdzie się trochę maści, przez tydzień się zagoi. Kapitanie, ręce! Wcale nie dlatego, żebym się obawiał, że uciekniecie. Po prostu dla nauki. Nigdy nie mieliście rąk skutych? Teraz będziecie wiedzieli jak to smakuje. Możecie zejść na szosę rozprostować nogi. — Teraz tamtych rozpuści, niech rozpuszcza, my ich znowu, jednak dużo tego wojska ma z sobą, będzie z pięćdziesięciu ludzi, nie rozumiem jak to się dzieje, ciężarówka, jeep, od czego milicja w terenie? ORMO? co oni robią? śpią? trzeba by każdy samochód kontrolować, no więc kontrolujemy, przecież trzeba z tym wreszcie skończyć! — Wszyscy wyłazić! Rozkujcie ich! Jesteście panowie wolni. Kto chce, może iść do domu. Kto chce, może przystać do nas, ale ostrzegam, u mnie miodu nie ma, ciężka służba, dyscyplina surowa. Jeśli idzie o przyszłość, niczego nie obiecuję i nie chcę was zwodzić, prędzej czy później czeka was śmierć w walce, poniewierka, albo więzienie i kula w łeb z ręki wroga. — *On już wtedy wiedział, że walczy ze straconych pozycji.* — Panie pułkowniku, w domu zostawiłem żonę z dzieckiem, więc ja chyba — Nie musi się pan usprawiedliwiać, to panu hańby nie przynosi. Ci, którzy decydują się zostać z nami, niech przejdą na tę stronę. — Trzech, tylko trzech bohaterów się znalazło? coś słabo z rekrutacją, pułkowniku, nikt się nie chce bić o wolną Polskę, ale, dranie, wilkiem na mnie patrzają, tylko ich spuścić ze smyczy, rozszarpałoby mnie na kawałki.*

— Panie pułkowniku, jeśli pan pułkownik pozwoli, zanim się rozejdziemy może załatwimy się z tym sukinsynem. Zeby pan wiedział, co on z ludźmi wyrabia! — Nie, kochani, rozumiem was, ale nie mogę na to pozwolić. U nas obowiązuje regulamin, żadnych samosądów. Zmykajcie, panowie, i szczęście Boże! — *Zdaje się, że pociąg zwalnia, tam jakieś światełka, tam też, coraz ich więcej, to będą Szamotuły, tak, nie ma sensu iść do poczekalni, za pięć minut pociąg do Poznania, ciekawym gdzie on się wtedy podział, przecież człowiek nie igła, żeby się zgubić jak w stogu siana, gdyby mi wówczas dali dwie kompanie KBW, można było jeszcze wezwać do pomocy kilka kompanii radzieckich, bylibyśmy gruntownie przeszukali lasy, głowę dam, nie byłby nam się wywinął z matni, ale zawsze to samo, nie ma ludzi, z kapucyna wam wytrzepiemy? nic dziwnego, że trzeba było tyle lat, żeby to całe podziemie wytępić, już kolejarz wyszedł z dyżurki, dzwonek, zaraz powinien nadjechać pociąg, żeby tylko znaleźć pusty przedział, ale wątpię, zobaczymy, zdaje się, że nic z tego nie będzie, jedna kobieta, no, nic nie szkodzi, zresztą wcale nie brzydka, lepsze to, niżby tu miała siedzieć jaka stara ropucha, co jest z tymi kobietami, ledwie mężczyznę zobaczy, zaraz po nim powłóczyłym spojrzeniem, zaraz to, tamto, ta też, już zakłada wysoko nogę na nogę, no ma ładne uda, więc co? one wszystkie kurwy, jedziem. — Pan daleko? — Do Poznania. — Pan często na tej trasie? — Rzadko. — Czy ma pan może zapalki? — Proszę. — Pan to chyba na delegacji. Zgadłam? — Tak. — Często jeżdżę, tylko spojrzę, już wiem kto prywatnie, kto za delegacją, ciekawe, prawda? — *Położcie się, kapitanie, na podłogę. — Nie chce, żebym się zorientował dokąd mnie wiozą, bardzo słusznie, bo jeśli cało wyjdę z tego interesu, niewygodnie, mogliby dać coś pod głowę, cholerny ziąb ciągnie od blachy, jeszcze nabawię się kataru, zmartwienie! mogą powiesić albo w łeb strzelić, żywcem zakopać, wrzucić do dołu z wapnem, ale jeśli cało wyjdę, to klnę się na Boga Ojca i Trójcę Przenajświętszą, że nie spocznę dopóki, powieszę najpewniej, na własnym pasku od spodni powieszę, po co marnować amunicję? dopóki go nie znajdę i własnoręcznie łba siekierą nie odrąbię, tak mi dopomóż, amen, kyrie elejson i w ogóle, zdaje się, że skręciliśmy z szosy, w którą stronę? przegapiłem, pod kołami piasek, pewnie okrążamy miasteczko od północnej strony kierując się w stronę Strzybnicy, potem w lasy zanajdrzańskie, trzeba było dawno spacyfikować, rzucić całą dywizję,**

otoczyć, przegrabić w jedną i drugą stronę, już jabym wiedział jak się do tego zabrać, mielibyśmy święty spokój, Niedźwiedzia kiedyś osobiście powieszę na rynku w Najdrzycach, lepsze niż odrąbywać głowę, powieszę, spędzę mieszkańców, niech patrzą jak zdycha ich bohater, trupa zostawię na szubienicy, niech przez tydzień sobie dynda, ja ich nauczę respektu dla Władzy Ludowej! niech wisi! ale ziąb, nie sposób zasnąć, zresztą trzęsie, żeby go! skręciliśmy na lewo, żwir, asfalt, już gładko, jesteśmy na szosie znowu, jak to jest możliwe, żeby Niedźwiedź tak swobodnie mógł poruszać się po terenie? — *Ma swoich ludzi po wsiach i miasteczkach.* — *Ba, to my o tym nie wiemy? Ale jak ich rozpoznać?* — *Dajcie mi wolną rękę, towarzysze, podejmuję się tego dokonać. Za pół roku teren będzie czysty.* — Nie potrafiłbym? ho! ho! to wszystko odbiera człowiekowi chęć do życia, gdzie Basiula? *my kobiet nie gwałcimy,* to znaczy, że my gwałcimy, tak? kacapy gwałcili, mnie matkę, skurwysyny, ojciec jeszcze do dziś nie przyszedł do siebie, a ojciec przedwojenny komunista, proszę was, w Rawiczu siedział do wybuchu wojny, zresztą, kto to wie, kacapy, a mało tam się band wszelkiego autoramentu szwendało? wszystko jedno kto, do dołu z wapnem takiego! tak jak wtedy tego sukinsyna, kłapał rękami jak bocian, ryczał, potem powierzchnia się wyrównała, świeżo gaszone, jeszcze się dobrze nie było zsiadło, to się tak powiada gwałcili, ale ja nawet i rozumiem, tyle czasu bez kobiety, człowiek wraca do stanu pierwotnego, zresztą to dzicz, kałmuki, mongoły, zawsze była dzicz, nawet nie dobili, zostawili leżeć, dwa dni później umarła, podobno, oczywiście sam tego nie widziałem, do domu dopiero pod koniec grudnia trafiłem — *No więc skąd wiecie, że to oni?* — *Sąsiedzi opowiadali.* — *E tam, sąsiedzi! Wy lepiej takich bajek nie opowiadajcie, bo sobie jeszcze kłopotu napytacie.* — Bo to człowiek się kiedy prawdy dowie? ojca też nie było, ale możliwe, ba, pewnie że możliwe, lecz wnioskując z tego co ludzie opowiadają, nie powinno być w Polsce ani jednej kobiety poniżej sześćdziesiątki, której by Ruski nie ruszyli, a ja jeszcze jednej takiej nie spotkałem, mogła po prostu umrzeć — *Ilu sąsiadów widzieli?* — *Dwóch.* — *Jak mogli widzieć? Co, w izbie byli? Pod oknem stali? Chałupa przecież pół kilometra za wsią, a oni widzieli!* — Boruszewskiemu nogi śmierdzą, nawet papierosem nikt nie poczęstuje, pieskie zasrane życie, jak długo już jedziemy? zabrali zegarek, a mówią, że tylko Ruski! *sprzedał się na*

stuzbę tym, co mu matkę, nonsens, ani się sprzedał, ani im, trzeba żyć, inni żyją i, ano jak ktoś jest frajer, już ja wolę, żebym ja innym dawał po dupie, niż żeby mnie ktoś, ale teraz koniec pieśni, pętelka na szyję, raz kozie śmierć, gdyby kózka nie skakała, to by nózki nie złamała, zawiąza sznur na szyję, *został ci się ino, został ci się ino sznur*, za dużo we łbie literatury, jedni rodzą się do rozkazywania, drudzy do słuchania, tak jak z powołaniem kapłańskim, zresztą to jest ideologia, która mi w zupełności odpowiada, *i wierzę w ducha świętego i święty kościół powszechny*, jak się ktoś raz wychowa w tej wierze, to potem już nigdy z tego się nie otrząśnie, weszło w krew, jak trucizna. *Zaczyna się rozwidniać, jakżeż on prowadzi ten wóz! któż to widział, po takich wykrotach! lasy, słusznie, przecież mówiłem, w lasy zanajdrzańskie, koniec jazdy? przyszła kryśka na Matyska, Matko Boska, co jasnej bronisz Częstochowy, idiocieję na starość, i duszę moją Bogu polecam*, strach mi rozum zjada, nie będzie samosądu, tak powiedział, słowo oficera polskiego, przedwojennego! może zaofiaruje mi współpracę? dobrze by im było mieć swojego człowieka na takim stanowisku, co by szkodziło się zgodzić? przysięgać? proszę bardzo, ale ja nie wierzący, na biblię? talmud? koran? na „Kapitał”? wsio równo, na cokolwiek chciecie, głowa do góry, niech żywi nie tracą nadziei, czuć zapach palonej świeczyny, stanęliśmy. — Wyłaż pan! Pomóżcie mu tam który wygramolić się z wozu! — Jakaś polana w lesie, ogniska, przyjemny zapach, kawa? trafiliśmy na śniadanie, dużo wojska, co, już prowadzą? tylko do namiotu, jeszcze człowiek trochę pożyje, ciemno, a! prycza, mogli kajdanki zdjąć, przecież nie ucieknę, ile mogliśmy kilometrów zrobić? zresztą nawet gdybym wiedział — *Macie łopatę, wykopcie sobie wygodny grób. Szybko! Pluton egzekucyjny czeka. — A wówczas nasz bohater rzucił się na kolana błagalnie podnosząc dłonie: — Litości, panie pułkowniku, litości!* — Niedoczekanie jego, żebym miał o łaskę prosić, takiego gnoja! stanie się, co się ma stać, nie mam żadnego wpływu na rozwój wypadków, rozwała, trudno, a ja co bym zrobił? nie rozwaliłbym? raz na wozie, raz pod wozem, ale o łaskę prosić? najwyżej mógłbym zaproponować współpracę, jeśli w ogóle będzie chciał ze mną gadać, co tam znowu? — Pułkownik kazał podać menażkę gorącej kawy i pajdę chleba. Bierz! Pułkownik ma dobre serce, bo ja nad takim hujem bym się nie roztkliwiał, kula w łeb i koniec! — Dziecko prawie, chyba nawet

się jeszcze nie goli, po co mu ta wojaczka? tylko go brzydko nauczyli mówić, jaka dla niego przyszłość? skończy na amerykańskim żołdzie w kompaniach wartowniczych albo wpadnie w nasze ręce. — *Przestań beczeć, szczeniaku, teraz za późno na skruchę, trzeba się było zastanowić zanim zdecydowałaś się podnieść rękę na Polskę Ludową. Przyjdzie wisieć, przyjemniaczku.* — Jakby mu to wytłumaczyć, żeby rzucił to wszystko w kibinimater, po co mu to? karabin niech zamieni na tornister z książkami i do szkoły! nie rozumiałby, nabili mu głowę głupstwami o Emilii Plater, o zsyłkach na Sybir, o Moskalach odwiecznych wrogach naszych, takie duperele, romantyzm, cholera, za młody żeby rozumiał jakie na nim popełnili oszustwo. — Ile masz lat, chłopcze? — Stul pysk i nie mów do mnie chłopcze. Jestem kapralem, nie widzisz naszywek? — Rzeczywiście, wielka szarża! — Zamknij mordę! Dziękuj pułkownikowi, że jeszcze żyjesz. Jabym się z tobą tak długo nie bawił. — Wiem, wiem, powtarzasz się i to staje się nudne. — *Co za banialuki ojciec opowiada! Kto za sto lat będzie pamiętał takie drobiazgi? czy dziś kto się martwi, że w czasie rewolucji francuskiej zgilotynowano kilka czy kilkadziesiąt tysięcy ludzi?* — Powinien był siedzieć cicho, tak jak mu radziłem, gdyby jeszcze nie był oddał legitymacji, no, pół biedy, przymknąłbym oczy, stary, rozum zaczyna mu się mieszać, ale tak? musiałem reagować, dobrze przynajmniej, że udało mi się ją przechwycić zanim dotarła do Komitetu. *Przyszli po mnie, teraz będzie koniec, kto chce, niech się modli, bijcie w dzwony! może księdza tu mają? na środek polany, dwie kompanie wojska, cały cyrk, przy biciu werbli, pod wieczór, zginął jak jego dziadowie i pradziadowie z imieniem Polski na ustach, kiedy ostatnie promienie słońca cofały się za horyzont, walczył o chłopską Polskę, robotniczą, nie o pańską, walczył o Polskę ludu pracującego, jakie długie cienie, każą mi kopać grób, sam sobie wykukałem, obok tego pniaka, kto mieczem wojuje, wypowiadaj się, synu, przed Bogiem za chwilę staniesz, przed obliczem Pana naszego, nie ma werbli, zaszlachtują jak cielaka, ego te absolvo in nomine* — Bacność! — Niemożliwe, prowadzą Hibisza, więc jednak nie rozwalili, no, ale po co go tu? nagiego! stare faszystowskie metody, przede wszystkim obedrzyć człowieka z własnej godności, ręce skute kajdankami, czekali aż będą nas mogli razem, słowo oficera polskiego, *nic wam się nie stanie, zakopią do wspólnego grobu, żeby sobie zaoszczędzić pracy, nawet krzyża nie posta-*

wią, jak psa gdzieś pod krzakiem, Niedźwiedź będzie przemawiał, przy takiej okazji obeszłoby się bez przemówień? panicz! tylko pejsza mu jeszcze brak w dłoni, to spojrzenie dumne, na wszystkich z góry, on ich wszystkich ma w dupie, nie rozumiem za czym ten durny naród tak tęskni, już zapomnieli jak ich kijami pędzili do roboty? — Nie jest w moim zwyczaju darować życie ludziom bezpieki, zwłaszcza takim którzy, jak wy, dali się poznać specjalnym okrucieństwem i bezwzględnością, no, ale przyrzekłem, słowa dotrzymam. Niemniej jednak wasza zbrodnicza działalność musi zostać przykładnie ukarana. Chociażby tylko dla przestrogi. W przyszłości będziemy was mieli w dalszym ciągu na oku i jeśli się okaże, że ta przygoda niczego was nie nauczyła, postawimy was przed prawomocnym sądem wojskowym, no, a jaki wtedy zapadnie wyrok, to już inna sprawa. Dostaniecie pięćdziesiąt batów znanym wam już bykowcem. Więckowiak! Rozebrać więźnia do naga i wykonać karę! Co dziesiąty raz dać mu bykowiec do pocałowania! — Więc nie rozważka, tylko lanie spuści, coś tu nie gra, ma mnie w rękę i zamierza mnie puścić? dlaczego? bo słowo dał? to idiota, nie dziwota że oni Polskę przepierdolili, zaraz, a może, chytrus! oczywiście! okoliczności łagodzące na przyszłość sobie wyrabia, mogłem zabić, nie zabiłem, nic z tego, będzie wisiał, grzeczniej! grzeczniej! wszystkie guziki mi poobrywa! — No masz, pocałuj! — *Nie pamiętam już przy którym uderzeniu zemdlałem, nie jestem wytrzymały na ból fizyczny, nie każdy jest, nie ma się czego wstydzić, najważniejsze że się nie spodliłem, ale tłukł ten Więckowiak! ale tłukł! i co mu z tego przyszło? dawno zgnił za tą stodołą, dawno go robaki zjadły.* — Wstawać! Do samochodu! — Dobrze mu mówić wstawać, ale jak? kości mi chyba połamali, o Chryste Panie, ależ boli! przyjdzie czas zemsty, ja jestem skurwysyn, niech się nikt nie łudzi, nigdy nie zostawiam niezapłaconych długów, znowu noc, gdzież ten samochód? nic nie widać, może obóz zwinęli i odjechali? a jest! — Włazić! — Ciemno jak, jest tu kto? bandyta z eskorty, o, i Hibisz się znalazł! nie tak prędko! ludzie serca nie mają, nikt nie podniesie, nie pomoże, ciekawe dlaczego Hibisza nie bili? mogliby przynajmniej zdjąć te kajdanki, znowu po jakichś wertepach, zimno, dlaczego nie dali ubrania? zemsta jest rozkoszą bogów, święta prawda, panie profesorze, odbiję się, świat się dziś jeszcze nie kończy, tak mnie bić! tak człowieka pohańbić! rozejdzie się po całej okolicy, Ostuda dostał

po dupie od Niedźwiedzia! dzieciom do bajek kiedyś włożą, co tam? — Złazić! Pójdziecie na wprost przed siebie. Dziesięć kilometrów stąd jest wieś. Do rana dojdziecie. — A ubrania? — A na golasa się nie podoba? Dziękujcie Bogu, że z głowami uchodzicie. — Ale kajdanki zdejmują, przydadzą się dla innych, pośladki mnie swędzą, zakrzepła krew, będę się z tego kurował przez następne dwa tygodnie, nie będzie czasu, trzeba będzie natychmiast zorganizować pościg, mokro pod nogami, przynajmniej księżyc trochę przyświeca, dlaczego Hibisz się zatrzymuje? — Zda je się, że sobie stopę skaleczyłem. Nadepnąłem na jakiś ostry kamień. Strzelają? Do nas? — Niech sobie strzelają. Na postrach, żeby iść. — Pewni siebie, tak po nocy huknąć, widocznie jesteśmy daleko od najbliższego skupiska ludzkiego, dziesięć kilometrów z hakiem, co? a hak ile? dalszych pięć? trzeba wzmocnić posterunki milicji po wsiach, jakieś lotne patrole na motocyklach, na jeepach. — Nie mówcie, towarzyszu, niech sobie strzelają, bo jeszcze nas naprawdę ustrzelą. — Śmieszne w takiej sytuacji mówić mi towarzyszu, dwóch golasów, zawsze mnie traktował z góry, też inteligent, oni wszyscy jednakowi, niech strzela, po ciemku nie trafi, a odgłos strzału może w końcu kogoś zwabić, kogo? wiejskiego milicjanta? będzie się bał zapuszczać w pojedynek na takie odludzie, *jednym słowem bandy mogą sobie bezkarnie grasować, tak?* — Czy wy się orientujecie, towarzyszu, tak nawet w przybliżeniu, gdzie jesteście? — Nie słyszy, udaje że nie słyszy, sukinsyn! inteligent! pokraczny ten Hibisz! gdyby tak mógł siebie teraz zobaczyć! cała ta jego zasrana powaga! ludy, narody! trzymajcie mnie za boki, bo pęknę ze śmiechu, człowiek to jest jednak wstrętna rzecz, dopóki jeszcze ubrany, to jeszcze jako tako, ale tylko go rozebrać! — Gdzie jesteście? Nie wiem. — Przecież słyszał, to taka metoda, zwlekać z odpowiedzią, każde słowo odcedzić powoli, z namaszczeniem, że niby jaka to w nim głębia, jaka mądrość! gdyby tak teraz mógł spojrzeć na siebie, zobaczyć się tak, jak ja go widzę, z księżycem skaczącym mu po dupie! — Słyszycie? Wracają. — A co mają robić? Stać tam do rana? — Co z wami, towarzyszu? Słowa nie można zamienić? — A wam co się tak nagle zebrało na salonową konwersację? — *Nad tym się jednak warto zastanowić, Niedźwiedź nawet Hibisza nie tknął, dlaczego? no tak, Hibisz to nie bezpieczeństwo, może, on sobie parol specjalnie na nas zagiął, możliwe, chociaż co dla niego za różnica czy ktoś z aparatu*

bezpieczeństwa, czy z Partii, przecież to wszystko jedno, most, *budujemy mosty dla pana starosty*, dlaczego dla pana starosty? ot, dzieci bałamucili, *most dudni pod kołami pociągu pędzącego w głąb nocy, dudni woda, dudni, w cembrowanej studni*, a jak dalej? nie pamiętam, *więcej grzechów, proszę księdza, nie pamiętam*, czy ja w ogóle byłem kiedy szczęśliwy? pytanie źle sformułowane, czy w ogóle kiedy miałem spokój? *pokój przynoszę wam*, może będąc jeszcze dzieckiem, nie pamiętam. — *Powiedzcie mi, Hibisz, jak to jest możliwe, że Niedźwiedź, który taką do nas wszystkich zieje nienawiścią, nawet palcem was nie dotknął?* — Już ja bym z niego wszystko wycisnął, nie było podstaw, po całej awanturze przenieśli go do województwa, potem zaczęła robić karierę, jak mogłem wzbudzać podejrzenia przeciwko towarzyszowi, który cieszy się poparciem i zaufaniem Komitetu Centralnego? *Bardzo słusznie, czas odpocząć, trawa pokryta rosą, bolą mnie te gnaty, tak mi dupę rozharatać, rwie jak jasna cholera*, nie wiadomo na którym półdupku usiąść, najlepiej byłoby położyć się na brzuchu, i dać mu okazję do współczujących uwag? mogli byli nam zostawić po kilka papierosów, rozwidnia się, będzie łatwiej iść, czego on mi się tak przygląda? moje przyrodzenie go tak fascynuje? — Co wy się tak wstydzicie przede mną, że aż sobie jajka ręką zaślaniacie? — Kiedy ja wcale — Nie macie się czego wstydzić. Co wy, zakonnica? Starczy tego spoczynku, idziemy dalej. — *Im się wszystkim wydaje, psiakrew, że my, którzy wykonujemy tę brudną robotę, to już coś gorszego, jakaś druga, trzecia kategoria, chciałbym widzieć jak daliby sobie radę bez nas, dobrze im gadać o ideologii, o świadomości klasowej ludu, ja wiem jak z tą świadomością jest naprawdę, przyjeżdżają w teren na kilka godzin, dygnitarze, psiakrew, tu zerkną, tam zerkną, i cieszą się, wszystko cacy! świadomość klasowa rośnie, lud garnie się do Władzy Ludowej, i z powrotem do Warszawy w dygnitarzski fotel pierdzić, nikt z nich nie ma odwagi nawet przed samym sobą się przyznać, że oni nas wszystkich nienawidzą, czy którykolwiek z nich pomyślał kiedy co by się tu działo, gdyby nie tacy jak ja? latarni by w Polsce nie starczyło. Rzeczywiście, robi się jaśniej, jakby jaki ogień, wkrótce będzie dzień, tam jakieś chałupy, dobra jest, żeby tylko tam dotrzeć zanim się całkowicie rozwidni, słońce, rosa się skrzy, ładny dzień się zapowiada, ani jednej chmurki, piękna jesień w tym roku, a jesienią będę ci mówił o liściach czerwonych, o błotnym słońcu pulsującym*



na twych włosach, poezja, jestem wrażliwy na uroki świata, pod skorupą okrucieństwa uderzało jagnięce serce, fakt! kto nie wierzy niech podniesie rękę! proszę, wszyscy wierzą, biedna Basiula, może jej nawet nigdzie nie wywozili, zatrzymali gdzieś w Najdrzycach, gdzie oni nie mają swoich ludzi? zbyt wielkie ryzyko, wywieźli, na pewno wywieźli, nocą, nawet nie będzie wiedziała gdzie była, nocą odstawią z powrotem. — Czy ojciec chce mnie zniszczyć? Czy ojciec chce się mścić na mnie za to, co przecierpiał w syberyjskim łagrze? Jeśli ojciec sobie wyobraża, że pozwolę — Duża wieś, na miejscu zapewne milicjant, żeby się było ubranym, można by poszukać, no tak, gdyby babka miała kółka. — Co robimy, towarzyszu? — Schowamy się do tamtej drewni, potem zobaczymy. — Co za idiotyczna scena, jak tu się nie śmiać? dwóch nagusów chyłkiem przebiega przez kapuściany ogródek, pies! wyczuł, skurwysyn, tego jeszcze brakowało, ale się, bestia, rozszczękał, uspokój się, draniu! wszystkich ludzi we wsi pobudzi, dobrze przynajmniej że na łańcuchu. — No, jesteśmy. Jakies worki tu leżą. Niemieckie po nawozach sztucznych. Od biedy jest się czym okryć. — Znaczyłoby, że jesteśmy gdzieś na Ziemiach Odzyskanych, nie koniecznie, może być Poznańskie, było przyłączone do Rzeszy, kilka papierosów mogli nam byli zostawić na drogę, uwaga! ruch w chałupie! gospodarz wyszedł na podwórze, ziewa, patrzy na niebo, jaka będzie pogoda? idzie się odlać, pierdnął, a to drań! musiał tak blisko podchodzić? aż tu bździnami zawiało, teraz się po głowie czocho-ra, jak podejść do niego, żeby się nie przestraszył? — Pozwólcie, ja z nim, wy się na razie nie pokazujcie. Gospodarzu! — Wszelki duch Pana Boga! — Cholera, po widły! Zadzga mnie! — Panie gospodarzu! — Nie rusz się! Nie podchodź! Agnieszka! Agnieszka! Wołaj ludzi! Diabeł tu jakiś! — Baba nam się teraz na kark zwali, baba? babsko! — O Boże! O Jezusie! — Leć po ludzi! Prędko! Prędko! — Panie gospodarzu, niech pan się nie boi, jestem takim samym człowiekiem jak pan i jeśli tylko pan pozwoli — Diabeł, a po polsku gada! Nie zbliżać się! Zakłuję na śmierć! — No i całą wieś postawił na nogi, diabła znaleźli, utłuką na śmierć, nie ma co, z deszczu pod rynnę, widłami, kłonicami, psy, psiakrew, lepiej się wycofać do drewni i samemu za kij złapać, kij! kij! gdzie tu jaki kij? jak człowiek potrzebuje, to nigdy — Co robić, towarzyszu? Poszaleli. Jakaś masowa histeria. Trzeba ich jakoś uspokoić. — Dwóch ich jest! Patrzcie! Załtuc ich! — Ludzie, opa-

miętajcie się! Trochę rozsądku! Dajcie sobie wytłumaczyć!  
— A to bestia ten pies, jeszcze mi worek zerwie, zerwał.  
— Zbereźnik! Golizną swoją będzie nam tu świecił! Kamieniami! — Dzieci gorszy! Kamieniami! — Spokój! Posłuchajcie, ludzie! — Diabeł! A jeszcze nam tu będzie rozkazywał! Goliznę se schowaj! — Zaraz, spokój, sąsiedzi! Poczekajcie! Może rzeczywiście nie diabły? Zobaczmy. Niech się przezegną! — Facetowi nie można odmówić zdrowego rozsądku, rzeczywiście, jeśli nie diabły, niech się przezegną! — Przezegnąjcie się! — To jest sukinsyn ten Hibisz, tak ładnie się przezegnął, pamięta, może nawet kiedyś za ministranta służył? — Teraz ten drugi! — Ano, chcą, niech mają, aż ich zatkało, nie diabły! — Słuchajcie, ludzie! — Dajcie spokój, towarzyszu, niech przyjdzie wójt, to porozmawiamy. Co się będziemy z ciemniakami użerać? — No, no, tylko bez ciemniaków, dobrze? Że z miasta, to już myślicie że my na wsi to ciemniaki? — Bez obrazy! — Ciemniaki? Kogo on tu nazywa ciemniakami? Ja ci! Dajcie no jakiegoś styliska, ja mu! Skończyły się przedwojenne czasy, nie wie o tym? Ja mu pokażę ciemniaki! — Wójt idzie! — Zabierzcie psy i trochę mniej krzyku, dobrze? Co to znaczy? Co wy tu robicie? Dlaczego nago? Wstydu nie macie? Kto wy jesteście? No, kto? — Wójcie, oni nam tu ubliżali, od ciemniaków wyzywali. — Tak? Co wy, myślicie, że to jeszcze sanacja? Kto jesteście, gadać mi tu zaraz! — Jesteśmy pracownikami — *I wtedy Hibisz, towarzysz partyjny, obecnie członek Komitetu Centralnego, zawahał się, zląkł się, gdyby mnie przy nim nie było, głowę dam, na pewno nie byłby się przyznał, że z Partii.* — Jesteśmy z Komitetu Powiatowego Partii. — Gdzie? — W Najdrzycach? — Gdzie to jest? — Niedaleko Szamotuł. — W Poznańskim? W takim razie co robicie tutaj? Co tak na golasa po świecie biegacie? Wstydu nie macie? Boga się nie boicie? Tak przed kobietami? Przed dziećmi? — Zostaliśmy porwani przez bandę leśną. — Przez bandę? Tu nie ma żadnych band. Niech który tam przyniesie jakie stare portki i koszule. I dzieci stąd zabierzcie, niech nie patrzą na takie zgorszenie. A może wy na przespiegi, co? Kto was tu przysłał? Wy za zbożem? Tu już nic nie ma, każdy oddał co musiał, nic nie znajdziecie, choćbyście nawet po ogrodach kopali. Niektórzy z nas już sami muszą kupować, bo własnego nie starczyło. — My nie w sprawie zboża, obywatelu. — Nie za zbożem? A co? Za podatkami? A może do kołchozu namawiać, co? Wy do kołchozu nas

tu, tak? To my wam zaraz tu pokażemy. — Nie mamy z tym nic wspólnego, obywatelu, jak długo wam trzeba tłumaczyć? — No, no, tylko nie takim tonem! Nie zapominajcie się! Z władzą rozmawiacie! Z szacunkiem, dobrze? Teraz się ubierzcie. — Może byście, obywatelu gospodarzu, kazali ludziom odstawić widły? — Moja sprawa, nie wy mi tu będziecie dawać rozkazy, też coś! Gotowi? Zamknijmy was do piwnicy i damy znać na milicję. Maszerować! I nie gadać! Przyjdzie milicja, to się będziecie tłumaczyć! — *Już dojeżdżamy? Dobrze, że się obudziłam, bo pan to już na pewno nie byłby mnie nawet zbudził, taki pan nie towarzyski. Przez godzinę i ani słowa. Dlaczego pan taki ponury?* — Ma baba tupet, ale ładny uśmiech, nie można powiedzieć, usta też, może ją należało sobie przygadać? spódnica jeszcze bardziej do góry jej się zadarła, nawet nie zauważyła, nie chce, rajcuje mnie kawałkiem gołego uda, może trzeba ją było sobie, no tak, i co bym z nią zrobił? tu w przedziale? no właśnie! ale byłoby co do garści wziąć, tak na jedną noc, czemu nie? — Może pan będzie tak uprzejmy i pomoże mi zdjąć walizki? — Proszę bardzo. — Ciężkie, prawda? Nie wiem jak się z nimi uporam. — Pomogę pani. — Jaki pan uprzejmy. — Pani do miasta, czy na inny pociąg? — Do miasta. A pan? — Jadę dalej. Ale to nic nie szkodzi. — O Boże, a ja taka niedobra i męczę pana moimi walizkami. Może panu się spieszy? — Nie spieszy się. Chodźmy. Doniosę do końca tunelu. O, tu panią zostawię. — Dziękuję bardzo. Nie wiem, co byłabym bez pana zrobiła. To było bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Nie wiem doprawdy jak się wywdzięczyc. A jeszcze te walizki takie ciężkie. Pan na pewno bardzo się zmęczył. — Wcale nie. Bardzo mi było miło. Do widzenia pani. — Ładna skóra, ładnie sklozetowana, spódniczka nie za obcisła, nie za luźna, tyle tylko żeby się można było domyśleć co tam pod spodem, ale lepiej się za nią nie gapić, jeszcze się oglądnie i pomyśli, że, ech, żeby to był czas, półtorej godziny do warszawskiego pociągu, właściwie można było z nią iść, ale przez półtorej godziny? zanim bym sprawę nakręcił, już trzeba by związać manatki, na to trzeba jednak kilka solidnych godzin, posiedzę trochę w restauracji dworcowej, wystawa antyweneryczna, dlaczego nie? w takim korytarzu to właśnie dobre miejsce, tylu ludzi się tu przewala codziennie, a tych dwóch pijanych, a milicjant, łobuz, patrzy i palcem w nosie dźbie, wszystkie stoliki zajęte, w ogóle tłok, za dużo ludzi jeździ kolejami, potem

trzeba wystawy antyweneryczne urządać, przenoszą tę zarazę z miejsca na miejsce, to się powinno zabronić, co to znaczy, takie wędrówki ludów? przed wojną tego nie było, bilety były drogie, nie to co teraz, a ludziom ciągle źle, ciągle narzekają, choroba narodowa, to ciągle utyskiwanie, przed wojną zapalki na cztery dzielili, dzieci na zimę do worka z trocinami zaszywali, już nie pamiętają, naród mal-kontentów, na nic lepszego sobie nie zasłużył! — Ty sukiny-synu! Ja ci pokażę! — Jak pan się wyraża! — Zamknij gębę, zdziro! — Proszę zawołać milicję! Mnie tu obrażają! — A milicjant oczywiście, nie, przepraszam, jest, przynajmniej raz, gdzie by to zapisać? teraz się wszyscy kłóca, kto wygra? kto kogo przekrzyczy? milicjant przegrał, spuścił nos na kwintę i wycofuje się tyłem do drzwi, och! ty koniu boży! jeszcze ostentacyjnie wzrusza ramionami, co to jego obchodzi? jeśli się chcą kłócić, jeśli taki chamski ten naród! zdaje się, że tamta kobieta zbiera się do odejścia, ubiegnie mnie tych trzech, mają bliżej, psiakrew! żeby nie to krzesło! — Przepraszam, panowie, ja pierwszy. — Krzesła, kurwa, wszędzie te krzesła! przejść między stolikami nie można! — Panie starszy, momentik! Co pan się tak pęta jak wesz po gaciach, zamiast klientów obsługiwać? — Czy taki naród zasługuje na co innego? bez nas pozagryzaliby się wzajemnie na śmierć, tylko z nahajką do nich! tylko w ręce płuć i bić, kurwa, bić! — Licz się pan ze słowami, kelner też człowiek i szacunek mu się należy. — Bardzo słusznie, nie daj sobie byle gnojowi naubliżać, na jego miejscu całą tę tacę z brudnymi talerzami na głowę bym mu spuścił i jeszcze kopniakiem poprawił, nahajką! i bić, kurwa! — Obraził się, państwo słyszeli? Teraz się wszyscy tacy wrażliwi porobili, nie podchodź do nich, bo ci zaraz z honorem wyjeżdżają. A do obsługi nie ma nikogo! — Postoję przy bufecie, dlaczego za półkami zawsze jest lustro, w każdym barze, człowiek nigdy nie potrafi się odczepić od własnej twarzy, trzeba było iść z tą facetką, źle wyglądam, trzeba było iść, półtorej godziny, patyka bym odstawił, no, w najgorszym razie byłbym potem wziął tak-sówkę, jakieś dziwne oczy, oczywiście, jestem niewyspany. — Proszę o herbatę z cytryną. — Znowu tam się coś kotłuje, biją się? pijanego wloką do drzwi, patyka lub nawet dwa, dlaczego nie? przez półtorej godziny? trzy! z nową kobietą! w megafonie skrzypi, ależ głos, prawdopodobnie za blisko mikrofonu, vox humana! *i widziałem i słyszałem jednego Anioła lecącego przez pośrodek nieba, mó-*

*wiącego głosem wielkim: biada! biada! biada mieszkającym na ziemi!* co ona powiedziała? do Jarocina? a, tam się miejsce zwalnia, cholera, właśnie teraz, kiedy co dopiero zamówiłem, cóż ona tak się tam guzdra? zanim przyjdzie, zanim odbierze pieniądze, wyda resztkę, Chryste Panie! dlaczego to wszystko zawsze tak długo trwa? trzeba było z facetką, śliczna figura, i chętna, widać, do tej roboty, leciała na mnie, ja tak zawsze, nie umiem korzystać z okazji, a leciała, najwyraźniej leciała, ile ja okazji w życiu przepuściłem! trzeba było przygadać w wagonie, zanim byśmy dojechali do Poznania sprawa byłaby ubita, chciała, te rzeczy się wyczuwa, ja, kurwa, nie umiem z kobietami, zmęczony jestem, wredna gęba, jak u zbója, tyle lat w bezpieczeństwie, to ciągle napięcie nerwów, to robi swoje, może czas już z całego interesu się wycofać? ale gdzie bym poszedł? — *Jakie pan ma kwalifikacje, panie Ostuda?* — *Właściwie żadnych, od końca wojny pracowałem w aparacie bezpieczeństwa.* — *Hm, u nas, obawiam się, będzie ciężko coś dla pana znaleźć. Dlaczego pan nie spróbuje poszukać czegoś w więziennictwie?* — *W pysk bym takiemu dał, skurwysyn, w więziennictwie! cóż to, pospolity siepacz jestem? jakaś chandra mnie napadła, cholera wie co, to ciągle poczucie nierzeczywistości, jakby człowiek ciągle czekał, że stanie się coś strasznego, tylko u siebie w biurze, no tak, sytuacja jest jednoznaczna, człowieka trzyma się za gardło, ja to potrafię, przyznaj się! a jak nie, to pałą w łeb! albo do studni! albo na hak! to wszystko tutaj jakiś urojony świat, człowiek mimo woli mięknie, odłania słabe miejsca, powinniśmy jeździć w zaplombowanych wagonach, okna zabite deskami.* — *Proszę pana, wyłóżmy karty na stół i bądźmy z sobą szczerzy. Jak długo można się samemu oszukiwać? To są dwa światy. Jeden rzeczywisty, o tam, widzi pan, kobieta wycierająca nos dziecku, młody człowiek ślęczący nad podręcznikiem biologii, zasuszona twarz chłopca resztkami zębów gryzącego kawał krakowskiej. Wszystko tu ma swój właściwy kształt, zapach, sens jak najbardziej ludzki. I drugi świat fikcji, który wyście zbudowali w własnych głowach i który usiłujecie narzucić temu rzeczywistemu. Ale, widzi pan, one po prostu do siebie nie przylegają, czasem jeden drugiego dotknie i wtedy sypią się iskry, idzie śwąd.* — *To jakaś ogólna zaraza, to się udziela, chwila depresji, słabości, i zaraz powstają wątpliwości, niepokój, byłbym teraz z nią leżał w łóżku, bawił się jej cyckami, frajer, kurwa, tak sprawę schrząnił, facetka na niego*

leci a on jak wół, czeka aż mu sama ten miód na talerzu poda? masz, polizaj! jestem nieśmiały przy kobietach, kompleks jakiś, czy co? matka za wcześniej od cycka odstawiła? czort znajet! nie lubię siebie. — *Towarzyszu Hibisz, przecież chyba mam jakieś zasługi w tym wszystkim co Partia tu dokonała. Któż to widział, żeby tak człowieka prześladować? Nawet jeśli się zgodzimy, że gdzieś tam powinna mi się noga i popełniłem jakieś błędy* — Wierutne bzdury! żadnych błędów nie popełniłem! błędy i wypaczenia! już sam zaczynam przejmować ich język, chcieliby nam wmówić, że błędy, wypaczenia, to by im odpowiadało, całą przeszłość w czambuł potępić, powiedzmy, że potępimy, co dalej? odejść, bo za wiele grzechów nas obciąża? a jeśli my odejdziemy, to kto po nas przyjdzie? kto? — Tak na stojąco śpicie? Nie pamiętacie mnie? Zawadzki. — Ach, rzeczywiście, Zawadzki. Co u was słycać? Dalej w Komitecie Miejskim? — Nie. Teraz przeszedłem do powiatowego w Obornikach. Na zastępcę pierwszego sekretarza. — Awans! Wieszuję! — Dziękuję. A co u was? — Ja nadal w bezpieczeństwie. — W Najdrzycach? — Tak. — To was jednak zostawili? — Co w tym dziwnego? — Nic, nic. — Dlaczego by nie mieli zostawić? — Tylu ostatnio towarzyszy przemieśli z bezpieczeństwa do innej pracy. Wasze zdrowie! Myślałem, że was też. Coś mi się obilo o uszy. — Co takiego? — Nie pamiętam. Czy wyście swego czasu nie mieli tam jakichś nieprzyjemnych historii? — Jakich? — Nie pamiętam. Zresztą, może się mylę. Może to wcale o was nie chodziło. Wiecie, jak to teraz jest, różne sprawy wychodzą na jaw, a ludzie zaraz z igły robią widły. Dobre piwo. Radzę spróbować. No, będę uciekał, za kilka minut pociąg. Nie martwcie się, Ostuda, wszystko się jakoś ułoży. — No, no, tylko bez takiej poufałości, ja mu dam klepać mnie po plecach, mnie! wszystko się ułoży! jeszcze spod drzwi się odwraca, macha ręką, a idź ty! bo jak ja ci tu pomacham! o takiego o mnie mógł słyszeć? i ten ton! ten ton! po ramieniu mnie klepał, sukiny! — Pani bufetowa! — Pan sobie życzy? — Setkę czystej, ale tak piornem! — Podam w należytych czasie, proszę pana, nie mam przecież dziesięciu rąk. — Teraz się wszyscy tacy wrażliwi porobili, ale się jednak pospieszyła, tylko z pyskiem wsiąść na jednego z drugim, zaraz się ruszają po ludzku, jakieś nieprzyjemne historie, do czego pił? oczywiście, nie powie, nikt nic nie powie, tylko same jakieś aluzje, jakieś takie znaczące przymrużenie oczu, każdy boi się o własną

skórę a w duchu cieszy się z cudzego nieszczęścia, powiedzą, pewnie że powiedzą, ale dopiero wtedy, kiedy już jest za późno, kiedy już głowę trzeba kłaść pod nóż. — *Coś gdzieś powiedział albo omieszkął powiedzieć, państwo wiecie, za co wówczas szło się do więzienia.* — Jeszcze jedną wódkę, pod śledzika, muszą się uspokoić, nerwy, *może pan spróbuje coś w więziennictwie?* to niesłychane, żeby taki człowiek, taki szmatławiec, taka miernota, takie polityczne gównno, taki szmatławiec, taki huj złamany, taki, kurwa, żeby takie coś potrafiło człowieka tak z równowagi wytrącić, po plecach mnie klepał! *może pan spróbuje coś w więziennictwie?* Zawadzki, już drugi raz nie zapomnę tego nazwiska, fortuna kołem się toczy, jeszcze mu to kiedyś wygarnę, spokojna głowa, szafa gra, major Ostuda ma dobrą pamięć, ho! ho! wódka lepi, cukier krzepi, pewność i zaufanie, jak na Zawiszy, ja mu dam klepać mnie po plecach! *pod wpływem chwilowego zamroczenia umysłu oskarżony chwycił za nóż kuchenny i urzynał swej żonie głowę,* pilnuj wyobraźni, ty bucu! nie byłbym zdolny, kocham tę żdzirę, słyszysz, ty apokaliptyczna kurwo? *stan cywilny oskarżonego? żonaty z kurwą! proszę mówić poważnie, co to za żarty oskarżony stroi sobie przed sądem?* eeech, jeszcze jedną wódkę i teraz na peron, odjazd za pół godziny a peron już zatłoczony, co tu dopiero będzie się działo gdy podstawią wagony! już wtaczają, teraz szturm! hurmą, panowie! kupą! proszę, jeszcze nie staną! a już nigdzie miejsca, drzwi obłożone, nogi nawet nie ma gdzie na stopniu postawić, hołota, kurwa! przez okna! Azjaty! krzyk, płacz, przeklinania, zgrzytanie zębów, miłuj bliźniego jak siebie samego, a to bydło! depczą sobie po nogach, zrzucają jeden drugiego ze stopnia, no, kułakiem ją! to co, że ciężarna? będzie jednego bękarta mniej! cholera, rzeczywiście, grzmotnął ją w brzuch, huj złamany! ale nie puściła uchwytu, nie dała się zepchnąć, brawo! brawo nasze panie! brawo nasze Polki! gdyby mnie usunęli z bezpieczeństwa, strach pomyśleć, gdzież trzecią klasą? nie pozwolę! rękami! nogami! a ja umiem, proszę was, być bezwzględny, nie lubię, oczywiście, z natury jestem cichy, potulny, do rany mnie przyłóż, ale niech mnie tylko rozjuszyć! jedziemy? to po co szarpie wagonami? pijany? a nie, jednak jedziemy, co tam jeszcze piszą w gazecie? „PO PRZEMÓWIENIU TELEWIZYJNYM EISENHOWERA. NIE MA KONKRETNEJ PROPOZYCJI POKOJOWEJ. GŁOSY PRASY ZACHODNIEJ”. „REWOLUCJA — ZWOLNA DOJ-



RZEWAŁA — AŻ WYBUCHŁA W GWAŁTOWNYM ROZRUCHU — ZNAK CZERWIENI W GÓRZE ROZWIEWAŁA — WTEM JAKBY STANEŁA — BEZ RUCHU — POWSTRZYMAŁI JĄ W MARSZU BOGACZE — ICH POCHLEBSTWA, ICH MOWY, ICH PŁACZE”'. Właśnie, święta racja, jakby mi z ust wyjął, za wielu się takich znalazło, co by, sam bym tego lepiej nie powiedział, tylko by poprawiać, łagodzić, przykrawać na swoją własną bojaźliwą drobnomieszczańską miarę, zrobimy jeszcze z nimi porządek, tylko poczekać, aby do wiosny, sześć godzin jazdy, my im wtedy wszystkim, zdrajcy, psia-krew, restauracyjnego nie ma, bufet, no tak, ale w bufecie nie podają wódki, szkoda, napiłem się, teraz ochota na więcej. — *Te jakieś szeptki, tajemnice, niedomówienia, domyslniki, nie lubię tego, ze mną, towarzysze, kawa na ława, po proletariacku, po żołniersku.* — Stacyjka, jedno światełko, zawiadowca na baczność, czemu na baczność? zawsze stoją na baczność, kiedy by człowiek nie jechał, zawsze na baczność, rano na baczność, wieczorem na baczność, zawsze na baczność, jakiś idiota w ministerstwie wykombinował, że tak ładnie jak będą stali na baczność, przed kim? przed pociągiem? zawsze z tym idiotycznym krążkiem sygnalizacyjnym w rękę, znowu czarna noc, nieprzenikniona, a pociąg jedzie, *jedzie pociąg z daleka, ani chwili nie czeka*, co to za życie musi być w takich dziurach, zawsze na baczność, nawet jednej twarzy porządnie w pociągu nie zobaczy, smuga, poszła! *Ostatnia leśniczówka w tej części lasów złotnikowskich, potem pola i łąki, ziemia równa jak stół, zupełnie nie nadająca się do obrony*, widoczność na całe kilometry, i ciągnie się to het po puszcę michowską, ale cóż, na zachód nie ma sensu się pchać, tam Niemcy, w łąpy im leżeć nie będziemy, a na południowym wschodzie teren jest, a jakże, dobry, zalesione wzgórze, ale odludzie takie, że nie daj Boże, gnilibyśmy z bezczynności, otóż to! a przecież nam nie o to chodzi, aby od Niemców uciekać, zgoda, ale nas jest mało, zima źle się z nami obeszła, tyle grobów! smutno wspominać, szastamy się z jednego miejsca na drugie jak piłka w rękach nieodgadnionego losu, ludzie zaczynają szemrać, ja wiem, Srokosz, jak umie, tak uśmierza nastroje, ale przed ludźmi nie ukryje faktu, że sam jest po trochu bezradny, od trzech miesięcy nie mamy łączności z naczelnym dowództwem, ganiamy z wywieszono-

---

1. *Rewolucja*, Leonid Martynow, przełożył Leopold Lewin



nym jęzorem jak bezpański pies, jeśli prędko nie nastąpi zmiana, wszystko jedno jaka, żeby zmiana, stoczmy się do rządu pospolitych band, jakich w tym kraju zatrząsienie, zobaczymy co Srokosz postanowi. — Janosik jest gdzieś w tych stronach. Gdyby się z nim połączyć, nie uważacie? Zawołajcie Przemysława! Pójdiesz, mój drogi, do Lubartowa i rozpowiesz wśród ludzi nam przyjaznych, że w czwartek wieczorem będę czekał na Janosika w restauracji na rynku. To wystarczy, to już do niego dojdzie, ty się o nic nie martw. My zaś zatrzymamy się w leśniczówce u Skorwickiego i tam będziemy czekali na ciebie. W dwa dni powinienes obrócić. Hulaj! — Może więc los wreszcie się odmieni, najważniejsze, żeby się skończyło to nieróbstwo, przydałyby się również jakieś buty, spodnie, jakibądź przyodzievek, bo wyglądamy jak dziady nie z tej ziemi, wstyd powiedzieć: wojsko ludowe! aż Mańki czasami żal, że nie brzydzi się nami i każdego przyjmuje tak po królewsku, leśniczówka nie powinna już być daleko, Skorwicki napali w piecu, człowiek usiądzie przed buzującym kominem, zdejmie buty, skarpetki, co za rozkosz! co się stało? dlaczego Koniuszy? — *Jeśli się dobrze nad tym zastanowić, to czy to nie jest symptomatyczne, towarzysze, że Niecały taki właśnie szlachecki przydomek w partyzantce sobie obrat?* — Czujesz? — Rzeczywiście, wiatr spycha na nas swąd spalenizny, Srokosz też już się połapał, że coś tam, mierzwi brodę, nieomylny znak, że zaniepokojny. — Nic, tylko Skorwickiego spalili. Weźmiesz drużynę i pójdiesz ponuchać. — Wątpliwe, żeby tam jeszcze kto się kręcił, spalili, ludzi najpewniej pomordowali i poszli, tak zawsze bywa w tym smutnym kraju, strzał! to gdzieś daleko, ale ludzie strzygą uszami, nerwowi się jakoś stali ostatnio, zmiany nam trzeba, jakiegoś zastrzyku, bo ja wiem co, Srokosz usiadł na pniu, skręca papierosa, ma ładne mocne ręce, jak chirurg albo pianista, ślini, zapala pod kapotą. — Nic z nadziei na nocleg pod dachem, co? — Nawet nie pytanie, do siebie gada, co mu powiem? ludzie bliscy desperacji, wszystko w łeb bierze, nieszczęściom nigdy nie ma końca, Koniuszy wraca. — Tylko pogorzeliśko tam się zostało. — A Skorwicki? — Leży zabity na podwórzu, dwoje dzieci obok niego, jedno z rozstrzaskaną głową, widocznie rąbnęli o ścianę. — Zona? — W stodole na gumnie, naga, gwałcili ją, potem strzelili w głowę. — Straszne. Kiedy to się mogło stać? — Będzie chyba ze dwa dni, wszystko już zimne, tylko ten smród jeszcze. — Niech ludzie pościelą

sobie na ziemi, my pójdziemy grzebać Skorwickich. — Zakopujemy ich w ogrodzie pod drzewem, ziemia rozmiękła, łatwo się z nią łopatami uporać, teraz tylko ładnie moglię oklepać, żeby była foremna, czterech ludzi w jednym grobie, rodzinny grobowiec, gdybyśmy się na nich nie byli natknęli, po kilku tygodniach tylko nagie kości by świeciły w słońcu. — Niech ktoś poszuka jakie dwa patyki i zbije krzyż. Skorwicki na pewno nie chciałby żeby go chować nie po chrześcijańsku. — Na pewno, dobry człowiek, Srokosz, nawet Koniuszy nie oponuje, a on skurwysyn, cięty na religię, mnie, co tam, wisi, zabobon, wiadomo, ale co to komu szkodzi? zwłaszcza w takich czasach! księżyc wygramolił się zza chmur, co za okazałość ponura całe to pogorzelsko! — No i co teraz? — Ty do mnie, Karolku? — Tak człowiek gada, aby co powiedzieć. — Bo co tu jest do gadania? Żadne słowa pomordowanych do życia nie przywróca. Westchnąć co najwyżej można, dobrą myśl posłać ku kopcowi pod gruszą, zęby jeszcze mocniej zacisnąć. Wkrótce skończy się to próżnowanie, zobaczycie. Spotkam się z Janosikiem, połączymy oddziały, będziemy znowu Niemcom garbować skórę. Już? Ładny krzyż. Dobry z ciebie majster, Staszku. — Spec od krzyżów i trumien. — Dlaczego nie? Bardzo ludzkie i pozytywne zajęcie. Wbijaj, tylko mocno, nie bój się, nieboszczykom hałas nie zaszkodzi. Niech no wszyscy zdejmą czapki. Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie. — Nawet się żegna, sam niby to niedowiarek, ale, prawda, jak tu w obliczu tak potwornej zbrodni pamiętać, że się Boga do lamusa odesłało? — Amen. — *Przez dwa następne dni, proszę was, Srokosz do nikogo słowem się nie odezwał. Popatrywaliśmy na niego z daleka, każdy bowiem jego zgryzotę uszanował i przed oczy się nie pchał. Srokosz miał rodzinę gdzieś pod Krakowem, żonę i troje dzieci, najmłodsze miało wtedy dwa lata, i od czasu do czasu opadała go czarna depresja. Jeśli w takim okresie zdarzyło się, że pod rękę nawinęli nam się Niemcy, wówczas zabijał chłodno, z zaciętością, od której na nas szedł mróz, każde lekkomyślne słowo zamierało na ustach, oddech nieledwie stawał się miększy. Co za nonsens oskarżać go o utrzymywanie kontaktów z Gestapo! — A jeśli wam udowodnimy, że rzeczywiście? — Nie udowodnicie, towarzysze. Żadne dowody mnie nie przekonają. To był szlachetny człowiek.* „REWOLUCJA — ZWOLNA DOJRZEWAŁA — AŻ WYBUCHŁA W GWALTOWNYM ROZRUCHU” — Oczywiście, teraz go zrehabilitują, wej-

dzie do historii, pomnik mu się gdzieś postawi, włoży do podręczników szkolnych, ale jemu jaki z tego wszystkiego pożytek? nikt nawet nigdy się nie dowie dlaczego go skazali, po co komu była potrzebna jego śmierć. — *Mów, mów! Widział kto Janosika? Kręci się po okolicy?* — *Owszem, wiele tam o nim się mówi, niektórzy są nawet w kontakcie, rzecz jasna, bardzo ostrożni i miejsca postoju nie zdradzają, ale wiadomość obiecali przekazać.* — *Co mówią o Janosiku?* — *Dwa tygodnie temu zaatakował posterunek żandarmerii w Skalmicicach, wszystkich co do jednego wyrąbał, kilku folksdojczów powiesił przy studni na rynku.* — *Dobry chłop! Zobaczycie, chłopcy, wszystko będzie dobrze. Przyniosłeś co do zarcia? Kawę? Herbatę? I woreczek cukru? Już za to samo należy się Virtuti. Rozpalmy ogień, taka uczta nie często się zdarza.* — *Bronicie go towarzyszu, bo sami mu wszystko zawdzięczacie, czy nie tak?* — *Nie rozumiem pytania.* — *Czy nie on wprowadził was do aparatu bezpieczeństwa?* — *Być może, że poparł mnie łaskawym słowem, ale powiedzieć od razu, że mnie wprowadził, to trochę przesada.* — *Tak? Przesada? A my wiemy, że was wprowadził. I nie tylko was. Pokażemy wam pewne dokumenty, zobaczycie dlaczego Srokoszowi tak bardzo zależało na tym, żeby mieć swoich ludzi w bezpieczeństwie.* — *Srokosz wybiera się w drogę, schował spluwę pod kapotę, rzucił skręta na ziemię, przydeptał.* — *Gdybym do jutra w nocy nie wrócił, będziecie wiedzieli, że coś się stało, ale o nieszczęściu lepiej na głos nie mówić. Trzymajcie się, chłopcy.* — *Niby nic, ale czuje się, że chłop wzruszony, targa brodę, oczyma toczy, nie lubi rozstawać się z ludźmi, stary on już, dawno po pięćdziesiątce, co tu dużo się rozwodzić, łysawo będzie bez niego, jednemu chyba Koniuszowi wszystko jedno, ma ambicję dochrapać się własnego oddziału, no, ale teraz sobie trochę odbije, Srokosz powinien przed nim się pilnować, nie dobrze mu z oczu patrzy, ja zawsze po oczach poznaję co w kim siedzi, teraz się odegra, ulży sobie, sukinsyn! ledwie Srokosz oddalił się od obozowiska, już zabiera się do musztry, kto to widział ludzi ganiać jak po koszarowym dziedzińcu? lubi to! sukinsyn! wydawać rozkazy, patrzeć jak się przed nim prężą na baczność, zbesztać człowieka, bo palec do szwu nie przystawiony jak się należy, szaleć, pokazywać kto tu teraz wodzem, kto tu w dupę porządnie dać potrafi. *Jeśli go teraz w więzieniu nie zgnoją, to kiedyś jeszcze karierę robi, ile dostał? pięć lat? co to jest pięć lat? tacy jak on zawsze**

*na wierzch wyływają.* Bo wojsko to musi być wojsko, nie dziady kalwaryjskie, że też mu nikt kuli z ukrycia w łeb nie wpakuje, boją się go, nie daj, Boże, żeby Srokoszowi miało się kiedy jakie nieszczęście przydarzyć. — *Nigdy nie mieliście co do niego żadnych podejrzeń? Nawet najmniejszych? Musieliście być ślepy, towarzyszu Ostuda.* — Srokosz wrócił z Lubartowa, wszystko poszło dobrze. — Chłopcy, zanoszą się na to, że za dwa, trzy tygodnie przyjdzie nam znowu zabrać się do solidnej roboty. Mapę! Jest rozkaz żeby wszystkie oddziały należące do zgrupowania przedostały się do puszczy michowskiej. Stamtąd rozpoczniemy grubszą wojaczkę. Mamy tydzień czasu. Będziemy maszerowali nocami. Gdybyśmy po drodze natknęli się na Niemców, damy im spokój, nie należy wzbudzać podejrzeń, że przygotowujemy koncentrację. — Czy Niemcy są w okolicy? — Jak dotychczas nie ma. — Więc kto spalił Skorwickiego? — Podobno Iwańczuk łązi po okolicy. — W nocy wiatr zmienił kierunek, odwiał od nas swędy pogorzeliśka, dzień schodzi na czyszczeniu broni, pod wieczór, proszę was, zwijamy obóz, ruszamy na południowy wschód, w kraj łąk i pól ciągnących się bez kresu. Milcząco suniemy przed siebie. Czasem komuś szczęknęła broń, ale i to rzadko się zdarza, wiara ostrożna. Noc nad nami przewała się czarna i pośepna. Po godzinie marszu zza chmur wyłamuje się księżyc obsiewając słabym blaskiem ziemię, oczy z większą łatwością odszukują pręgę między lub wydeptanego traktu między spłachciami nieużytków. Gospodarka tu prawie całkiem zapuszczona, gdzieniegdzie kawał oziminy, poza tym nic, wiadomo, kraj trzebiony przez Niemców, przez bandy polskie i ukraińskie, chłopci poginęli albo przenieśli się w bardziej ludne miejsca, a kto został, ten już zaprawiony do życia twardego, niespodzianki bierze jak rzecz zwyczajną, siekiere czy nawet broń palną zawsze trzyma na podporędku i najpierw bije, potem pyta: kto? Jednym słowem, niewesoło, ale czy jest się czemu dziwować? Docieramy do kamieniołomów książęcych. W zeszłym roku na jesieni Niemcy spędzili tu półtora tysiąca Żydów, rozstrzelali i zakopali w jednym wspólnym dole, ale co tam, jesteśmy zmęczeni i wspomnienie nieludzkiej zbrodni nikomu snu z oczu nie spędza, zresztą życie zawsze jednym bokiem o śmierć się ociera. Dzień bez przygód. Nocą maszerujemy dalej. Spada gwałtowna burza. Kotłuje się ciemność wypełniona zgiełkiem piorunów, ciężko przetaczają się chmury. W nagłych rozbłyskach błyskawic wyskakują

przed oczyma pochylone sylwetki ludzi targanych wiatrem, smaganych deszczem, brnących przez rozkiszłe pola, gdzie noga raz po raz grzęźnie w błocie po kostki. Tak to wygląda, jakby polami ciągnęła rzesza wygnańców z jakiegoś biblijnego raju, rzesza potępieńców pędzonych gniewem Boga. Zimna dłoń strachu zamyka się na sercu, ale nic, idziemy dalej. Do Bobrowa cztery kilometry z hakiem. Burza mija. Stoimy przed opłotkami wsi. Łatwo powiedzieć Niemców nie ma, ale ludzie spoglądają niepewnie jeden na drugiego, niespodzianek wykluczyć nie podobna. Zobaczymy. Koniuszy zbada. Zajądło szczekanie psów wzbija się pod ciemne niebo. Ale harmider! Głosy odmykanych okiennic, nawoływania, okrzyki zniekształcone porywami wiatru. Czekamy. Na co? Na strzał, który nam zwiastuje zasadzkę? Ale strach ma duże oczy. Koniuszy wraca. Wieś bezpieczna, ludzie pochowają nas po stodołach, na strychach, tak przycupniemy przez dzień, z nastaniem nocy ruszymy dalej. A więc haraszo! Srokosz wydaje rozkazy, rozłazimy się szukać kwater. Jest mniej więcej czwarta nad ranem. — No, wiara, te dwie pierwsze chałupy z brzegu. — Ludzie gramolą się do sąsiedków, kilka minut i wszyscy śpią. Siano ładnie pachnie. *Dwa złote znalazłem, żeby tylko kto nie zobaczył, jaki gorący piasek, włazi między palce u nóg, przyjemnie tak, pieniądze trzeba z ziemi podnieść, tylko ostrożnie, u Siemiołów okna zasłonięte, ale może ktoś za firaną i tylko czeka, żebym się zdradził?* a teraz Kunewiczowa po drugiej stronie drogi, co ona? idzie bieliznę rozwieszać na sznurze, trzmiel! poleciał! nawet nie musnąłem, gdzie tam, taki szybki! trzeba się zdecydować, czym dłużej tu będę sterczał, właśnie, usiądę sobie na drodze, nie wolno mi? w tym piachu, pogrzebię w palcach, jakby się kto patrzył, pomyśli, skaleczyłem sobie nogę, o, tu, widzi pani, pod tym wielkim palcem! a ile krwi! trochę pogrzebię i, o, już! dwa złote, jakie dwa złote? o jakich pani mówi pieniądzach? skaleczyłem sobie duży palec, o, tym kawałkiem szkła, niech pani popatrzy, a co trzymasz w ręce? ja? w ręce? nic nie trzymam w ręce, już w kieszeni, można wstać, ale z początku trochę pokuśtykam, nie mogę chodzić, nadepnąłem na szkło, biedny Karolek! palec sobie rozharatał! a teraz do pani Beitnerowej! ale to daleko, prawie na samym końcu Jagoduszek, o tam, proszę pani, gdzie kościół skryty za dębami, może lepiej do sklepiku nie iść? matka dała ci dwa złote na cukierki? dwa złote? los na loterii wygrała? powie rodzicom, potem chryja, skąd wzią-

leś? ukradłeś! komu ukradłeś? i kijem mnie! lepiej nie, najpierw rozmięnię gdzieś na drobne, tylko gdzie? właśnie, gdzie? już wiem, mama prosi o pudełko zapalek i dla mnie, proszę pani, cukierków za dziesięć groszy, zwykła rzecz, ile to już razy, dlaczego miałyby się zdziwić? kury! dawaj tu jaki kamień! głupie to, zwykłego kamienia się boi, ale teraz już lepiej nie kuleć, stąd już nikt nie mógł zauważyć jak się skaleczyłem, niedługo będzie ciemno, jak daleko jeszcze do sklepiku? dwadzieścia kroków, może mniej, może więcej, co się będziemy kłócili? najlepiej zmierzyc, nie będzie żadnej wątpliwości, a! a! Wojtek! co mu jest? czego taki? — Co jest, Wojtek? Co ty beczysz? — Zgubiłem pieniądze. Mama posłała mąkę kupić i cały czas myślałem, że mam w kieszeni, w sklepiku wkładam rękę i nic. — Dużo? — Dwa złote. — O rety! Tyle pieniędzy! — Ojciec mnie zleje, o Jezusieńku złoty! — Pomogę ci szukać. Po której stronie szedłeś? — Nie pamiętam. — Ty idź po jednej, ja po drugiej, może znajdziemy. — Ale heca! to ci dopiero heca! o rany! jak ryczy! ojciec wyrwie sztachetę z płotu i połamie ją na jego karku, albo pasem, zdejmuj spodnie, kładź się na ławę i łubudu! jacy ludzie ciekawscy! cyrk! cyrk za darmo! nawet dzwony, nie, to na Anioł Pański, a starą Chruścikową już skusiło przed furtkę. — Co tam z tobą, synku? — Wojtek zgubił pieniądze! — Wojtek zgubił? Michał! A chodź no tu, popatrz, Wojtek od starego Kapały zgubił pieniądze. Ale go stary Kapała oćwicz! — Cyrk! sama Kapałowa już w progu z warząchwią, tym go będzie biła. — Czego się ślimaczysz? Chodź tu! Ruszysz się wreszcie! A gdzie mąka? — Zgubiłem. — Durak! trzeba było zmilczeć, niech bije, ale ani słowa, ani mru mru, pomyślą, chory, coś mu się w głowie popsło, posłą do lekarza, kto chciałby mieć wariata w rodzinie? zanim lekarz co powie, zapomną o mące, frajer ten Wojtek, nie wie jak sobie z ludźmi dać radę. — Co zgubiłeś? Mąkę zgubiłeś? — Pieniądze. — Nieładnie, pani Kapałowa, tak dziecko warząchwią po głowie, ale go okłada, mało jej warząchwią, pięścią go! — Ja ci dam, ciemnego jeden! Ja ci dam! — No i zbiegowisko, niech wszyscy zobaczą jakiego to ona ma syna, niewdzięcznika takiego, jeść mu daje, przyodziewa go, a on! — Dwa złote! Dwa złote zgubił! O Matko Przenajświętsza! Ty niedobry synku, ty diabło, ty! Już ty zobaczysz jak ojciec wróci z pola! Już on ci da! Idź, szukaj! — Ale heca, dawno czegoś podobnego, od kiedy stary Fornalski kłonicą dzielił

Anię po głowie jak ją zdybał w lesie z Andrzejem Śrubackim, potem kretyna urodziła. — A nie waż mi się wrócić do domu bez mąki, słyszysz! — Ściemnia się, teraz już za późno, żeby mu, zresztą dlaczego? nie znalazłem? znalazłem! moje! nie oddam! nie trzeba było gubić, jak ktoś taki niedołęga, zresztą może to nie te same dwa złote? właśnie, niech udowodni, w kościele przestali dzwonić, jaskółki nisko, zbiera się na deszcz, ale by mi pokazała stara Kapałowa, gdybym się teraz przyznał, wracać do domu? jeszcze mi się nie chce, usiądę sobie pod krzyżem, ludzie zjeżdżają z pól, zawsze gdy jaskółki tak nisko szybują, to potem deszcz, wozy skrzypią, gdyby tak człowieka wcisnąć między szprychy, noga łup! ręka łup! głowa łup! łup! łup! miazga! — Panie Kapała, Wojtek zgubił pieniądze! — Co powiadasz, smyku? — Wojtek zgubił dwa złote! — Co? Co? Skąd wiesz? — A bo słyszałem. Matka posłała go do sklepiku po mąkę a on po drodze zgubił. — Dwa złote? — Właśnie, dwa złote. — Już ja go nauczę, zgnilka jednego! — I batem konia po zadku, czy koń co temu winien? stąd będę wszystko widział. *To co, że ojciec? miałem mu pozwolić? z miejsca by mnie zwolnili, mało, zaraz by mnie do obróbki wzięli, ojciec taki reakcjonista a syn w bezpieczeństwie! zgniłbym w więzieniu.* Kapała już wjechał na podwórze, tylko patrzeć, odprzęga konia, prowadzi do stajni, jak szybko teraz się ściemnia, tam już ktoś lampę zapalił, tam też, chmury takie ciemne, może będzie deszcz? Wojtek wraca środkiem drogi, znalazł? nie znalazł? e, gdyby znalazł, to nie trząśłby się teraz tak przed furtką, znowu beczy. — *Niech ojciec nie myśli, że ja na coś podobnego pozwolę! Zniszczyć mnie, co? Mnie ojca sumienie nic nie obchodzi. Ojciec myśli, że stary, to już sobie na taki luksus może pozwolić. A ja co? Co o mnie powiedzą? Co się ze mną stanie?* — Chodź tu! — Zaczęło się, teraz tam dopiero będzie płacz i zgrzytanie zębów, czym on go tak wali? zabije go! co? wyrzucił z domu? i jeszcze kopniaka na drogę dał. — Masz szukać, aż znajdziesz! A jak nie znajdziesz, to mi się już więcej na oczy nie pokazuj! Słyszysz? Bo zabije! Utłukę jak wściekłego psa! — Takiego mieć ojca, pięścią mu grozi, jak psa, bez litości, najpierw matka, teraz on, przecież wie, że nie znajdzie, za ciemno, jak psa, pięścią, potem jeszcze kopniaka, biedny Wojtek, trzeba mi wracać do domu, spuścił głowę i szuka, e, co tam! spóźnię się, no to co? wyłgam się, wielka rzecz! ale jak lunie! takie chmury! — *Ja, proszę księdza, jestem mło-*

dy, chcę żyć. Czy ja już nie mam żadnego prawa? Ojcu łatwo się teraz stawiać, stary, na niczym mu już nie zależy, co mu mogą zrobić? Zresztą przeżył swoje. — W Rawiczu? — Nie trzeba było się mieszać do polityki. Ja mu młodości nie zabrałem. Jak był taki naiwny i zawierzył jakimś tam ideałom, jego wina. Ale to mu jeszcze nie daje prawa rujnować mojego życia. — Tylko czekać jak lunie, Wojtek, on tak wolno idzie, jak skazaniec na, jak to się nazywa? szafot! kat czeka, połóż, synku, głowę, i toporem go ciach! głowa turlyka się po deskach, z karku krew! kat wyciera topór wielką białą szmatą, zobaczę, co on, ale lepiej żeby mnie nie widział, stanął przed sklepikiem, wraca, gdzie ja tu? między chałupy! zresztą już i tak ciemno, co? znowu zawrócił? usiadł w rowie, deszcz? zaczyna padać, oj, nietoperz! nie lubię nietoperzy, piją ludzką krew, wczepią się we włosy i nie puszcza aż nie wysysają wszystkiej krwi, potem trup, bez kropelki krwi, jak kawał zeschniętej padliny, zdecydował się jednak ruszyć, ale dlaczego nie do domu? gdzie idzie? do kościoła? święty Antoni, zlituj się nade mną i spraw cud, żebym znalazł, a święty Antoni mu, dobrze, syneczku, znajdziesz, nie do kościoła, jakie wysokie dęby, ten wiatr, ale konary trzeszczą, dzwon brzęknął na dzwonnicy, co ten idiota robi? na cmentarz? na cmentarz mu się zachciało, teraz? nie boi się duchów? może tam za nim nie iść? gdzież on jest? między grobami, ale się wiatr zerwał, aż drzewa jęczą, znowu ten dzwon, straszno tu, ciemno, żeby się ten wiatr uspokoił, żeby tak nie wyło, gdzie Wojtek? zgubiłem go, nie, co on tam? co on? o rany! co on? co on? będzie się wieszał! rzemyk zdjął od spodni, o rany! na drzewo wlaź, to on tak płacze? i pętlę sobie, Wojtek! Wojtek! nie! o Jezu! o Jezu! Wojtek! niech on tego nie, Matko Boska, Ojczy nasz, któryś jest w niebie, o Matko Boska, ja wcale nie chciałem, ja wcale, Panie Boże, o rany! co ja teraz? ja wcale nie, wierzęga nogami, nie chciałem, powiesił się, ale rąbnęło, we mnie uderzy, *przed karą boską nie ujdiesz*, powiesił się i wiatr nim huśta, znowu grzmotnęło, *nie ujdiesz*, uciekać! mokro mam w spodniach, zeszcząłem się, ja wcale nie chciałem, żeby on się, masz swoje zasrane dwa złote, żartów nie rozumie, *przed karą boską*, przecież byłbym oddał, wcale nie chciałem ukraść, tak się tylko pobawić, podrażnić, on zawsze taki chojrak, byłbym oddał, a on taki i się powiesił, o Matko Boska, Ojczy Nasz, któryś jest w niebie. *Strzał, drugi, niedobrze, znowu. Zasadzka, psiakrew! Już*



się rozwidnia. Spokojnie tylko i bez paniki! Ja wyjdę pierwszy i zobaczę. Podwórce puste, chałupa z lewej, wjazd do zabudowań z prawej, kawałek drogi. Skąd idą strzały? Czyżbyśmy byli otoczeni? — W której chałupie zatrzymał się Srokosz? Czy kto wie, gdzie Srokosz poszedł spać? — Nikt nie wie. Ja też nie wiem. Tak byliśmy pewni, że noc nam spokojnie zejdzie, masz ci! Przez drogę biegnie Matura. Idiota, tak się wystawiać! Krzyczy, ale kto to go dośłyszy? Upadł. Trafiony? Po co się pchał na drogę? Trzeba zrezygnować z nawiązania kontaktu ze Srokoszem. Na drogę lepiej nie włączyć. Na pewno karabin maszynowy postawili u wlotu do wsi. Trzeba stąd umykać. Przez ogrody i podwórka na drugi koniec wsi. Wierzeje nie chcą się otworzyć. Niech ktoś pomoże! Wreszcie! Łączka, płot, żadna przeszkoda, niski, na wprost teren, jakieś wrzosowisko, podnosi się trochę do góry. Tam w tym krzakach mogą być Niemcy. Może Ukraińcy? Pies ich drapał, jeden diabeł. Mają nas jak na dłoni. A z prawej znowu łączka za stodołą i znowu ciągle te płoty, te cholerne płoty. Powystrzelają nas jak króliki. Ale innej drogi nie ma. — Trudno, chłopaki, musimy przez płoty. Ja pobiegnę pierwszy. — Ale serią sypaną! Nad samą głową! Na ziemię! Tak jak przypuszczałem, z tamtych krzaków. — Zwiążę ich ogniem, a wy skaczcie! — Na razie mi nikogo nie ustrzelili. Zdaje się, że jesteśmy z trzech stron otoczeni. Jeśli wylot ze wsi zdążą nam zaryglować, będzie bieda. Jakoś się jednak posuwamy ku skrajowi wsi. Jaśniej. Jest i Koniuszy! Kleczy na jednym kolanie przy rogu tamtej stodoły. — Gdzie Srokosz? — Nie wiem, myślałem, że ty może wiesz. — Musimy się wycofać w pola. Ja ze swoim plutonem zostanę tutaj i będę osłaniał wasz odwrót. Po drugiej stronie drogi jest Próchnik, zaraz tam pošlę człowieka i powiem, cośmy zadecydowali. — Co, chcesz żeby on też się wycofał? — Nie, nie, on zostanie. Czy dużo jest rannych? — Nie wiem. Trudno się rozeznać. — Zbieraj ludzi i wal ku wzgórzom niechcyńskim, tam się potem spotkamy. — Już prawie biały dzień. Grupki żołnierzy, po pięciu, po dziesięciu, uciekają przez pola. Trzeba ich skupić w jeden oddział. Za nami trwa strzelanina, Koniuszy i Próchnik się bronią. Mamy więc czas oderwać się od wsi. Wzeszło słońce, będzie ładna pogoda. Po godzinie marszu wieś zostaje daleko za nami. Jakies pięć kilometrów przed nami rozpoczynają się wzgórza niechcyńskie. Są pokryte lasami. Tam będziemy bezpieczni. Niemcy nie tacy skorzy pchać się w za-

lesione tereny. Z góry będziemy panowali nad okolicą. Idziemy. Potem wspinamy się po dość stromym zboczach wschodniej ściany wzniesienia. Ślisko, nogi zsuwają się w dół pod rozmokłą ziemią. Powietrze pachnie żywicą. Już na szczycie. Rozłożymy obozowisko, niech ludzie odpoczną. Od Borowa dobiegają jeszcze słabe odgłosy strzałów. Zresztą coraz ich mniej. Czy Niemcy ich już wykończyli? Przekonamy się w nocy, kiedy ściągnie osłona. Jeśli ściągnie. Zapada zmierzch. Ludzie śpią. A teraz już noc. Nad Borowem łuna. Wraca Koniuszy z niedobitkami swego i Pruchnikowego oddziału. Zginęło około trzydziestu ludzi, poważna strata. A Srokosz? Koniuszemu to się nie podoba. Co mu się nie podoba? To, co się stało w Borowie. Wielka nawalanka! Jak to się stało, żeśmy się pozwolili nieprzyjacielowi tak zaskoczyć? W ogóle nie trzeba się było zatrzymywać w Borowie. To był błąd Srokosza. Zresztą może nie błąd. Czy to należy rozumieć jako insynuację? Tylko jako stwierdzenie faktu. — Idąc przez Borów skracaliśmy sobie drogę o dobre dwa dni. Ludziom też należał się odpoczynek pod dachem. — Ludziom, ludziom! Jeszcze by kilka dni wytrzymali. Od miesiąca nic nie robią tylko pierdzą w portki. Taką pułapkę na siebie zastawić! To już trzeba było wysłać Niemcom formalne zaproszenie! — Koniuszy to jest skurwysyn, te jego insynuacje! Ludzie spochmurnieli, gryzą się z myślami, złym okiem strzelają na niego, ale trudno, Koniuszy zostaje dowódcą oddziału, póki nie wróci Srokosz. Jeśli wróci! Więc milczą. A może Koniuszy go rozwalił w całym tym zamieszaniu? Trudno z nim teraz zadzierać. Nie wiadomo co przyszłość przyniesie, kto w takich okolicznościach chce sobie wrogów robić? Rozchodzimy się naburmuszeni. Noc mija spokojnie. Nad ranem dołącza jeszcze pięciu rozbitków, potem jeszcze ośmiu chłopów z Borowa, którym Niemcy wymordowali żony i dzieci. Co mają robić? Niech wstąpią do oddziału. Później znajdzie się dla nich broń. Trzy dni zajmuje nam dotarcie do puszczy michowskiej. I nagle zjawia się Srokosz. Jest ranny w lewe ramię, ale kość nie ruszona. Koniuszy zdaje raport. Straciliśmy w sumie dwudziestu czterech ludzi, łącznie z Mańką. — Szkoda dziewczyny. Wprawdzie nigdy nie pochwalałem tego, co wyście z nią wszyscy wyrabiali, ale nie moja rzecz baczyć na cudzą moralność. Mańkę trudno winić, tyle chłopca, co jeden to jurniejszy, z dobrego serca dawała ludziom pociechę. Miejmy nadzieję, że przynajmniej śmierć miała lekką. — Potem opowiada o sobie. Nocował

w trzeciej lub czwartej chałupie od tamtego skraju wsi. Byli z nim Zubrzycki, Koczorowicz i Smólkowski. Są tutaj? Nie ma? Wieczny odpoczynek racz im dać panie. Jak tylko rozpoczęła się strzelanina, wlaź na strych. Może coś dojrzy, zorientuje się w sytuacji. Istotnie, na skraju wsi stały niemieckie wozy. Dwoma rozciągniętymi paciorkami żołnierze otaczali zabudowania. Robili worek. Zlaź na dół, tych trzech już wyskoczyło na podwórze. On za nimi, gdy raptem czterech Niemców skacze przez płot. Strzelił, jednego trafił, ale napór ognia zmusił go do cofnięcia się do sieni. Teraz Srokos wpaada do pokoju, żeby przez okna i tyłem, ale tam też Niemcy. Obie drogi odwrotu zatkane. Przebijać się? Ano, trzeba będzie. Wszystko byłoby dobrze, ale na podwórze wjeżdża właśnie samochód, wszędzie chmara wojska. Jeszcze raz więc do tyłu, ale to już był potrząsk. Więc jedynie na strych! Wciąga drabinę, zamyka włącz. Niemcy wpakowali się do chałupy, kilku oficerów, telefon, całe dowództwo, pech nie mógł chcieć gorzej! Już nie było mowy o wydostaniu się. Co dalej, to wiemy. We wsi odbywała się rzeź. Szli od chałupy do chałupy, wyciągali mieszkańców na podwórza i strzelali. Pod wieczór zaczęli zabudowania oblewać benzyną i podpalać. Dopiero wtedy udało mu się wymknąć. — Zastanawia mnie jednak cały ten incydent. Czy oni wiedzieli, że będziemy nocować w Borowie? Czy przypadek sprawił, żeśmy się nadziali na nagłą akcję pacyfikacyjną? Może Janosik, gdy nadejdzie ze swoim oddziałem, będzie nam mógł rzucić trochę światła na zagadkę. Jeśli nadejdzie, bo kto to co wie? — *No, już Konin, posuwamy się naprzód, jeszcze kilka godzin, zmęczony jestem, a spać? wykluczone, w tym zaduchu? pić się chce, może by?* — Czy kto z państwa się orientuje jak długo tu potrwa postój? — Pięć minut. — To powinienem zdążyć skoczyć do bufetu na dworcu, ten tłok, ten cholerny tłok, ciągle się trzeba przepychać, gdzie by człowiek nie był, wszędzie to mrowisko, jak w Indiach, cholera, tylko by płodzili, nareszcie, już myślałem, że mi kłatkę pierśiową, ciepła noc, teraz tylko skok tam i spowrotem, ależ okropne wyziewy w tym bufecie, brud jak w stajni, tego jednak u nas w Poznańskim nie ma, wiadomo, dawna Kongresówka. — Proszę mi dać butelkę piwa. Tylko szybko, bo mi pociąg ucieknie. I bułkę z kiełbasą. — Obsługa przynajmniej możliwa, nie to co w Poznaniu, teraz skok z powrotem, co, już pociąg rusza? — Panie, prędzej! Każda minuta droga! — Pali się, czy co? Świat się nie skończy jeśli

pociąg ruszy z kilkoma sekundami opóźnienia. — Nie gadać! Nie gadać! I palce! Uważać na palce! — Jakby mu premię płacili od punktualności, może płacą, na pewno płacą, logiczne przecież, dziś pieniądze najważniejsze, co tam człowiek, jak trzasnął tymi drzwiami, to myślałem, że mi palce, jeszcze pięścią pogroził, ćmok taki! trzeba było jechać w mundurze, major to jednak jest major, byle bubek z pyskiem na człowieka nie wyjedzie, jeszcze by pociąg dla mnie zatrzymał, drzwi grzecznie otworzył, nie te czasy. — Panie ładny, gdzie pan się pcha? Nie widzi pan, że kobieta z dzieckiem? — Zapomnieli co się dla nich robiło, za dobrze im, cholera, dziś byle kto pomiata człowiekiem, nikt się po ludzku nie odezwie, tylko zaraz krzykiem! krzykiem! — Przepraszam, wracam na swoje miejsce. — Dobrze, dobrze, ale po co się rozbijać? Kobieta z dzieckiem a facet ją na podłogę! — Przeprosiłem, nie wystarczy? Zresztą jest przedział dla matek z dzieckiem, dlaczego tam się nie uda? — Bo wielcy panowie tam się rozparli i śpią. — To zbudzić! Zawołać konduktora, niech przepędzi! A jak konduktor nic nie wskóra, wezwać straż kolejową. Po to są przepisy, żeby — Na górze też się z człowiekiem lepiej nie obchodzą, tylko by go pognębić! zniszczyć! najpopularniejsze słowo w Polsce: ja cię zniszczę! do pieca od razu! i przez komin! człowiek pracował, męczył się, wszystko z siebie dawał, teraz mu mówią, że było źle, że bezprawie, ja mam w dupie, wtedy chwalili, może nie chwalili? do nagrody wyznaczali, dyplom dali, fakt, Cyrankiewicz podpisał, ale teraz może tym się lepiej nie chwalić? narażać się? teraz każdy jest święty Franciszek, zobaczymy jak długo oni z tą świętością, potem oczywiście znowu drogę do mnie znajdą, pomóżcie, towarzyszu Ostuda, Partia was potrzebuje! taki huj! jak źle, to do towarzysza Ostudy, a potem kopniaka w dupę i hajda ze dwóra, tak? — *Nawet gdybyśmy nie byli się zatrzymywali w gajówce, bardzo wątpliwe, czy udałoby nam się Niedźwiedza wtedy złapać. Byliśmy na obcym terenie, on był u siebie w domu. To są zupełnie bezpodstawne zarzuty! Ja powodowałem się chęcią osobistej zemsty? Nonsense!* — Tyle spraw na mojej biednej głowie, zasnąć nie można, jeszcze papierosa i, w Bobrownikach na szybach komitetu gromadzkiego Partii ktoś wypisał czarną farbą „Precz z antychrystami!”, zresztą nie pierwszy raz, tego księdza trzeba przymknąć na kilka dni i dać mu trochę w czapę, w Reptach sekretarz dostał list z pogrozkami, jak nie przestanie agitować na rzecz spółdziel-

ni, to go puszczą z dymem, w Strzybnicy portretowi Stalina na rynku ktoś domalował rogi, rogi Stalinowi! zmysłu humoru odmówić im nie podobna, no tak humor humorem, ale kręcka z tego wszystkiego można dostać, pytałem — Kto? Na kogo macie podejrzenie? — Tak po Bogu a prawdzie to każdy jeden to mógł zrobić, taki tu naród zacyfany. — W takim razie dajcie mi dziesięciu, wszystko jedno kto, idźcie na ulicę i przyprowadźcie pierwszych dziesięciu, damy im w kość. — Codziennie dwadzieścia razy bykowcem, ale tak solidnie, z rana, to samo wieczorem, żeby było nad czym rozmyślać w nocy, aż im dupy popuchły. — No kto? — Nie powiedzieli, solidarni, kurwa ich! może źle trafiłem? nic nie szkodzi, trzeba ludzi uczyć. — A jak jeszcze raz zdarzy się we wsi coś podobnego, nie będę się certolił z żadnymi dochodzeniami, tylko znowu was tu do nas i zaaplikujemy wam taką samą kurację. I tak aż do skutku. W waszym więc interesie leży, żeby to się nie powtórzyło. Miejcie oczy i uszy otwarte! Polska Ludowa umie docenić i odpowiednio wynagrodzić obywatelską postawę. — Będzie nauczka dla całej wsi, z nimi tylko tak, bić, psiakrew, bić! najlepiej byłoby publicznie na rynku, albo przed kościołem w niedzielę po wielkiej mszy, tak jak dawniej, to były czasy! zajeżdżało się do miejscowości, wygarniało naród na plac i dawaj! dziś nie wolno, po co sobie ludzi zrażać? przecież jak trzeba to i tak można człowieka wziąć do Urzędu i tu się z nim załatwić, nawet lepiej, bo potem ludzie nie wiedzą nic na pewniaka, szepcą, plotka rośnie, potężnieje, potem własnego cienia się boją, oczywiście, zależy od tego jaką się przyjmuje metodę wychowawczą, ale czasami taka publiczna lekcja pogłódwa dobrze by im zrobiła, no nic, jutro odprawa w Komitecie Miejskim, telefon? cholera, że też człowiekowi nawet pospać nie dadzą, będę musiał założyć sobie dodatkowy aparat w sypialni, to łożenie do gabinetu, gdzie te moje pantofle? — Spij, dziecińco. Telefon. Ja tylko pantofle, no gdzie one? Już gaszę. — Po nocy budzą człowieka, mówiłem wyraźnie, nie chcę żeby mnie po nocy, czy człowiek już nie ma prawa do kilku godzin snu? — Ostuda, słucham. — W Mogulinie zabili Kobięłę. — Kto zabił? — Niedźwiedź. — Kiedy to się stało? — Jakies dwie godziny temu. — To dlaczego w takim razie dopiero teraz dzwonicie? — A bo ja nie z Mogulina, pozrywali druty, musiałem piechotą drałować aż do Zamkowic. — Dlaczego piechotą? Przecież GS ma samochód. — Zepsuty. W naprawie. —

Dużo ich było? — Po nocy, to trudno powiedzieć, sporo, może z pięćdziesięciu. Po mnie też przyszli, ale wyskoczyłem przez okno, nie znaleźli. — W którą stronę odeszli? — Na północ chyba, gdzie mogli? W lasy zajączkańskie. Tu ludzie w strachu, towarzyszu majorze. Gdybyście mogli przyjechać. — Będziemy u was najpóźniej za dwie godziny. — Znowu zarwana noc, teraz do Urzędu, dobrze, teraz na komendę MO, ludzie będą kłąć, w zeszłym tygodniu dwie noce tłukli się po terenie, teraz znowu, trudno, kochani, od tego jesteśmy. — Co się stało? — W Mogulinie zabili nam człowieka. Jeden z najbardziej aktywnych. Jeszcze pół roku i mielibyśmy tam spółdzielnię produkcyjną. — Wyjeżdżasz? — Muszę. Papierosy, rewolwer, czy to już samochód? — Kiedy wrócisz? — Nie wiem. Zadzwoń. — Uważaj na siebie, Karolku. — Martwi się o mnie, obłuda, psiakrew! kiedy wrócisz? będzie się mogła znowu pogzić z tym swoim, no, do czasu, już ja na niego bat skręcę, bądź o to spokojna, niczego nie zapomniałem? klucze! klucze! gdzie do cholery te klucze? zostawiłem na górze? w kieszeni, a już myślałem — Jedziemy. — Trzydziestu ludzi z Urzędu, piętnastu z MO, dwa karabiny maszynowe, granaty, w porządku, ruszamy, ponemieckie gimnazjum, podobno w trzydziestym dziewiątym miejscowe niemiaszki miały tu tajny skład broni i amunicji, tylko czekali aż ich wojska wkroczą do miasta, co robiła nasza służba bezpieczeństwa? komunistów łapali zamiast, już Przykościelna, teraz przez rynek, no i jesteśmy na szosie starotarnowickiej, teraz tylko gazu, ten park, ciekawym czy ona z nim tutaj, mówiłem, tyle razy mówiłem, ogrodzić! wieczorem przejść spokojnie nie można, pod każdym krzakiem baba z zadartymi do góry nogami, jebie się to wszystko na potęgę i chwałę, zupełny zanik moralności, myślą, że jak już Boga nie ma, to wszystko im wolno, albo te wille w tych ogrodach, wykwaterować! oddać robotnikom! z czasem i do nich się dobierzemy, z czasem, z czasem, to znaczy kiedy? za dziesięć lat? a tymczasem taki wrzód w mieście, zlikwidować! wysiedlić! skonfiskować majątki i do pracy! jak Pan Bóg przykazał, w pocie czoła, za dużo pobłażliwości dla tego tałatajstwa, jakby nie można za jednym zamachem, cmentarz, tu spoczywa w Bogu handlarz, spekulant, sabotażysta, wróg Polski Ludowej, raz dwa załatwilibyśmy się z takimi Niedźwiedziami, bo gdzie znajdują poparcie? — *Likwidacja podziemia gospodarczego, towarzysze, musi iść w parze z likwidacją podziemia politycznego. To są sprawy ściśle z*

*sobą związane.* — Zająć! zmiataj z drogi! miał szczęście, w ostatniej chwili, krzyż przydrożny, to samo, zostawcie, towarzyszu, co nam szkodzi? po co ludziom krew psuć? na wszystko przyjdzie czas, no, proszę ja was, jeśli tylko na to będziemy uważali, żeby ludziom krwi nie psuć, to nigdy do niczego nie dojdziemy, skręcamy, ależ wyboista droga. — Tym razem go chyba złapiemy, nie uważacie, towarzyszu majorze? — Złapiemy, nigdy nie wiadomo, ma nad nami kilka godzin przewagi, jeśli jeszcze był na wozach, psiakrew! nie zapytałem, trzeba było zapytać, w poniedziałek w Szklarskiej Górcie nikt samochodów nie widział, może po Starogardzie musiał się na dobre spieszyć? dobrze mu tam nasi skórę wygarbowali, dwa gaziki, jedna ciężarówka, nie łatwo się takiego sprzętu znowu dorobi, zresztą nigdy nie można być pewnym, przy jego kontaktach! — Długo jeszcze? — Już niedługo, towarzyszu, zaraz wjedziemy na szosę tworecką. — Świetne te niemieckie drogi, nie ma się czemu dziwić, kwestia właściwości narodowego charakteru, technika, organizacja, dyscyplina, wszystko mają, zwłaszcza dyscyplinę, nie do pomyślenia, żeby się kto odszczekiwał, porządek musi być, każdy to razem z matczynym mlekiem, u nas za dużo warcholstwa, każdemu się wydaje, że jest Bóg wie kto, nie włącz mu na nagniotki, zaraz krzyczy! krzywda mu się dzieje! wszyscy by tylko chcieli rozkazywać, jeden nad drugim się wywyższać, swołocz taka! Żydów jeszcze za dużo, mają swój własny kraj, czemu tam nie? nawet w Komitecie Centralnym, tylko nazwiska pozmieniali, zaprzańcy! wstydzić się własnego nazwiska! przed wojną w handlu i cały naród mieli w kieszeni, teraz w KC, zawsze tak, żeby innymi rządzić, odgryzają się za okupację, małośmy skurwysynów uratowali od pieca? a do pracy to nie ma nikogo, kolega robi, to do mnie nie należy! za mało nahajki, historia ich niczego nie nauczyła, my ich teraz nauczymy, Polaczki! za mordę i do pracy! — Jesteśmy na miejscu, towarzyszu majorze. Towarzysz Kawecki czeka przed budynkiem. — Chodźmy do środka. Czy Niedźwiedź był na samochodach? Nie? Nasza wygrana. Pokażcie mapę. — Czy chcielibyście najpierw zobaczyć Kobiele? — Później, później, najważniejsze, żeby czasu nie trwonić i gonić Niedźwiedzia. Gdzież ta mapa? — Lasy zanajdrzańskie południowym cyplem dotykają Mogulina, o tu! Od lewej obwodzi je szosa do Szklarskiej Górki. Po poniedziałkowym napadzie myśmy tam wzmocnili posterunki milicji, więc chyba Niedźwiedź nie będzie tam się pchał.

Prawy brzeg cypla biegnie wzdłuż bagien i mokradeł, w nocy trudno przejść. Pozostaje tylko kierunek na północ, teren dla niego dobry, lasy rozciągają się na ponad sto kilometrów aż po sam Starogard. Piętnaście kilometrów od Mogulina w tym właśnie kierunku znajduje się gajówka Hrobaczewskiego. Niedźwiedź na pewno będzie tamtędy przechodził. Dwa kilometry dalej, ze wschodu na zachód, o tu, proszę spojrzeć, przechodzi leśna droga do szkółki drzewek. — Rozumiem do czego zmierzacie. Dobra droga? Damy rady na samochodach? — Owszem. — Dobrze. Zatem najpierw do Szklarskiej Górki, potem tą drogą do szkółki, aż znajdziemy się na wysokości gajówki. Bardzo dobrze. Zajdziemy ich od strony, od której się nas najmniej będą spodziewali. — Proponuję, żeby Groszkowski pojechał z nami. — Groszkowski? To wy? — Z tutejszego nadleśnictwa. Doskonale zna teren. — Dobrze. Jedziemy. Usiądźcie koło mnie, Groszkowski. — Niech no ja na niego swoje łapy położę, mnie stawiać przed sobą na bacność! — *Zemsta? Nonsense, towarzysze, ja tylko robactwo tępię.* — Wjeżdżamy do Szklarskiej Górki, towarzyszu, zaraz będzie huta szkła. — A gdzie wartownik? Co wy tak się chowacie w tej budce? Tak się już czujecie pewni, że sobie na drzemkę pozwalacie? Jak wasze nazwisko? — Andrzej Tworczyk. — Gadajcie, Tworczyk, co tu słychać. — Na razie noc zesła spokojnie, strzały, a pewnie, słyszeliśmy, ale skąd pochodzą? Ja tam nie myślę, żeby po poniedziałku Niedźwiedź znowu odważył się wystawiać głowę. On nie taki głupi. — Nikt was o osobiste zdanie nie pytał, Tworczyk, i wy mi tu nie siejcie nastrojów łatwego samozadowolenia, bo was do pierdła wsadzę za takie gadanie. A może to Niedźwiedź wam kazał takie rzeczy rozpowiadać? — Nie, nie kazał, gdzie tam! — A co wam kazał? — Nic nie kazał. — A co wobec tego chciał od was? — Kto? — Niedźwiedź. — Kiedy ja go nigdy na żywe oczy nie widziałem. — Coś wy mi tu kręcicie, Tworczyk, ja się wami później zajmę, musimy dojść sedna tej sprawy, odechce wam się siać dywersję. — Kiedy ja wcale — Nic nie gadać! Później! Zapuszczajcie motor. Groszkowski pokaże gdzie jechać. Półgłówek! Takiemu dają karabin do ręki. Poruczniku Staniuk, zanotujcie to nazwisko, Andrzej Tworczyk, i przypomnijcie mi o nim jak wrócimy do Urzędu. — Niedźwiedź się nie odważy, był w poniedziałek, jaki ten naród głupi, więc już więcej nie przyjdzie, do pierdła wsadzę i koniec, jeśli ludzie wszędzie w podobny sposób



myślą, to się nie ma co dziwić, że bandy w biały dzień po kraju grasują, naród im sprzyja, ot, w tym cały sęk, tylko twardą ręką i nie certolić się — *Nie można, towarzyszu, stosować zbyt otwartego terroru, to sprawy naprzód nie posuwa.* — Gadanie! trochę terroru, niezdecydowany terror, owszem, ale totalny terror? właśnie, ani jednej szparki im nie zostawić, każdy wypadek współpracy, każde podejrzenie nawet karać śmiercią, inaczej zaprzepaścimy rewolucję, publiczne rozstrzeliwania na rynku, szosy obsadzić szubienicami, tylko w ten sposób, żadnych półśrodków! — *Wam się ciągle wydaje, Ostuda, że naród to jest wróg, którego trzeba ujarzmić.* — Co mnie się wydaje, to ja sam wiem i nie trzeba mi o tym mówić, a kto ma rację, to ja też wiem, cholernie piaszczysta droga, jeszcze gdzieś tu utkniemy, a może ten Groszkowski tak na umyślnie? z tamtymi się spiknął i wprowadza nas w zasadzkę? trzeba mieć na niego oko, sarna! dawno nie byłem na polowaniu, człowiek taki zaharowany, odpocząć nie ma kiedy, trzęsie, żeby go szlag! — Tak już teraz będzie do końca. — Co będzie do końca! — Te piachy i korzenie. — *Pogaście silniki i światła! Groszkowski! Dacie radę w tych ciemnościach przeprowadzić nas do gajówki? — Spróbujemy.* — *Zawada pójdzie z nami, Staniuk, wy zostaniecie przy milicjantach.* Rozłożycie się wzdłuż drogi. Gdyby Niedźwiedź uciekał z gajówki, puścimy go bokiem, żeby się na was nadział, a wtedy my zajdziemy od tyłu i po plecach! Jeden karabin maszynowy zabierzemy z sobą. Tylko żadnego strzelania na wiatr! Bo uszy poobrywam, rozumiano? No, Groszkowski, wy przodem! — A niech tylko drogę zgubi, nie dobrze mu z oczu, albo taki zastrachany? albo niech tylko wprowadzi w zasadzkę! nikomu z nich nie można ufać, chyba nowy w tutejszym nadleśnictwie, Groszkowski, nie słyszałem, na pewno, a mam dobrą pamięć do nazwisk, no nic, lepiej wilka z lasu, zanosi się na pochmurny dzień, przy dobrej pogodzie o tej porze byłoby już jaśniej, niech tylko co, jeden podejrzanym ruch, sito z niego zrobić! zanim dojdziemy do gajówki powinno się rozjaśnić, tylko ciszej! wszędzie te gałęzie, człowiek nadepnie, zaraz roznosi się po całym lesie, tak tej wojny nie wygramy, idźmy, idźmy. — Niech ludzie otoczą domostwo. I nie strzelać, cholera, dopóki nie dam znać! — Ładnie sobie tu, jak mu tam? Hrobaczewski gospodarzył, porządna obora, dwie stodoły, ogródek warzywny, nawet ule ma, ładnie, jak to z ludźmi nigdy nie wiadomo, my dla nich wszystko, a oni z bandami w ku-

moterstwie, zawsze powiadam, nie ufać! nikomu nie ufać! wszystko dranie, tylko by nóż w plecy! kto tam tak kaszle? też sobie wybrał moment, psa zbudził, żeby go nagła krew! ale się bydlę rzuca na tym łańcuchu, uwaga! na parterze za firanką! żeby ten kurewski pies wreszcie się uspokoił, drzwi! uwaga! no pokaż się, pokaż się! z karabinem, kurwa, miałem rację, tu się zamelinowali, do psa idzie. — Czego się drzesz, draniu jeden? — Najpierw jeden strzał w powietrze, o tak! niech sobie trochę strachu nałyka, zanim go pošlemy na emeryturę. — Jesteście otoczeni! Wyłazić z domu! — Zupełnie go zdeorientowałem, no, gdzie da nura? z powrotem do domu? nie dobiegnie, pod stodołę? naiwniak, jeszcze mu króciutką serię, trafiłem? chyba nie, mniejsza o to, aha! szyby wybijają, okna nie potrafią otworzyć? kowboje! — No, chłopaki, teraz my im wygarniemy! — Dobra wiara, aż przyjemnie posłuchać, co tamten przy stodole robi? spietrał się, no, chłopcze, koniec twojego strachu, nawet nie zdązysz krótkiego pacierza, ładnie go sięgnąłem, jednego gnoja mniej, nie lepiej mu było u maminego cycka wisieć? — Przerwać ogień! Wy tam! Jesteście otoczeni! Porzućcie broń i wyjdźcie z domu z podniesionymi rękami! — Słyszeli? ten cholerny pies! — Spróbujcie nas wziąć! — Mało, że słyszeli, stawiają się, ano, żeby później nie narzekali, ten pies, kurwa! — Niech no który tam z karabinem ubije tego hałaśliwego drania! — Już można było oszaleć, teraz skokami pod dom i kilka granatów przez okno, to ich powinno wykończyć. — Przestańcie, chłopaki, na chwilę! Starczy wam tam? Czy wam jeszcze więcej dołożyć? — Nie strzelajcie! — Wyłazić mi raz dwa! Broń zostawić w środku! Prędejj! Prędejj! Co to za guzdranie się? Tylko pięciu? Gdzie reszta? — To wszystko. Dwóch jest zabitych, jeden ranny leży na górze. — Proszę! Kogo ja widzę? Dr Augustyniak! Pan tutaj? Zawsze byłem przekonany, że pan w Najdrzycach ma gabinet przyjąć. Zapewne na wczasy pan tu przyjechał, prawda? Gajowy! To wszystko? Tylko tych pięciu? — Tak. — Niech no ja się dobrze przypatrzę tym świńskim ryjom. Więckowiak! Znowu się spotykamy. Prędejj niż myślałeś, co? No! Jak ci teraz w gębie? Milczysz? Milczysz? Już ja ci — Po co pan bije? Nie wystarczy żeśmy się poddali? — Tylko mi tu nie pyskować! Zrewidujcie ich! — Melduję posłusznie, towarzyszu majorze, dwóch zabitych plus ten pod stodołą, na górze jest jakiś jeden ranny, ale twierdzi, że nie z dzisiejszej strzelaniny, w kuchni kobieta z dzieckiem. — Zo-

na? — Tak. — No i po co wam to było? Źle wam się tu żyło? A teraz co? Kariera złamana, jeszcze może kula w łeb, żona zostanie wdową, dziecko sierotą, warto się było mieszać w nie swoje sprawy? Tak się odwdzięczacie Polsce Ludowej? Chodźmy do środka. Zabierzcie stąd te trupy. Dawajcie tych gierojów! Pan, panie doktorze, też sobie tutaj stanie. I rączki ładnie do góry! To się do wszystkich odnosi, doktorze! Pod ścianę! Pod ścianę! Dobrze. Teraz może mi kto powie gdzie jest Niedźwiedź? Nikt nie wie? Jakże to? W Mogulinie była was cała banda, tu zaś jest was tylko dziewięciu, gdzie reszta? Garlecki! Daj każdemu z nich po pysku, tylko doktora i gajowego zostaw. No, gadać teraz! Gdzie Niedźwiedź? Gdzie reszta oddziału? — Nie wiemy. — Nareszcie ktoś znalazł język w gębie. A jak ty się, bracie, nazywasz? — Zenon Kwiatkowski. — Dobrze. Ile masz lat? — Dziewiętnaście. — Dobrze. I nie wiesz gdzie Niedźwiedź? — Nie wiem. — Dziewiętnaście lat, tak? Nie żal ci będzie umierać w tak młodym wieku? — Na posterunku to i nie żal. — Co? Co? Garlecki, popraw mu! Powtarzam, nie będzie ci żal umierać? — To dla Polski, co mi tam śmierć. — Garlecki! Ja was nauczę! Dla Polski! Wy gnoje, wy! Już dobrze, Garlecki, starcy tego. Gdzie Niedźwiedź, pytam po raz ostatni. — Kiedy my naprawdę nie wiemy. — Nie ciebie pytałem, Więckowiak. — Kiedy my naprawdę. Co pan bije? Co pan Wojsko Polskie bije? — Och ty! Wojsko Polskie! Ja ci dam Wojsko Polskie! Swołocz! Bandyci! Wstawać, bo jak jeszcze raz kopnę, to się już więcej nie podniesiesz! — Panie majorze, jeśli pan pozwoli, może ja coś powiem? — Mówcie, gajowy. — Niedźwiedź zjawił się tu po raz pierwszy w poniedziałek w nocy. — Przed czy po napadzie na Szklarską Górkę? — Tego nie wiem, nie mówił mi, ja zaś nie pytałem, ale przypuszczam — Bo dla pana to taka normalna rzecz, prawda, udzielać gościny bandom. — Ale przypuszczam, że musiało to już być po napadzie, bo mieli z sobą jednego rannego, ten właśnie co tam leży na górze. We wtorek w nocy przyjechał pan doktor z jeszcze jednym cywilem. Z tym rannym było naprawdę źle i — Mniejsza o to, mnie wasze współczucie dla bandytów nie obchodzi. Co dalej? — Wczoraj wieczorem cały oddział odszedł. — Ilu ich było? — Nie liczyłem, ale co najmniej stu. — A ci tutaj? — Wszyscy odeszli, ci też, tylko ten ranny na górze został. Wrócili późno w nocy, mogła być, w pół do drugiej, druga, zabawili piętnaście minut, może nawet nie tyle,

zostawili tych kilku, zabrali cywila i tylem ich widział. Gdzie poszli? Nie wiem. Mało to takich miejsc w tych lasach, gdzie można przepaść na całe miesiące? — Co to za cywil z panem tu przyjechał? — Czy to potrzebne, panie majorze? To człowiek niewinny, przypadkowo zupełnie — Jeśli niewinny, to dlaczego zwiął z Niedźwiedziem? — Nie wiem, może nie chciał — Żeby wpaść w moje łapy? Kto to był? Szybciej, doktorze, bo ja, jak pan już zapewne o tym się przekonał, jestem raczej krewkim człowiekiem i nie lubię jak się ktoś za długo namyśla. — Wielgocki. — Co? Wielgocki? Który Wielgocki? — Dominik. — Ho! Ho! No! No! A w ogóle jak to się stało, że pan tu trafił? — Pan Wielgocki przyszedł, prosił, żeby do rannego, pojechałem. — Wiedząc, że chodzi o rannego bandytę? — Moim obowiązkiem jest spieszyć z pomocą ludziom, którzy mnie potrzebują, ich poglądy polityczne nie mają z tym nic wspólnego. — Tak? Pana obowiązkiem było zameldować o tym w Urzędzie Bezpieczeństwa. — Jeszcze się w życiu nie splamiłem donosem. — Donosem? Niech pan będzie ostrożny, doktorze! Jeszcześmy z sobą nie skończyli! Ale mniej-sza z tym. Ciągle jeszcze nie wiemy gdzie udał się Niedźwiedź po opuszczeniu gajówki. Więckowiak! Gdzie mieliście się z nim spotkać? Jak długo mieliście tu zostać? — Dopóki ktoś się nie zjawi i nie powie co dalej robić. — Ty mądrała! Za kogo ty mnie masz? To Niedźwiedź, który tymczasem uskoczy na jakieś sto, dwieście kilometrów, będzie kogoś specjalnie przysyłał, żeby wam powiedzieć, gdzie macie iść? Ty, Więckowiak, ty mi nie opowiadaj głupstw, ty uważaj na siebie, my mamy z sobą na pieńku, pamiętasz? Jeśli chcesz, żebym się z tobą łaskawie obszedł, lepiej mi tu zaraz śpiewaj prawdę. Dobrze. Wobec tego spróbujemy z innej beczki. Poruczniku, weźmiecie tego tam rannego, gajowego i doktora, i odstawicie ich do samochodów, ja popracuję tu trochę nad tymi pięćcioma, może z nich co wycisnę. Kto się tam tak turbuje? — Żona gajowego, towarzyszu majorze. — Wpuście ją. Co pani chce? — Wszystko słyszałam. Chcecie mi męża zabrać. Mąż niewinny, mówił przecież, co mógł zrobić? — To dlaczego wczoraj wieczorem, jak bandyci odeszli, nie zadzwonił, że tu macie jednego rannego? Że banda była? Dlaczego? — Bo i po co? Ranny, to niech sobie poleży, wydobrzeje, to i pójdzie sobie i będzie spokój. Po co od razu wszyscy mają wiedzieć? — Nie zwracajcie mi głowy tą kobietą! Zabierzcie ich! — Panie majorze, niech mi pan męża nie za-

biera, błagam na litość tego dziecka! Jak już raz tam pójdzie, to już nigdy więcej nie wróci. — Ładne, widzę, ma pani wyobrażenie o Urzędzie Bezpieczeństwa. Pani się dużo wrogiej propagandy nasłuchiwała. Przytrzymajcie tę histeryczkę! Pani się uspokoi, pani słyszy! Co to ma znaczyć, taka scena? — Pójdzie i już nie wróci! Już ja wiem! Nie wróci! Nie wróci! — Weźcie ją stąd i zamknijcie w kuchni. — Panie majorze, przecież mogę wszelkie zeznania złożyć tu na miejscu. — Zabierzcie ich, poruczniku, i wyznaczcie kilku ludzi żeby te trupy też przetransportowali do samochodów. Ależ ta baba się drze! Poruczniku! Weźcie ją również, będzie mniej krzyku. A reszta do stodoły! Niech no któryś poszuka jakiegoś solidnego kija. Rozebrać się do naga! — Dlaczego? Co pan? — Milczeć! — Rozbierać się! Pokaż ten kij. Dobry. Więckowiak, ty pierwszy, kładź się na klepisko. — Panie majorze! — Kładź się, potem będziemy gadali. — Raczej zdechnę niż — Na brzuch i ręce od siebie! Jeden trzymać go za nogi, dwóch za ręce. Ukrzyżujemy cię tak, Więckowiak. Chłopaki, który z was chce się pobawić? Garlecki? Gorliwiec, co? No masz. Więckowiak, grasz o własne życie, od ciebie tylko zależy, czy podniesiemy cię z tego klepiska żywego. Gdzie i kiedy mieliście się spotkać z Niedźwiedziem? — Nie powiem. — Bij. — Kawal zbója ten Garlecki, pomyślałby kto, że całe życie nic innego nie robił, tylko pałką machał, ale dobrze go tłucze, solidny pracownik, a Więckowiak twarda sztuka, nawet nie jęknie, zobaczymy jak długo pociągnie. — Starczy. Jak ci smakuje, Więckowiak? Ech, ty gnoju, jeszcze masz szansę, korzystaj z niej, coś taki głupi? Garlecki! Bohaterzy! Gieroj! Już się wam odechce bohaterstwa! — Zemdłał, towarzyszu majorze. — Przynieście wiadro wody. No, uważaj, buty mi spryskałeś. Słuchaj, Więckowiak, słyszysz mnie? To już twoja ostatnia szansa. Jeśli nie powiesz, to cię tu wykończymy. Odpowiedz na moje pytanie. Gdzie i kiedy mieliście się spotkać z Niedźwiedziem? — Nie powiem. — Garlecki! A ja sobie usiądę tutaj i zapalę papierosa, co za uparty człowiek, przecież chyba wie, że już się z tego klepiska nie podniesie, a jednak, ja ich nie rozumiem. — Towarzyszu majorze, on zdaje się już — Co znaczy już? Jeszcze żyje, nie widzisz? To go tłucz! Zresztą zaraz, poczekaj, może któryś z kolegów się rozmyślił? Nikt? No to już go teraz wykończ. Dobra. Odciągnijcie go na bok i następny. Może jednak któryś z was zdecydował się gadać? Nie? Nie będziecie się mogli potem przed świętym Pietrem

skarżyć, że Polska Ludowa z wami się niesprawiedliwie obeszła. Dałem wam szansę, odrzuciliście ją. Prędkiej, Garlecki, prędzej! Już się z nim nie patyczkuj. A dwóch niech skoczy po łopaty i wykopie dół za stodołą. Co, ten też już sftaczał? Mięczaki! Wszystkich was czeka ten sam los. Co wy, serca nie macie? Dwóch waszych kolegów już wykitowało, a wy nic? Daję wam jeszcze czas, zastanówcie się. Podnieśliście rękę na Polskę Ludową, ale Polska Ludowa nie chce waszej krwi. Nic was to nie przekonywuje? Już dół wykopany? Zabierzcie tę padlinę, a wy chodźcie, bo już rąk sobie na was strzępić nie będziemy. — Towarzyszu majorze, ci dwaj jeszcze oddychają. — Masz mój rewolwer. No! Wszystkich was czeka to samo. Chodź tu, ty! Klękaj! Będę liczył do trzech. — Niech pan nie strzela! Przecież my Polacy! — Gówno wy, nie Polacy! Będziesz gadał? — Będę. — Gadaj więc! — Pan pułkownik powiedział, że jeśli do tygodnia nie będzie od niego żadnej wiadomości, a Wieczorek już będzie na tyle zdrowy, że będzie mógł jako tako chodzić, to mamy iść na Powstańczy Krzyż. Tam będzie dla nas wiadomość. — Nie mogliście tego wcześniej powiedzieć? Dwóch kolegów przez was zginęło, wy gnoje! Garlecki, weź ich do stodoły i wsadź każdemu porcję kijów za karę. Ja was nauczę koleżeństwa! A wy zakopcie dół i obłóćcie darniną. Zabieraj ich, prędzej, nie będziemy tu przecież siedzieli cały dzień. — *Koło albo Konin, ejże! Konin już mineliśmy, Koło zatem, nawet nie zauważyłem kiedy pociąg stanął, pół drogi mamy za sobą, teraz będzie z górki na pazurki, człowiek dziś ciągle w przeszłość wraca, niedobry znak, i ujrzałem anioła jednego biegnącego przez pośrodek nieba, anioł, cholera, się przyczepił, głupie pretensje, wtedy nikt nie pytał o metody, skutek się liczy, rozumiecie, towarzyszu Ostuda, czy ja rozumiem? też pytanie, rzeźbiarz wyciosuje początkowe kształty w drzewie siekierą, czy kto ma do niego pretensje, że używa siekiery? a co, pilnika? na wszystko jest swój czas, zapytajcie byle rzeźbiarza, obłuda, towarzysze, wkradła się w nasze szeregi! ja rozumiem, zmieniły się czasy, czasy zawsze się zmieniają, trudno mieć do kogo pretensje, że piętnaście lat temu były inne, Hibisz też gagatek, zawsze miał nosa, zawsze jak kot na cztery łapy, jak sprawa śmierdzi, nie podejdzie, niech inni za niego wyciągają kasztany z ognia, można i tak, ale dlaczego ja? dlaczego to wszystko na mnie ma się skrupić? czy ja już niewrażliwy na ogień? hipopotam? byłem tylko pionkiem, nie pchałem się jak niektórzy, nie*

robiłem kariery, nie mogłem zrobić kariery? ale ja nie, dziękuję, Najdrzyce mi się podobają, tu ja jestem królem, nikt mi do ucha nic nie brzęczy, ja decyduję, tak ma być i koniec! dlaczego? bo ja tak powiedziałem! sekretarz Komitetu Miejskiego skacze? sekretarz Komitetu Powiatowego szura? jeden telefon, z miejsca pokornieli, każdy stawał się łagodny jak baranek, *wy mi się waszą pozycją nie zastłaniacie, bo mnie to mało obchodzi, że wy sekretarz!* tu mi było dobrze, skromne stanowisko, dla mnie w zupełności wystarczające, ja nie łasy na jakieś wyróżnienia, były, owszem, ale specjalnie się o nie ubiegać? i teraz się mnie czepiają, czy ja kazałem aresztować Srokosza? no więc? *Teczka z bieżącymi sprawami, dobrze, poczta, dobrze, dużo tego dzisiaj, prasa po lewej stronie, dobrze*, ale coś mi się tutaj nie zgadza, popatrzmy jeszcze raz, teczka, poczta, gazety, ktoś „Trybunę Ludu” ruszał, bezczelność! zawsze mówię: gazety przychodzą do mnie nietknięte! każdy dział ma własne i niech mi nikt nie grzebie, zaraz, „Z polecenia Naczelniej Prokuratury Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w dniu 12 czerwca 1950 organa Ministerstwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego aresztowały ob. Alojzego Srokosza pod zarzutem antypartyjnej i antypaństwowej działalności”. O, jasny piorun! „Plenum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej postanowiło na odbytym w dniu wczorajszym posiedzeniu usunąć tow. Alojzego Srokosza z zajmowanego przez niego stanowiska sekretarza Komitetu Centralnego oraz, w związku z wszczętym przeciwko niemu śledztwem w sprawie jego zbrodniczej i wrogiej dla Polski Ludowej działalności, wykluczyć go z szeregów Partii”. O cholera! nad Srokoszem postanowili krzyżyk, o cholera! krzyżyk nad nim postanowili postawić, a jeśli nad nim, niedobrze! gorzej, źle, bardzo źle, trzeba myśleć, trzeba coś, bo jeśli jego, myśleć! myśleć! należało się tego spodziewać, w zeszłym roku nie wziął udziału w obchodach święta lipcowego, potem kampania w prasie, wprowadzie bez nazwiska, co tam nazwisko, każdy wiedział o kim mowa, no ale potem wszystko jakoś przycichło, nie powinienem był do niego jeździć, kiedy to było? trzy miesiące temu? każdy kto się z nim stykał jest teraz w jakiś sposób, po jaką cholere mnie tam poniosło? w jakiś sposób implikowany, dlatego tylko że byłem w Warszawie? idiota! idiota! no więc co z tego, że ucichło? zawsze przeceniałem znaczenie jego stanowiska, tyle lat i niczego się nie nauczyłem, jak człowiek jest spalony, to się od niego trzeba z daleka

trzymać, wszystko jedno kto by to nie był, brat, ojciec, przyjaciel, jeśli spalony, to koniec, przestał istnieć, nigdy go nie znałem, nie miałem żadnych kontaktów, nie wiedziałem nawet że taki istnieje, na pewno fotografowali wszystkich wchodzących, jak długo tam siedziałem? dwie godziny? trochę mniej, niedobrze, na pewno był podsłuch, musiał być, wpadłem jak śliwka w gówno, jak można było być tak nieostrożnym? ręce mi się pocą, spokojnie, spokojnie, tylko nie ulegać panice! — *Dlaczego, wiedząc o jego wrogim stanowisku wobec kierownictwa partyjnego, utrzymywaliście z nim tak zażyłe kontakty?* — Ktoś specjalnie tak położył gazetę, żebym tego nie przegapił, kto, sekretarka? dlaczego? żeby mnie ostrzec? cóż ta idiotka sobie myśli, że będę uciekał za granicę? może z cichego zadowolenia, że wpadłem? zemścić się? właśnie, ja wiem, zawzięta się na mnie od tego czasu jak byliśmy razem w tym hotelu, wchodzę do pokoju, ona już na łóżku, obraziła się, że jej nie przyrznałem, *jak ja będę chciał sobie kogoś przyrznać, to na pewno kandydatki nie będę szukał wśród moich współpracowniczek, zrozumiano?* wroga sobie zrobiłem na całe życie, zaraz, przecież ona nie wie, nie może wiedzieć, że ja w partyzantce pod Srokoszem, nikt w całym Urzędzie, nikt w całym mieście, ale może to nie ona, więc kto? kapitan Zahorski? cóż ja o nim wiem? przydzielony do Urzędu pół roku temu, na Srokosza już noże wtedy ostrzyli, możliwe, przydzielono go tu po to, nastali go specjalnie, żeby mnie miał na oku, możliwe, czemu nie? zobaczymy, piętnaście po ósmej, powinien już być. — Proszę, właśnie o was myślałem. Siadajcie, towarzyszu, co słyhać? Zapalcie papierosa. — Czy aby mi ręka nie drgnęła? chyba nie, przywidziało mi się, staję się przewrażliwiony, wspomnieć mu o komunikacie? wspomnę, będzie źle, przecież nie pierwszy komunikat tego rodzaju, nie wspomnę, też źle, ostatecznie Srokosz nie byle płołka, żeby nad nim przejść do porządku dziennego, i tak źle i tak nie dobrze. — Jak się posuwa sprawa z Rafalskim? — Patrzy mi prosto w oczy, sukinyś, udaje że nic, jakby nie widział gazety, cichy, obowiązkowy, twarz jak maska, nigdy nie wiadomo co w takim naprawdę siedzi. — Wczoraj wieczorem zrobiliśmy u niego w mieszkaniu kocioł, do jedenastej zagarnęliśmy dziewięciu ludzi. Niestety nie ci, o których nam chodzi. Posiedzimy tam do soboty. Ten facet z Łodzi niewątpliwie znowu przyjdzie i jak Rafalskiego nie znajdzie w sklepie, przyjdzie z materiałem do domu, wtedy na niego skoczymy. A przy



okazji, możliwe, że się jeszcze jakąś rybkę złowi. — A sprawdziliście czy w celach mamy miejsce na taką partię ludzi? — Jakoś się ich poupycha. — A co z tym nauczycielem z powszechniaka? Nie sądzicie, że już czas żeby go tu wziąć do nas, niech by sobie trochę u nas pognił. — Jąbym go jeszcze zostawił kilka tygodni w szkole, w międzyczasie teczka pęcznieje, będzie więcej materiału nad którym później będzie można popracować. — Może macie rację. No to co, to byłoby wszystko, prawda? — Czytaliście, towarzyszu majorze? — Czy co czytałem? — Ten komunikat. — Owszem. — No i? — Wiecie, kapitanie, nasza służba bezpieczeństwa jest na ogół dobra, miejmy więc nadzieję, że aresztowano go zanim zdążył zbyt wiele szkody narobić naszej sprawie. — Tak, ale to jednak ciekawe, że dopiero teraz, przez tyle lat nikt się niczego nie domyślał, nawet ci co go znali z okupacji, nie sądzicie? — Macie rację, towarzyszu. Niewątpliwie jednak śledztwo wyjaśni te sprawy, znajdzie tych, co zgrzeszyli, no, lekkomyślnością? — Może więcej niż lekkomyślnością? — Możliwe, oczywiście. A my, towarzyszu, ze swej strony powinniśmy na to w jakiś sposób zareagować. Jesteście sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej. Czy nie byłoby wskazane zwołać zebranie, do sprawy odpowiednio się ustosunkować i stosunek ten ująć w formalnej rezolucji? — Ubiegłem sukinsyna, o tym nie pomyślał, co? zdezorientowałem gościa, pomieszałem szyki, przemądrzały gówniarz! niech się teraz z tego wykaraska! — Też o tym myślałem, towarzyszu majorze, nawet miałem zamiar dzisiaj z wami o tym porozmawiać. — Tak? Cieszy mnie to. Przygotujcie odpowiednią rezolucję. — Oczywiście, towarzyszu majorze. — Chytrus! e tam! taki chytrus, mnie przechytryć? jeszcze się taki nie urodził. — *Jakto, towarzyszu Zahorski, twierdzicie, że solidaryzowaliście się z uchwałą Komitetu Centralnego od samego początku, a przecież dopiero ja, dopiero ja musiałem wam podsunąć myśl, żeby sprawę tę wnieść na zebranie partyjne. Jak to wytłumaczycie? Jak? Jak?* — W każdym razie zatkałem mu gębę, niech siedzi wieczorem i poci się nad rezolucją, mnie chciał wziąć na haczyk! mnie! taki chłystek! — *Towarzystwo Ostuda? Proszę, wejdźcie! O, tu jest krzesło, siadajcie. No, widzicie. Ja bez żadnych wstępów, nie lubię niepotrzebnego gadania, kawa na ława, zaraz powiem o co chodzi. W zeszłym tygodniu znaleźliśmy u jednego z wysoko postawionych towarzyszy partyjnych składnicę antypartyjnych ulotek, przy pomocy których pewni*

ludzie usiłowali przeszczepić na nasz grunt elementy titoizmu w celu zakłócenia naszych dobrosąsiedzkich stosunków z naszym wielkim przyjacielem Związkiem Radzieckim. Wiecie jaka to jest delikatna sprawa, stosunek do Związku Radzieckiego, zwłaszcza u nas, gdzie w przeszłości, no, wiecie, jak było. Ale to jest historia. Wielki Stalin wyciągnął do nas przyjacielską dłoń i pomógł nam przewyciężyć stare nieufności, wzajemne dąsania się i tak dalej. Teraz walczymy we wspólnym froncie. Zwycięstwo naszej rewolucji zależy od siły i pomocy Związku Radzieckiego. Stąd też nasz stosunek do naszego wschodniego sąsiada jest tak ważny. Jego pierwszorzędną wagę można ująć w jednym lapidarnym zdaniu. Powiedz mi jaki jest twój stosunek do Związku Radzieckiego i wielkiego Stalina, a ja ci powiem jakim jesteś komunistą. Zgodzicie się z tym? — Oczywiście. — Niestety w naszych szeregach znaleźli się ludzie, którzy dali się złapać na lep antyradzieckiej propagandy. Wiecie o kim mówię? — Domyślam się. — No to powiedzcie mi, o kim mówię? — Przypuszczam, że mowa o Srokoszu i jego grupie. — Bardzo dobrze. Widzę, że się rozumiemy. — Towarzyszu, uważam, że stać nas na wzajemną szczerłość. Na pewno mnie znacie, znacie moją lojalność względem Partii, proszę więc, powiedzcie mi od razu w czym mogę wam być pomocny? — Takie stanowisko mi się podoba, prawdziwe partyjne stanowisko. Zrobimy tak. Tutaj są pewne materiały, z którymi chciałbym, żebyście się zapoznali. Proszę. Przejdźcie sobie do sąsiedniego pokoju i tam je sobie spokojnie przeczytacie. No, nie wszystko, oczywiście, tego jest za dużo i zresztą nie ma wcale potrzeby wszystkiego czytać, ale tak tylko, żebyście się zorientowali jaki jest ogólny zarys tej sprawy. I wtedy zastanowicie się w jaki sposób moglibyście się najlepiej Partii przysłużyć. Potem sobie porozmawiamy, O, proszę, siadajcie, tu macie wygodny fotel, papier, pióro, gdybyście chcieli sobie porobić jakieś notatki. Jak będziecie gotowi, tu jest dzwonek, przyjdzie sekretarka i przyprowadzi was do nas. Na razie! — „Błędne twierdzenie tow. Srokosza jakoby polski ruch robotniczo-rewolucyjny rozwijał się wyłącznie pod wpływem warunków istniejących pod zaborami, jakoby nie był ściśle organizacyjnie i ideowo związany z całością ruchu rewolucyjnego na obszarze carskiej Rosji, prowadzi w konsekwencji do wzmocnienia nastrojów antyradzieckich, do zaprzeczenia kierowniczej roli WKPb z genialnym Stalinem na czele i jako taki musi zostać uznany za wysoce szkodliwy”.

Protokół z jakiegoś zebrania, facet powiedział co poprzedniego dnia przeczytał w „Trybunie Ludu”, nieciekawe, potem się to przedstawi jako oddolny głos, jeden z oddolnych głosów szeregowych członków Partii, kto to podpisał? Cisiakiewicz? nie znam, a ten to kto? Paskiewicz? też nie znam, zobaczmy co ciekawego wymyślił. „Któregoś dnia, daty już sobie dobrze nie przypominam, w każdym razie było to pod koniec 1943 w październiku lub listopadzie, tow. Srokosz zawołał mnie do siebie i oświadczył, że w Dębicach mieszka niejaki Franciszek Król, który jest agentem Gestapo i jako zdrajca narodu i klasy robotniczej został skazany na karę śmierci. Przez kogo, tego tow. Srokosz nie powiedział, ja zaś, mając do niego całkowite zaufanie, nie pytałem. Uznałem za wystarczające, że jeżeli tow. Srokosz taki rozkaz wydaje, to widocznie ma po temu podstawę. Ja miałem wykonać wyrok. Zznaję następnie, że tego wieczoru tow. Srokosz z oddziałem ruszył dalej, ja natomiast udałem się do Dębowic, gdzie odszukałem wskazany adres i wyrok, zgodnie z poleceniem, wykonałem. Następnego dnia dołączyłem znowu do oddziału. Zameldowałem o tym tow. Srokoszowi, ten pogratulował mi, że likwidując zdrajcę dobrze się przysłużyłem sprawie przyszłej Polski Ludowej. Dziś wiem, niestety po niewczasie, że Król nie był wcale zdrajcą, przeciwnie był uczciwym komunistą i dzielnym patriotą, ale wtedy tego nie wiedziałem, zaufałem bowiem tow. Srokoszowi, który podszywając się pod miano komunisty tylko szkodził naszej Partii i naszej ukochanej ojczyźnie ludowej i to był mój błąd, bo mu nie trzeba było ufać, bo nie byłem czujny, i teraz proszę naszą ukochaną Partię o ukaranie mnie bardzo surowe, aby mój brak czujności rewolucyjnej i jego potworne skutki, stały się przestrożą dla innych towarzyszy”. Paskiewicz? czy taki był w oddziale? nie przypominam sobie, raczej nie, oczywiście to nie jest ważne, teraz trzeba, żeby był, więc był! ale takiego incydentu nie było, ale na pewno są świadkowie, więc był! prosta sprawa, Chrabowicz? też nie znam, poczytamy co ten ma ciekawego do powiedzenia. „Po raz pierwszy zetknąłem się ze Srokoszem przed wojną, w czasie kiedy ten prowadził swoją krecią robotę w łonie polskiego ruchu rewolucyjnego. A jak było, powiem. Był rok 1938. Byłem wówczas działaczem KZMP, którą to organizację faszystowski rząd sanacyjny postawił poza prawem. W maju tego roku przyjechałem do Łodzi w celu wygłoszenia cyklu odczytów dla młodzieży robotniczej. Tematem ich była ów-

czesna sytuacja wewnętrzna kraju, sprawy wspólnego sojuszu robotniczo-chłopskiego przeciwko faszystowskiej dyktaturze sanacji oraz sprawy międzynarodowego ruchu rewolucyjnego. Co przez to rozumiem? Rozumiem mianowicie zdradę niektórych przywódców Komunistycznej Partii Polski oraz ich przykładowe ukaranie przez genialnego Stalina, wodza i nauczyciela międzynarodowego ruchu komunistycznego. Przypominam sobie dokładnie jedno zebranie, które odbyło się na Bałutach. Było obecnych około dwudziestu ludzi, w tym również ob. Srokosz. Po moim referacie wywiązała się ożywiona dyskusja, w toku której podkreślano słuszność linii partyjnej WKPb oraz mądrość polityczną wielkiego Stalina. Jedynym wyjątkiem był właśnie ob. Srokosz. Szkalując Związek Radziecki oraz osobiście tow. Stalina, wielkiego przyjaciela narodu polskiego, powiedział on, że jakkolwiek sąd o procesach moskiewskich jest niemożliwy, a to rzekomo dlatego że władze radzieckie nie podały do wiadomości żadnych materiałów dowodowych. Z tego też powodu on, ob. Srokosz, motywując swoją postawę burżuazyjnymi koncepcjami wymiaru sprawiedliwości, woli się powstrzymać od wydawania opinii. Mało tego, kontynuując swoje prowokacyjne wystąpienie szkalujące Związek Radziecki oraz jego wodza, jego rewolucyjne sumienie, wielkiego Stalina, ob. Srokosz zwrócił się do zebranych i nawoływał ich do cofnięcia swej lojalności wobec naszych towarzyszy radzieckich. Czyż trzeba tu nadmieniać, że to wrogie wystąpienie spotkało się z rzetelną odprawą ze strony zebranych? W następnym roku na wiosnę ob. Srokosz przeniósł swoją dywersyjną robotę do Krakowa. Będąc tam w kwietniu byłem świadkiem jak w czasie antyżydowskich wystąpień narodowych odłamów młodzieży akademickiej podjudzał on tłum do bicia Żydów i tłuczenia szyb w sklepach żydowskich. Osobiście widziałem jak sam wybił szyby w dwóch takich sklepach, mianowicie cegłą. Oprócz mnie było tam jeszcze dwóch innych świadków, mianowicie tow. Karpiński Stefan oraz tow. Katarzyna Malicka. Tow. Karpiński został wkrótce potem aresztowany na skutek denuncjacji Srokosza, o czym wiem na podstawie grypsu, jaki otrzymałem od tow. Karpińskiego kiedy ten już przebywał w więzieniu w Rawiczu. Tow. Malicka zaś została aresztowana przez Niemców w pierwszych dniach okupacji i rozstrzelana. Srokosz natomiast, który w tym czasie również przebywał w Krakowie, uszedł cało, ale dowodów na to, że współpracował z Gestapo nie posiadam, a co słysza-

łem, to były jedynie plotki, których wolę nie powtarzać”. Jeśli on słyszał, ale nie ma dowodów, to ktoś inny na pewno nie tylko słyszał, ale ma i dowody, musowo, rzygać się chce, takie draństwo, proszę! jest i Niecały! „W czasie wojny służyłem w oddziale Batalionów Chłopskich dowodzonym przez ob. Srokosza. W roku 1943 znaleźliśmy się w lasach złotnikowskich, gdzie spędziliśmy zimę. Pewnego dnia na wiosnę ob. Srokosz udał się do Lubartowa, gdzie rzekomo miał się spotkać z tow. Janosikiem, przywódcą innego oddziału Batalionów Chłopskich, celem omówienia wspólnych przyszłych działań. Powróciwszy z Lubartowa, ob. Srokosz natychmiast wydał rozkaz wymarszu w kierunku puszczy michowskiej, gdzie rzekomo miała nastąpić koncentracja licznych oddziałów podziemnych. Jak się potem okazało, były to niemal wyłącznie oddziały reakcyjnej Armii Krajowej, która zamiast walczyć przeciwko Niemcom, hołdowała fałszywej formule dwu wrogów, stania z bronią u nogi i czekania aż się wykrwawi nasz wielki przyjaciel Związek Radziecki. Jednej nocy zatrzymaliśmy się w Borowie. Srokosz nie kazał rozstawiać wart twierdząc, że teren jest pewny i nic nam nie grozi. Nad ranem zaatakowali nas Niemcy. W czasie bitwy straciliśmy blisko połowę stanu oddziału, w tym również tow. Manuęłą Ściborską, czynną aktywistkę przedwojennego KZMP we Lwowie. Nawiasem mówiąc, była to jedyna kobieta w oddziale i wkrótce po jej przybyciu Srokosz zmusił ją do uprawiania nierządu. Po wybiciu się z okrążenia, okazało się, że brakuje wśród nas Srokosza. Zjawił się on ponownie dopiero po kilku dniach, kiedy już dotarliśmy do puszczy michowskiej. Na moje zapytanie, co się stało z nim w Borowie, odrzekł, że w czasie walki dom, w którym nocował, został otoczony przez Niemców i wobec niemożności wydostania się stamtąd, musiał się schronić na strych i przeczekać aż Niemcy opuszczą wioskę. Wbrew zapewnieniom Srokosza Janosik nie stawiał się na koncentrację w puszczy michowskiej. Korzystając z tego, że kilka miesięcy później znowu znaleźliśmy się w okolicy Lubartowa, udałem się tam i dowiedziałem się od wiarogodnych ludzi, że za naszej poprzedniej bytności w tych stronach Srokosz odbył spotkanie z niejakim Forkiewiczem, agentem Gestapo. Odszukałem go. Zagrożony śmiercią Forkiewicz wyznał, że wspomnianego dnia Srokosz był u niego i polecił mu przekazanie wiadomości o ruchach podziemnych oddziałów partyzanckich do miejscowego Gestapo. Forkowicza, rzecz jasna, zlikwidowałem”.

Z policją przed wojną, z Gestapo w czasie, co teraz? szpiegostwo? powinno być szpiegostwo, taka jest logika zaprzaństwa, musiał im mocno wleźć za skórę, no zobaczymy, Zbigniew Maczkowski, małorolny chłop ze wsi Bobrowniki, pow. Najdrzyce, przecież ja go znam! co robi w tym towarzystwie? „Z tą spółdzielnią produkcyjną to było tak, że ja to bym ostatecznie był się od razu zgodził, żeby tych kilka mórg do niej oddać, bo co tam, ja i tak dziad, ale mój sąsiad Kunefal Ostrelczak, który czytał gazety i słuchał radia zagranicznego, aparat miał schowany pod podłogą w komorze, on więc przyniósł mi gazetę, gdzie było napisane, że tow. Srokosz, członek kierownictwa naszej ukochanej Partii, na ostatnim plenum bardzo ostro wystąpił przeciwko zakładaniu spółdzielni produkcyjnych. Ostrelczak powiedział ponadto, że w radio zagranicznym też o nim mówili. W każdym razie jeżeli, powiedział mi, bo on się na tych rzeczach lepiej zna, bo umie czytać gazety i ma radio, tak wysoko postawiony członek naszej ukochanej Partii jest przeciwny zakładaniu kołchozów, to widocznie to nie jest tylko głupota jakaś takich jak ja, co się na niczym nie znają i tylko myślą o własnym egoizmie, i jak dziadami byli, tak i dziadami pozostaną, i jeżeli my, małorolni chłopcy, my biedota wiejska, nie zgodzimy się na to, żeby nam ziemię do kołchozu zabrali, to w ten sposób pokażemy, że popieramy słuszną walkę tow. Srokosza, bo on wtedy był jeszcze towarzyszem i to nawet wysokim bo w samym Komitecie Centralnym, i może dla nas będzie jeszcze jaki ratunek. Dlatego też z powyższych powodów, co zeznając sam dobrowolnie i bez żadnego przymusu, powtarzam, bez żadnego przymusu, na zebraniu założycielskim głosowałem przeciw i dopiero potem, kiedy tow. Ostuda z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Najdrzycach wytłumaczył mi mój błąd, to dopiero wtedy zrozumiałem swoje antyludowe postępowanie i natychmiast po wypuszczeniu na wolność zgłosiłem swój udział dobrowolnie do spółdzielni i innych też do tego namawiałem, na co mam trzech świadków, którzy potwierdzą, że prawdę mówię”. Zbigniew Maczkowski, nawet sobie przypominam który to był, z Bobrownik, ładnie to powiedział „wytłumaczył mi mój błąd”, kochane chłopisko, daj mu Panie Boże zdrowia, nawet nie trzeba go było przekonywać, pognił tydzień w piwnicy i złagodniał, ale Ostrelczak, zdaje się, ej! chyba tak! wykitował w czasie przesłuchiwań, uparty ćmok był, „wytłumaczył mi mój błąd”, dobre, co? starczy tego czytania. — Przeczytaliście? —

Przeczytałem i mam ogólny zarys sprawy. — No i co mi powiecie? — Trudno myśli zebrać. W głowie mi się nie chce pomieścić. Zawsze myślałem, no, po prostu jestem wstrząśnięty. — Rozumiem was, towarzyszu Ostuda. Trudno uwierzyć, że Srokosz, którego mieliście za człowieka nieskalanego, oddanego naszej sprawie, okazał się pospolitym zdrajcą, agentem, wtyczką imperialistyczną. — Właśnie. Zawsze go miałem za człowieka o kryształowym charakterze, ciałem i duszą oddanego naszej sprawie i teraz okazuje się — Pojmuję wasz wstrząs, towarzyszu Ostuda. Niestety tak jest, to się zdarza, nawet najlepszy, zdawałoby się, towarzysz partyjny może się okazać w gruncie rzeczy zdrajcą. Współczuję z wami. Ciężko wam przeżyć taki zawód. Oczywiście, cała Partia zawiodła się boleśnie na tym człowieku, ale dobrze przynajmniej, że został na czas zdemaskowany. Przynajmniej teraz będziemy mogli wyciąć ten wrzód z ciała Partii, oczyścić się z tego raka, wyrzucić z siebie tę zgniliznę, spuścić przez zlew tę ropę, która nas zatruwała. Tak. Towarzyszu Ostuda, myśmy nigdy nie mieli żadnych wątpliwości co do stanowiska, jakie zajmiecie w tej sprawie i dlatego Partia wyznaczyła was do odegrania zaszczytnej roli w procesie przeciwko temu zdrajcy i agentowi. Oczywiście, wszystko zostanie dokładnie przygotowane, do rozprawy jest jeszcze jakieś pół roku, w międzyczasie przydzielimy wam kilku towarzyszy, którzy razem z wami przeobrażą waszą rolę, pomogą utrwalić w pamięci zeznania, przygotowują na ewentualne potknięcia się innych świadków, przecież my nie chcemy żadnych niespodzianek, prawda? — *Gdybym wam pokazał waszą teczkę personalną, towarzyszu Ostuda, zobaczylibyście jak łatwo przyszłoby nam sporządzić akt oskarżenia przeciwko wam samym. Ot, choćby taki drobny szczegół. W 1944 roku byliście aresztowani przez władze radzieckie. — Tak, ale to było nieporozumienie. — Czyżby? — Aresztowanie było oparte na zupełnie bezpodstawnych zarzutach rozstrzelania kilku obywateli radzieckich. W istocie rzeczy chodziło po prostu o szpiegów, kolaborantów, banderowców, wreszcie o pospolitych bandziorów, ot, takie szumowiny, które należało tępić. Towarzysz Srokosz interweniował u władz radzieckich i natychmiast zostałem zwolniony. — Taka jest wasza wersja. Nasza natomiast jest nieco inna. Zbadaliśmy dość gruntownie cały ten incydent i w świetle dokumentów, jakimi obecnie rozporządzamy, a są wśród nich zeznania ludzi, którzy byli z wami w tym czasie w partyzantce, np. tow.*



Niecały oraz kilku innych członków oddziału, sprawa wygląda trochę inaczej, niż byście to chcieli obecnie przedstawić. Ale, powiadam, na razie nie ma potrzeby wyciągania jej na światło dzienne. Niech sobie leży, niech sobie czeka. Miejmy nadzieję, że nigdy ta potrzeba nie zajdzie. — *Słucham. Mówcie.* — *Siedemnastego grudnia oskarżony Srokosz skontaktował się ze mną telefonicznie oświadczając, że ma mi coś bardzo ważnego do zakomunikowania i w związku z tym prosi mnie, abym przyszedł w oznaczonym dniu do jego mieszkania w Alejach Niepodległości.* — Co świadek robił w tym czasie w Warszawie? — Od paru tygodni przebywałem tam na specjalnym kursie antydywersyjnym. — Kiedy świadek miał się zgłosić u oskarżonego? — Następnego dnia o ósmej wieczorem. — Czy świadek tam poszedł? — Poszedłem. — Kogo świadek tam zastał? — Zastałem, oprócz oskarżonego Srokosza, jeszcze oskarżonego Kulmieckiego — Kulwickiego, towarzyszu Ostuda. — Przepraszam. Kulwickiego, Przesieckiego, Walaucha i dwóch innych towarzyszy, których nazwisk jeszcze wtedy nie znałem. — Może oskarżony, przepraszam was, Ostuda, może świadek rozejrzy się po sali. Czy widzi ich tutaj? — Owszem, na ławie oskarżonych. — Świadek wskaże palcem, którzy to są. — Tamci dwaj. — Oskarżony Cudziak i oskarżony Szubski? — Tak. — Może świadek teraz nam opíše przebieg tego spotkania. — Najpierw była taka sobie nieobowiązująca rozmowa o jakimś, nie pamiętam dobrze, filmie czy sztuce teatralnej. — Niech oskarżony dobrze sobie przypomni, czy to była sztuka teatralna, czy film? — Sztuka teatralna. — Jaki tytuł? — „Brygada szlifierza Kozłowskiego”. — Nie tak szybko, towarzyszu Ostuda, najpierw twierdźcie, że nie pamiętacie, a potem, jeszcze gotów kto pomyśleć, że proces sfingowany i wszystkiego nauczono was na pamięć. Przecież to było dawno, trzeba się trochę zastanowić, pogrzebać w pamięci, potrzebujecie zatem kilka sekund do namysłu. Każda odpowiedź musi być psychologicznie uprawdopodobniona. Dobrze? Powtórzmy to jeszcze raz. Jaki był tytuł tej sztuki? — Nie pamiętam, ale może jeśli się chwilę zastanowię, to uda mi się przypomnieć. Zdaje się, że już sobie przypominałem. Sztuka była zatytułowana, jeśli dobrze pamiętam, ale tego nie gwarantuję, „Brygada szlifierza Kozłowskiego”. Tak, na pewno tak. — No, widzicie, to już było o wiele bardziej przekonujące. Co oskarżony Srokosz mówił o niej? — Nie podobała mu się. — Dlaczegoż to? — Twierdził, że to



nie sztuka, a nieudolny zlepek prymitywnych hasel propagandowych. Jeszcze jedna rzecz, jaka mnie uderzyła. Powiedział mianowicie, że jeśli mimo to, że sztuka była taka zła, sala była nabita, to tylko dlatego, że nazganiali załogi z fabryk. — Rzeczywiście, ciekawe określenie „nazganiali”. Niech Wysoki Sąd zwróci uwagę, że sztuka mówi o wspólnym zrywie współzawodnictwa pracy w jednym z naszych zakładów produkcyjnych, o świadomej postawie robotników, którzy w warunkach ciągłego sabotażu i dywersji agentów zdradzieckiej klikki titowskiej, pracują nad odbudową warsztatu pracy. Już samo to określenie „nazganiali” w odniesieniu do uświadamiającej pracy naszego partyjnego aparatu propagandowego, czyż nie dobitnie świadczy o antypartyjnych poglądach oskarżonego Srokosza? Niech świadek mówi dalej. — Oskarżony Srokosz następnie długo rozwodził się na temat organizacji naszego upaństwowionego przemysłu. Uważał, że jest zła, nie sprzyja wzrostowi wydajności pracy i postępu technicznego, nie daje robotnikom bodźców do zainteresowania się wynikami produkcji. Co więcej, stawiał w związku z tym za przykład rozwiązanie tego problemu w Jugosławii. — Ciekawe. W Jugosławii? Proszę dalej. — W pewnej chwili oskarżony wyszedł z pokoju. Powróciwszy wręczył każdemu z nas odbitą na powielaczu broszurę zatytułowaną „Rady robotnicze wyrazem demokracji socjalistycznej”. — Czy to jest ta broszura? — Nie mogę z tego miejsca rozpoznać. Może obywatel prokurator zechce — Oczywiście. Czy teraz świadek ją rozpoznaje? — Owszem. Ta sama. — Wysoki Sądzie, proszę o zaliczenie tej broszury w poczet dowodów rzeczowych. Pozwolę sobie jednocześnie, Wysoki Sądzie, zreferować w kilku słowach jej treść. Mówi ona o radach robotniczych w Jugosławii. Jak wiadomo, rady te negują całkowicie kierowniczą rolę Partii w życiu ekonomicznym kraju. Zamiast świadomego kierownictwa procesem wytwórczym, zdradziecka klikka spod znaku Tity et consortes stawia na żywiołowy rozwój organizacji tak zwanego samorządu robotniczego, co równa się rezygnacji z przewodzenia klasie robotniczej budującej zreby socjalizmu na rzecz zaprzędania jej interesów imperialistycznej reakcji. Przy słabym jeszcze rozwoju świadomości klasowej mas pracujących, przy wzrastającym oporze resztek zbankrutowanych klas burżuazyjnych, przy coraz bardziej rozpaczliwych próbach zahamowania procesu socjalizacji w krajach demokracji ludowej przez imperialistów amerykańskich idących na

pasku degeneratów z Wall Street, w tych warunkach, powiadam, organizacje te, z natury rzeczy, muszą przejść w ręce świadomych wrogów socjalizmu, stając się tym samym narzędziem walki z ustrojem ludowym i dyktaturą proletariatu, która, zgodnie z nauką genialnego Stalina, jest jedynie słuszną formą sprawowania władzy przez klasę robotniczą w okresie budowania podstaw socjalizmu. Czy oskarżony Srokosz ujawnił źródło pochodzenia tego dokumentu? — Powiedział, że uzyskał go od jednego z członków Biura Politycznego. Nazwiska jednak nie wymienił. Oświadczył natomiast, że podobne poglądy są coraz bardziej popularne wśród wielu członków kierownictwa Partii i w tej sytuacji my, ze swej strony, powinniśmy się starać, aby je jak naj-szerzej rozpropagować w terenie. — Czy kto z obecnych przeciwstawił się tym dywersyjnym planom? — Nie. — Czy oskarżony, przepraszam was, Ostuda, ciągle mi się myli, czy świadek przeciwstawił im się? — Wyraziłem mniemanie, że jeżeli podobne poglądy istotnie znajdują tak duży oddźwięk wśród członków Komitetu Centralnego, należałoby przede wszystkim formalnie przedstawić je do dyskusji na najbliższym plenum. — Co na to oskarżony? — Oskarżony Srokosz tylko się zaśmiał i powiedział, że jestem naiwny, że jeśli w naszym kraju ma nastąpić jaka zmiana, nie należy jej się spodziewać po najwyższym kierownictwie partyjnym. Tu trzeba użyć innych metod. Następnie wtajemniczył nas w swój plan. Najważniejszą rolę miał w nim odegrać aparat bezpieczeństwa, stąd obecność na zebraniu towarzysza Kulwickiego, który już był wprowadzony w szczegóły całego zamierzenia. — Powoli, powoli, świadek mówi takimi skrótami, że trudno czasem się połapać. Czy świadek chce powiedzieć, że oskarżony Srokosz i jego grupa przygotowywali zamach stanu? — Tak, oczywiście. — Jaka była reakcja świadka na ujawnienie tego spisku? — Żadna. — Dlaczego? — Bałem się o swoje życie. — Czy świadek wyraził swą zgodę na współpracę w realizacji zamachu? — Owszem. Nie miałem innego wyboru, ale, rzecz jasna, nie miałem wcale zamiaru przykładać ręki do całego przedsięwzięcia, wprost przeciwnie, przy pierwszej nadarzającej się okazji byłem zdecydowany zameldować o nim odpowiednim władzom. — *Któregoś dnia, wiecie, próby się urwały. Zaszły podobno nowe okoliczności, które miały rzucić dodatkowe światło na działalność Srokosza i jego grupy w czasie wojny. Zrozumiałem w czym rzecz, kiedy kilka dni później przeczytałem w „Trybunie Ludu” artykuł*

o ludziach, „którzy w czasie partyzantki na ziemiach wschodnich pod pozorem walki z bandami ukraińskimi przeprowadzali masowe egzekucje na lojalnej ludności Związku Radzieckiego”. Dowiedziałem się, że Niecały był w tej sprawie kilkakrotnie indagowany, że jego zeznania obciążały nie tylko Srokosza, ale, dla mnie rzecz zupełnie niezrozumiała, również i moją osobę. To już nie była zabawa, chodziło o moje gardło. Gdybym mógł w jakiś sposób wpłynąć na Niecałego, może byłby gotowy, jeśli już nie odwołać zeznania, które mnie implikowały, to przynajmniej je złagodzić. Ostatecznie Srokosz był dowódcą oddziału, on planował te wszystkie akcje, po co mnie do tego wplątywać? Zresztą, tak czy owak Srokosz miał być skazany, więc po co szukać dwóch kozłów ofiarnych, jeden nie wystarczy? — *Stuchaj, Basiuła, dziecino moja, jestem w bardzo przykrew sytuacji. Nie pytaj o nic, nie mogę ci powiedzieć, niech ci wystarczy, że sprawa może wziąć bardzo zły dla mnie obrót. Pamiętaj Niecałego? On dzisiaj przyjeżdża do Najdrzyc na zebranie egzekutywy powiatowej. Niecały jest również w tę sprawę zamieszany, ale, że tak powiem, po drugiej stronie barykady. To są sprawy z dalekiej przeszłości, dawno się powinno było o nich zapomnieć, ale wiesz jak to jest, jak się chce psa uderzyć, kij zawsze się znajdzie. — I Niecały? — Właśnie. Może by go do nas zaprosić? Zrobilibyśmy małe przyjęcie. Może nawet znalazłoby się miejsce, żeby go u nas przenocować. Można by mu posłać w moim gabinecie. Czytałaś o aresztowaniu Srokosza z Komitetu Centralnego? Otóż teraz przygotowuje się jego proces. Niecały i ja mamy wystąpić jako świadkowie, ale sprawa jest niesłychanie śliska, ciągle się komplikuje, Niecały sypie kogo się da, aby tylko samego siebie przedstawić w jak najlepszym świetle. Jeszcze nic nie wiadomo, ktoś się uweźmie i mnie samego mogą posadzić na ławie oskarżonych. Bóg wie po co im to wszystko potrzebne, oni tam na górze żrą się między sobą i wciągają w te swoje własne rozgrywki całe zastępy niewinnych ludzi. Tak czy owak, sama rozumiesz czym to grozi. Ja, oczywiście, nie mogę powiedzieć Niecałemu „nie sypcie, towarzyszu, co wam zależy, żeby mnie wkopywać?”, bo oficjalnie przecież nic nie wiem o jego roli w tej imprezie, ale ty, taka czarująca kobieta, rozumiesz mnie, Basiuła? Wiem, że nie powinienem cię o to prosić, ale to jest sprawa gardłowa i ty mogłabyś, no wiesz o co mi chodzi. — Innymi słowy, chodzi ci o to, żebym mu się pozwoliła ze mną przespać, tak? — *Kto wy jesteś-**

*cie, inteligencki pięknoduch czy rewolucjonista? Podpisał-  
cie cyrograf, czy nie? Więc wiedzieliście jakie przyjmujecie  
na siebie konsekwencje i wy mi tu teraz nie pierdolcie o  
sumieniu, ja sram na wasze sumienie! Macie robić to, co  
jest waszym obowiązkiem jako członka Partii i koniec! —*  
Nie, Basiula, jabym tego tak nie stawiał. Przecież wiesz,  
że cię kocham i — Gadanie, kochasz, a rozporządzasz się  
mną, jakbym była twoją kurwą. Nawet nie masz odwagi te-  
go jasno i otwarcie powiedzieć. — *Czy istnieje takie zło,  
którego nie wahałobyście się popełnić, aby tylko osiągnąć  
swoje? Czy sądzisz, że po to w imię komunizmu cierpiełem  
przed wojną w więzieniach sanacyjnych, a w czasie wojny w  
łagrach radzieckich, żeby teraz podpisywać się pod tym  
wszystkim, co tu robicie? Ale już koniec. Moim nazwi-  
skiem już więcej sobie gęby wycierać nie będziecie. Już  
mnie nie będziecie ciągać po akademiach pierwszomajowych.  
Nie jestem kukłą przybraną w czerwony sztandar. Koniec!  
Żeby mój własny syn! Codziennie słucham radia, codzien-  
nie czytam sprawozdania z tego procesu, dzień po dniu  
śledzę jak piętrzycie jedno kłamstwo na drugim, jak budu-  
jecie tę monstrualną świątynię zła. Koniec! Dziś rano ode-  
ślałem moją legitymację partyjną do Komitetu Miejskiego  
wraz z pismem uzasadniającym moją decyzję. Nie wyobra-  
żasz sobie jaka to dla mnie ulga. Przez tyle lat czułem się  
jak bym się ciągle tarzał w rynsztoku. Dziś po raz pierwszy  
od długich lat czuję się znowu czysty. Wiem, że to co zro-  
biłem nie zwalnia mnie od moralnej odpowiedzialności za  
to, co już było, ale przynajmniej — Ojciec chyba zmysły  
postradał! Czy ojciec chce mnie do reszty zniszczyć? Prze-  
cież ojciec sobie chyba nie wyobraża, że pozwolę na to,  
że będę tolerował — Co możecie mi zrobić? Mam sześć-  
dziesiąt siedem lat, nie wiele mi już życia pozostało. — Już  
ja znajdę sposób na ojca, niech ojciec się nie łudzi. — *To-  
warzysz Niecały jeszcze na sali? — Zaraz będzie przerwa.  
Powinien lada chwila wyjść. — Poczekam. — Oczywiście  
mógłbym tam wejść, ale po co? Niecały siedzi za stołem  
prezydialnym, sterczeć mu tak cały czas przed oczami? za-  
raz zacznie kombinować po co, na co, lepiej poczekam, no  
już, rośnie mu brzuszek, kark mu zgrubiał, drugi podbró-  
dek wyrósł, pasie się to bydlę na Polsce Ludowej, kawał  
wieprza, obrasta sadłem i robi karierę, a drugim groby  
kopie, dla mnie też chciałby, ale niedoczekanie twoje, do-  
strzegł mnie, wielki kumpel! śmieje się, macha ręką, już  
ja ci pomacham, ty! — Karolku! Jakżeż się cieszę, że cię**

znowu widzę. Chodź, zjemy razem obiad, pogadamy. — Niestety nie mogę, Staszku, mam bardzo mało czasu, wyrwałem się z biura dosłownie na kilka minut. Na długo przyjechałeś? — W każdym razie zostanę do jutra, potem nie wiadomo. — A propos, gdzie nocujesz? — W Komitecie mają mi przygotować pokój gościnny. — Mam lepszą myśl. Zostaniesz na noc u nas, miejsca dużo, będziemy mieli kupę czasu, żeby pogwarzyć, Basiuła przygotowuje coś do zgrzyzenia, znajdzie się butelka czegoś mocniejszego, co ty na to? — Myśl mi odpowiada. — No to już, załatwione. O której przyjdiesz? — Sesja popołudniowa może się przeciągnąć do późnej nocy, wiesz, jak ci ludzie zaczną strzępić językami, ale postaram się wymknąć, no, powiedzmy gdzieś koło wpół do dziesiątej. — *Wyście jeszcze wszyscy w krótkich portkach chodzili jak ja już rewolucję robiłem. Wy się zapytajcie tu kogo chcecie, wszyscy mnie znają, kto tu dzielił majątki obszarnicze? Kto tu wytepił podziemie akowskie? Kto likwidował inicjatywę prywatną? Ja! Ja! ja! Czegóż to ja teraz nie rozumiem? Żeście rewolucję w pacht zdrajcom oddali?* — Wszystkie są jednakowe, nikt mi nie powie, co to? nie wiem jakie są? jeśli jaka jest przyzwoita, zresztą już w tym jest sprzeczność, kobieta nie może być przyzwoita, to tylko dlatego, że nie znalazła jeszcze okazji, aby pokazać swą prawdziwą naturę, ja je znam, mnie nikt nie powie, źródło wszystkiego cierpienia, żebyż to można było żyć bez tego świństwa między nogami, *Wysoki Sądzie, proszę o wymierzenie mi najwyższej kary, kastrację, idiota!* a kto wie, no, kto to wie, może rzeczywiście byłoby lżej żyć, człowiek miałby raz na zawsze spokój. — *Przez kilka lat, proszę was, chodziłem do gimnazjum, ojciec już siedział, zresztą nawet przedtem nigdy go nie było w domu, organizował strajki, ukrywał się, policja go ciągle szukała, ale mój stary nauczyciel był zdania, że jestem inteligentny, nie powinienem się marnować, więc matka zadłużyła się, wuj z Kielc od czasu do czasu przysłał trochę grosza, zresztą nauczyciel też pomógł, jednym słowem, jakoś mnie do tego gimnazjum w końcu wyprawili. Mieszkałem na stacji u niejakiej pani Podolskiej. To była wdowa, ale jeszcze młoda i ładna. Z okna mojego pokoju, proszę was, widać było duży ogród z jabłoniąmi, potem pole, po jego prawej stronie biegł druciany płot parku przyklasztornego. W klasztorze mieścił się szpital dla wariatów. Wieczorem, kiedy wszędzie już było cicho, cały krajobraz za oknem oddalał się, w nieskończoność rozciągała się pustka.* — *Mnie życie za*

*bardzo już zmęczyło, ludzie to właśnie najgorsza zaraza, nie mogę przejść obok drugiego człowieka bez tego, żebym go nie chciał od razu wymazać z powierzchni ziemi, tak mi dojedli.* — *Lubiłem siedzieć przy oknie, patrzeć i czekać. Właściwie nie lubiłem tego czekania, a raczej wiedziałem, że to nieładnie, że nie trzeba, ale to było przemożniejsze ode mnie. Na co czekałem? Pod wieczór wypuszczano tych wariatów na spacer do parku, tak na pół godziny, na trzy kwadranse. Potem wracali. Ale czasami się zdarzało, że któryś gdzieś się zawieruszył. Wówczas braciszkwowie zakonni przetrząsali cały park. Robili jakby obławę, bez psów, oczywiście, jak na jakie dzikie zwierzę, co uciekło z klatki. Rozlegały się nawoływania, potem, i to mnie właśnie tak fascynowało, wzbijał się w nocne niebo jeden wysoki rozpaczliwy krzyk. Znaleźli go! Przycupnął gdzieś w jakimś dole i ani rusz nie chciał się stamtąd dać zabrać. Trzeba go było na siłę wyciągać. Bronił się, uciekał, kluczył po parku, krzyczał, braciszkwowie za nim. Rzecz jasna, że w końcu go zawsze łapali. Może go bili? Nie wiem, w każdym razie kwiczał rozdzierająco jak świnia zarzynana w szlachtuzie. Wreszcie zawlekali go do środka i znowu zapadała cisza, a ja siedziałem przy oknie i drżałem z dziwnego przejęcia, ze strachu, z podniecenia, nie wiem co to było.* — *Chodź już na kolację, Karolku. Co robisz, matematykę? To nie na mój rozum. Mądryś ty, Karolku, daleko w życiu zajdziesz, już ja wiem, ale teraz chodź do kuchni. No, siadaj. Jest kwaśne mleko i gorące kartofle. Smakuje ci? — Smakuje.* — *No, widzisz, to dobrze, że ci smakuje, po to jest, żeby smakowało. Może jeszcze trochę kartofli? Jedz, jedz, wyrośnie z ciebie chłop na schwał. Już i tak duży z ciebie kawaler. Niedługo to pewnie i za dziewczętami już zaczniesz się rozglądać. Czego się rumienisz? Ludzka rzecz, krew nie woda, swoich praw się domaga, a co dopiero u takiego młodego żrebaka, jak ty! Już ty nie jednej dogodzisz, tylko przyjdzie twój czas. No, już przestań się czerwienić, bo jeszcze sobie pomyślę, że może ty wcale nie taki niewinny na jakiego wyglądasz. No, przyznaj się! A wiesz przynajmniej o czym mówię? Nie wiedziałby, też coś! — Na pewno dzisiaj znowu ten kolejarz do niej przyjdzie, jak oni to robią? — A czegoż to ci się jeszcze zachciało? Popatrzcież ludzie, co on to jeszcze nie wymyśli, zbereźnik jeden! — Matka prowadziła krowę do pokrycia, przy wrotach kazała mi się zatrzymać. — To nie na twoje młode oczy. — Drzwi od obory były niedomknięte, w pewnej chwili roz-*

warły się z trzaskiem, krowa wypadła na podwórze, za nią byk, mimo że gospodarz trzymał go na powrozie, ale co tam, nie utrzyma, taki byk silny, dopadł krowy, wspiął się na nią i wtedy, ale matka jak nie zacznie na mnie krzyżeć. — Idziesz ty stąd! Będziesz mi się na takie świństwa patrzeć! — „*Noc taka jest cudna, że szkoda jej zmarnować, usta twoje chciałbym całować, dziewczę, ach lube dziewczę, zgódź się, zgódź*”. Dzień dobry, Karolku. Jak się spało? — Przyjemnie pachnie i taka zadowolona i od rana śpiewa, ciekawym jak oni to, dlaczego mi się tak dziwnie przygląda? — Ile razy spojrzę na ciebie, zaraz cały stajesz w pąsach. Nie trzeba być taki nieśmiały, któż to widział! No, nie uciekaj przede mną wzrokiem! Ech, ty głuptasku, ty głuptasku! — *Ostuda! Co się z tobą dzisiaj dzieje? Zupełnie nie uważasz. Co taki wzrok zamglony, taki cały rozmarzony, he? A może kawaler już się zakochał i fiołki mu w głowie zamiast nauki? Zakochał się? Popatrzcie, koledzy, jakich to wypieków kawaler dostał! Może nam kawaler odstoni rąbka swej tajemnicy i zdradzi nam, któż to jest przedmiotem tych westchnień?* — A Felka od Bocianowskich to od tego zwariowała, miała dwanaście lat jak jej ktoś to zrobił, zwariowała, pasła krowy na wygonie i ktoś ją z nienacka i coś jej się w mózgu pomieszało, fiut! pokręciło! potem wołali za nią „Felka Dajdupy”, stawała na środku drogi, patrzała przed siebie, ale chyba nic nie widziała, tak dziwnie patrzała, a jak ktoś do niej przemówił, to się kurczyła i cofała tyłem i tak jakoś kwiliła i uciekała i tak jakoś kwiliła, położę się już spać, siusiać mi się chce, pójde się wysiusiać, ktoś jest w łazience, nie, a przecież drzwi uchylone i światło, może zapomniała zgasić? o rany! naga! co ona robi? dobrze, że mnie nie posłyszała, przecież boso, to nie mogła, co ona tam? ojej! myje sobie, ale duże, jak śmiesznie się kołyszą, to one tam takie włosy mają, i tak się uśmiecha do lustra, a jeśli mnie posłyszała? spojrzę ku mnie, może deska skrzypnęła? najlepiej się nie ruszać, jak wodę spuści z umywalki, to wtedy, na mnie patrzy i śmieje się, musiała mnie, nie mogła — Karolku, to ty tam? — Powoli, tylko powoli, o rany! żeby tylko deska znowu, nie mogła mnie tam zobaczyć, ciemno było, ale mogła usłyszeć, tak mi serce bije, ale dlaczego się śmiała? to Oleńka też tam te włosy — *Co chcesz powiedzieć, synku?* — *Ja proszę księdza, ja, proszę księdza* — *Ile już masz lat, synku?* — *Czternaście, proszę księdza.* — *A czy, no wiesz, czy ty już, no wiesz, czy już bawisz się z sobą?* —



*Bawię się, proszę księdza. — Często, synku? — Często, proszę księdza. — Jak często? — Bardzo często, proszę księdza. — Raz w tygodniu? — Więcej, proszę księdza. — Dwa razy w tygodniu? — Więcej, proszę księdza. — Raz na dzień? — Czasem to i więcej niż raz, proszę księdza. — Ach, synku! Strzeż się grzechu nieczystości! Synku, bramy piekła zawsze stoją otworem dla tych, co oddają się grzechowi nieczystości. Szatan, synku, gdy Boga chce obrazić, to człowiekowi na myśl naprowadza różne nieczyste rzeczy i skłania go do robienia różnych obrzydliwości. Trzeba się modlić, synku, żarliwą modlitwą zwalczać pokusę, nie dopuścić, żeby nami zawiądnęła, bo to straszna obraza Boga naszego ukochanego i bramy piekielne, straszliwe męczarnie piekielne czekają tych, co grzechem nieczystości znieważają ciało przez Boga przecież nam dane ku Jego chwale i naszemu wiecznemu zbawieniu. — „DOKTORZY: ŻURAKOWSKI, ŻURAKOWSKA — RATAJ, SPECJALNOŚCI: SEKSUALNYCH, MOCZO-PŁCIOWYCH, SKÓRNYCH, WŁOSÓW. KRUCZA 47a (PRZY JEROLIMSKICH) GODZ. 13-14 i 17-19”.* — *Pobaw się, tylko nie gryź! No, widzisz, przyjemnie ci? Nie bój się, ty dzieciuchu, zobaczysz jak będzie przyjemnie. — Nie chcę i niech pani stąd wyjdzie! Nie chcę! — Dlaczego się śmieje ze mnie? niech zasłoni sobie piersi, po co tu przyszła? wcale nie chcę, żeby, to ona tak z tym kolejarzem, Ojczy Nasz, który jesteś w niebie, gdzie ona mi rękę? i nie wódz nas na pokuszenie, gdyby Oleńka zamiast niej, i nie wódz nas na pokuszenie, niech tę rękę, i nie wódz nas na pokuszenie, a jak ten byk wyleciał z obory i wspiął się na nią, i nie wódz nas na pokuszenie, ale jak to się robi? ale nas zbaw ode złego, co się będziesz na takie świniństwa patrzył, a Felka zidiociąła, ale nas zbaw ode złego, ona się śmieje, i nie wódz nas na pokuszenie — Niech pani przestanie! Niech pani przestanie! — Ach, ty głuptasku, Karolku! Ach, ty głuptasku! — Pozwólcie mi się wypowiedzieć, towarzyszu Hibisz. Dlaczego nie pozwolicie mi się wypowiedzieć? Zażrzyjcie do akt, zobaczycie jak ja niechętnie dałem się wciągnąć w tę sprawę. Broniełem się na wszelkie sposoby, ale — No, nie przesadzajmy, towarzyszu Ostuda, nie przesadzajmy. — Wzywali mnie do KC, przyjeżdżali do Najdrzyc, tłumaczyli, grozili! A jakże! Grozili! Uległem, nie miałem innej alternatywy. Co miałem robić? Żeby mnie samego wsadzili? Rozumiem, Partia żąda. Dobrze. Partia ma prawo żądać. Ale bądźmy w tym wszystkim konsek-*



wentni. Niechżeż teraz Partia nie obciąża mnie odpowiedzialnością za to, co się stało. Zresztą, praktycznie rzecz biorąc, zamknęliście towarzysza Niecałego, czy to wam nie wystarczy? — Towarzysz Niecały siedzi za inne sprawy. Wiecie co, towarzyszu Ostuda? Niedawno jeden z naszych towarzyszy wyraził się tu o was, żeście stanęli w miejscu, i zdaje się, że miał rację. Czy nie potraficie zrozumieć, żeśmy wkroczyli w nowy okres historyczny? Mamy już za sobą kult jednostki. Ale mało powiedzieć mamy go za sobą, mało go oficjalnie potępić, trzeba jeszcze społeczeństwu pokazać naocznie, że naprawdę odcieśliśmy się od tego, co było przedtem. Co to znaczy? To znaczy, że trzeba tych, którzy są odpowiedzialni wystawić pod pręgierz opinii publicznej. Ale nie bądźmy znowu dziećmi, nie wyobrażacie sobie chyba, że postawimy w stan oskarżenia, no, powiedzmy, członków Biura Politycznego. Winni, winni, ja wiem, wszyscy są winni, ale co z tego? Czy to znaczy, że mamy się zrzec władzy? Prawda, jaka to trudna sprawa? No, ale trudna, nie trudna, jakoś nam się trzeba z nią uporać. Musimy tak postępować, żebyśmy, nie dyskredytując kierownictwa partyjnego, mogli powiedzieć klasie robotniczej: oto zrzuciliśmy z siebie brud minionego okresu. Co to znaczy brud minionego okresu? Co to znaczy nie dla nas, dla tych co kierują, ale dla prostego robociarza, dla prostego chłopca? To znaczy metody fizycznego i psychicznego terroru, jakie dotychczas stosowaliśmy w pracy Urzędu Bezpieczeństwa. Powiecie, że bez tego rewolucja się rozleci. Już nie dziś. Zresztą, znowu nie bądźmy naiwni, likwidacja Urzędu Bezpieczeństwa wcale nie jest jednoznaczna z rezygnacją z rewolucyjnych metod działania. A poza tym do otwartego terroru, jeśli zajdzie potrzeba, zawsze można wrócić. Kto nam zabroni? Przecież my mamy władzę. Nas nikt nie kontroluje. Kwestia taktyki. No więc dobrze, zrzucić brud, ale jak to zrobić? Trzeba nam ruszyć w teren, do wsi, do miasteczek, właśnie tam ludzie muszą się przekonać, że sprawiedliwości stało się zadość. Co komu po tym, że odsunęliśmy Radkiewicza od świecznika? W takich Najdrzyczach, Mławie, czy Tarnowskich Górach ludziom nie o Radkiewicza idzie, nie on im włożył za skórę, ale o jakiegoś tam, powiedzmy, tak przykładowo, Ostudę, Ziembę czy Szczygłowskiego, Kurakiewicza czy jakiegoś innego Smółkowskiego, których codziennie przez tyle lat mijali na ulicy i na widok których zapewne jeszcze i dziś, że tak powiem, strach zimną kluską podchodzi im pod gardło. Czy

to tak trudno zrozumieć? — *No tak, jemu łatwo gadać, jemu nic nie grozi, zresztą, po co ja się tak męczę, po co się babrzę w własnych bebechach? przyjadę, porozmawiam, dowiem się konkretnie o co chodzi, ja tak zawsze, nawet strach na wyrost.* „TYM CO NAS ŁĄCZY JEST DĄŻENIE DO ROZUMNEGO UKSZTAŁTOWANIA ŻYCIA SPOŁECZNEGO I OSOBISTEGO, POWIEDZIAŁ W REFERACIE PROGRAMOWYM DR A. NOWICKI, PREZES TYMCZASOWEGO ZARZĄDU OGÓLNOPOLSKIEGO STOW. ATEISTÓW I WOLNOMYŚLICIELI NA PIERWSZYM KRAJOWYM ZJEŹDZIE, KTÓRY W DNIACH 9 I 10 BM. ODBYWA SIĘ W BYDGOSZCZY”.

*Spadziło tutaj, najgorzej zimą, w zeszłym roku, co to była za gołoleź! gdzieś w tym miejscu się pośliznąłem, potem przez trzy tygodnie miałem sińce na lewym biodrze, gdzież to było? tu gdzieś, człowiekowi już pamięć zaczyna zanikać, czy co, chyba przy tym kamieniu narożnym, myślałem, że się już nie podniosę, dobrze że głową nie wyrzynałem w mur, mogłem się zabić, zresztą, kto by mnie tam żałował? Basiula? jednej łzy by nie uroniła, już ja potrafię sobie wyobrazić, suka, kurwa apokaliptyczna! — Już ty mnie kurwą nie nazywaj, masz najmniej prawa po temu! Sam chciałeś, żebym się z nim przespała, nie po to wyszedłeś z domu? A po co? Żebym z nim słuchała Dziewiątej Symfonii? Pamiętasz jak było z majorem Dawidowem? Zawsze, jak tylko znalazłeś się w jakichś trudnościach, mną się wyreżcałeś. A teraz gromy by na mnie ciskał! Całą karierę zbudowałeś na mojej dupie! — Pójdę na dworzec, wrócę za dwie godziny, będzie po wszystkim, Niecały, skurwysyn, zaciera ręce, przespał się z moją żoną, no, mój drogi, jabym jeszcze ich tak nie zacierał, to jednak do czegoś zobowiązuje, taka ofiara z mojej strony, a jakże! pewnie że ofiara! myślisz, że ją ci dałem tak z grzeczności? z gościnności? nie, kochasiu, to jest handlowa transakcja, ja daję towar, ty płacisz, jak? pytają się o mnie, nic nie wiesz, a przede wszystkim nie kłamać! nie zmyślać niczego! zrozumiano? po co on mnie sypie? nie rozumiem, czy ja mu mogę w jaki sposób zaszkodzić? w paradę mu nigdy nie włożyłem, robi karierę? niech robi, daj mu Panie Boże powodzenia, ani mnie to ziębi, ani, do Warszawy się nie pcham, do papierkowej roboty? to nie dla mnie. Brzask, za godzinę chyba będziemy w Warszawie, gdzie się podziata gazeta? niech leży, zmrużę oczy, może się trochę zdrzemnę, Oleńka też była taka sama, wszystkie na tę samą*

modłę skrojone, a tak płakała przede mną: dlaczego mnie unikasz? dlaczego udajesz, że mnie nie widzisz? czy zasłużyłam na takie traktowanie? korepetycje u niego brała! ta ich potworna obłuda, łyż zawsze na zawołanie, czy zasłużyłam na takie traktowanie? a na jakie? pozwalać im na wszystko? tak, tego właśnie by chciały, żeby oczy przymknąć, żeby się nigdy nie poskarżyć, tylko co człowiek powie, zaraz: nie kochasz mnie! *To w tej kamienicy? tak, chyba tu, brzydka kamienica, co mu powiem, jeśli mnie zapyta dlaczego po tę lekturę nie przyszedłem wczoraj?* zupełnie zapomniałem, panie profesorze, zresztą dopiero na drugi tydzień potrzebna, niech się piekli, zapomniałem, wielkie mi rzeczy! stęchlizną tu czuć, mieszkania osiem, wysoko mieszka, stęchlizną i kapustą kiszoną, poręcz się chwiej, czy tu nigdy nie zapalają światła? ładnie ktoś gra na pianinie, wstrętny ten zapach, okna też pozamykane, żadnego przewiewu, o! podwórze, taka studnia, *dudni woda, dudni, w cembrowanej studni*, gdyby człowiek wypadł, dziewczynka! ale ma dużo lalek! a jaka to zaaferowana, jaka zajęta! coś się stało! drzwi! pewno jej babcia, a jak ta mała się śmieje, jak nóżkami fika! *Albo takie zdarzenie: rzeka szeleściła w dole, od strony wsi dobiegały rozrzedzone odgłosy dzieciarni, gdzieś pod lasem barczykowskim porykiwały krowy.* Byłem sam, zupełnie sam, samiuteńki na świecie, chyba najszcześniejsza chwila w moim życiu jaką kiedykolwiek pamiętam. Leżałem w trawie, oczy miałem wtopione w niebo, nad głową przesuwwały się chmury coraz to przybierając jakieś nowe fantastyczne kształty. Było mi smutno, smutno, ale jakoś i dobrze. Zamknąłem oczy, wszystko odplynęło jeszcze dalej, zgubiło się gdzieś, przestało istnieć. To było szczęście. Właśnie, przestać istnieć, po prostu wyszczyć się z siebie w jakąś ciepłą pustkę. Potem nagle ten straszny ból, to straszne obudzenie się. Stary Wójcicki tak cicho podszedł, że nawet nie usłyszałem jak stanął nade mną, i jak mnie batem, proszę was, zacznie bić po nogach, po piersiach, po twarzy, gdzie się dało, myślałem, że z bólu oszaleję, ale nie z tego fizycznego, rozumiecie mnie? A on bił i bił i piana wylała mu na usta, taki był wściekły, i tylko tym batem mnie ciągle, o Jezu! myślałem, że ze skóry wyskoczę! Skuliłem się, rękami zasłoniłem sobie twarz, ale co tam, rąbał mnie jakby nim jakiś szatan zawładnął i kłął i krzyczał — Ja ci dam, ty taki owaki, będziesz tu spał, ty taki owaki, a krowa, ty taki owaki, w mojej koniczynie, ty taki owaki! — Dopiero wtedy

wpadło mi do głowy o co mu szło. Zerwałem się na równe nogi, to on po nogach, lecę, to on za mną i tym batem, i tymi przekleństwami, aż powietrze wiło się od tej nie-nawiści, złości, tych plugastw, i zamieniło się w milion kłających żmij, a on nic, tylko bił, tak mnie bił, że, Matko Przenajświętsza, tak mnie bił, że już myślałem, że mi serce pęknie i padnę trupem na tę jego taką owaką koniczynę. — *Tutaj, numer osiem, dzwonek nie działa? jeszcze raz, też nic, widocznie zepsuty, ale tam w środku ktoś jest, radio gra, zapukać? też bez sensu, mówi się trudno, jeśli mnie jutro spyta, powiem, byłem, ale nie mogłem się dodzwonić, ani dopukać, oczywiście gdyby drzwi nie były zamknięte na klucz, ale na pewno są, nawet nie ma co próbować, a nie! wcale nie na klucz! wejść? ciemnawo, tylko tamte drzwi, ale przy tej muzyce nawet nie usłyszy jak zapukam, co? nie sam? jeszcze tam ktoś jest? przecież to, ten śmiech, ale niemożliwe, wczoraj miała korepetycje, tak się śmieje jakby ją łaskotał, co on tam z nią? nie, co oni? co ona mu tak okrakiem na kolanach siedzi? cholera! przecież on ją, przecież oni się! aż mu oczy na wierzch wyłażą, już teraz wiem, więc to tak, więc to tak. Oczywiście już przedtem się domyślałem, że to tak się odbywa, ale dopiero zobaczyć to na własne oczy! i to Oleńka! uwielbiałem ją, nie ma innego słowa, na myśl by mi nie przyszło, żeby ona, ile wtedy miała lat? trzynaście? czternaście? widocznie one już tak się rodzą, od początku tkwi to w nich jak rak, czy jakiś inny złośliwy nowotwór, zawsze gotowe do tego, wszystko jedno z kim, wszystko jedno gdzie, Basiuła też gdy była w jej wieku, na pewno, co za idiota ze mnie! że się też wcześniej nie pokapowałem! przecież niejednokrotnie, potem dopiero na to wpadłem, dawała mi do zrozumienia, że jeżeli tylko chcę, aż piszczała, żeby ją, wtedy gdy wylegiwaliśmy się na trawie za cmentarzem, rozpięta sobie bluzkę i tak się położyła, że prawa pierś spoczęła na mojej dłoni, a ja, mnie jakby sparzyło, wyszarpnąłem szybko rękę, poczułem, że się czerwieni, ona wtedy w śmiech, śmiała się takim samym bezwstydnym wyuzdanym chichotem jak później u Skarżyńskiego, tylko on nie frajer, nie tak jak ja, zawsze w takich wypadkach byłem niezguła, przecież się kobiet nie boję, więc co ze mną jest? — *A raz, proszę księdza, aż się boję to wyznać, to nawet w kościele na nieszpórach* — Ja się nie prosiłem o to, żeby przyjść na ten zapługawiony świat! jeśli jest stwórca, to powinien mnie błogosławić, że za niego całą tę brudną robotę wy-*

konuję, ja bym to wszystko siarką, jakąś jedną gigantyczną bombą i niech leci w kosmos, ale i to prawdopodobnie by nie wystarczyło, bo ile jeszcze takich światów może być, trzeba by być bogiem, żeby to wszystko zło, kurwa, bezpowrotnie zniszczyć. *Łazi po całym mieszkaniu jak by sobie nigdzie miejsca znaleźć nie mogła, czeka na swego kolejarza, jasne, dlatego* tak ją roznosi, dawno go nie było, może dwa tygodnie, może dłużej, nie pamiętam, a przy kolacji musiała coś zauważyć, co się tak dziwnie na mnie patrzysz? jak bym ja już nie wiedział wszystkiego, jak bym ja nie widział jak oni się, na krzesła ją, czy ona też z tym kolejarzem na krzesła? chyba nie, łóżko tam zawsze tak trzeszczy, jak by za chwilę miało się zawalić — *A czegoż to jeszcze ci się zachciało? Popatrzcież, ludzie, co on to jeszcze nie wymyśli, zboreźnik jeden!* — Co oni wtedy? jak tu przyszła i wsunęła mi rękę pod kołdrę, to chciała, żebym, żebym ja ją, no a po co przyszła? a Oleńka wtedy po co bluzkę rozpięła? korepetycje! już ja teraz wiem, jak te korepetycje wyglądają! dyszał, sapał, a potem tak nim targnęło kilka razy, nie trzeba było z nią zrywać, jemu daje, dla czego i mnie miałyby nie dać? trzeba było wtedy za cmentarzem, spaskudziłem sprawę, tak się nie pokapować, teraz za późno. — *Ach, ty głuptasku, Karolku! Ty głuptasku!* — A może, jak ona tu przyszła, to nie trzeba było tak się, no to co, że starsza, ale ładna, widziałem tam w łazience, czy ona mnie wtedy zauważyła? zresztą, nawet jeśli zauważyła, to co? położyła się wreszcie spać, to już dziś do mnie nie przyjdzie, poczytam trochę, potem zgaszę światło, tego wariata znowu dziś szukali, ryczał jak by go zarzynali, czy to zawsze jeden i ten sam? nie zasnęła? wstaje? idzie do drzwi, otworzyła, stoi tam i na pewno patrzy w moją stronę, dobrze, że nie zgasilem jeszcze światła, idzie, lepiej jak teraz zdejmę piżamę, zatrzymała się pod drzwiami, aż tu słychać jak oddycha, nareszcie! zapach taki przyjemny, dla czego ma taki dziwny uśmiech? co ona? szlafrok zrzuca. — Teraz się możesz napatrzeć na mnie do syta, nie tak, jak tam wtedy w korytarzu. Podobam ci się? No to zrób mi miejsce obok siebie. — *Lubiła ten sport, Podolska, jak jej było na imię? całą noc przy mnie została, Krysia? a wprawę jaką miała! chyba z piętnaście razy myśmy się wtedy, co ona tam w środku miała? rozpalony piec? Krysia? Kazia? piętnaście, nie liczyłem, ale co tu dużo gadać, to był mój życiowy rekord, potem już nigdy, ani z nią, ani z żadną inną, nawet z Basiulą, chociaż z Basiulą też, ow-*

szem, ta pierwsza noc, inna rzecz, że jak człowiek starszy, to ilość, nie, to nie jest prawda, chyba jednak Krysia, tak, na pewno Krysia, czego ona mnie wtedy nie nauczyła! i tak i owak, na myśl by mi nigdy nie było przyszło, że tak można, żadnego wstydu, pruderii, to mi się podoba, świadoma rzeczy, wiedziała czego chciała i jak się do tego wziąć, żadnego tego lipnego romantyzmu, tak najlepiej, a rano wylazła z łóżka i uderzyła mnie lekko jednym palcem po twarzy i powiedziała — No, widzisz, ty głuptasku, nie mogłeś się wcześniej domyśleć? — *Co to jest przydawka i jakiego rodzaju przydawki dotychczas poznaliśmy? Powie nam — teraz będzie ślinił palce, przewracał kartki w notesie, oczyma strzelał po klasie, bawi się nami jak kot z myszką, taką mu to sadystyczną przyjemność sprawia. — Już mam! Powie nam Ostuda! — Przydawka jest to, przydawka jest to — On wtedy z Oleńką, taki stary przyk, tymi swoimi wstrętnymi łapami trzymał ją za biodra, co by się stało gdybym teraz powiedział na głos — Wiem co pan profesor robi w czasie korepetycji z Oleńką Pietrzykowską! — Natychmiastowy zawał serca, trup w klasie, co za sytuacja! potem dochodzenia, byłaby heca, całe miasto huczy, dzień pogrzebu wolny od nauki, spuszczają trumnę do grobu, a ja stoję trochę z boku, patrzę po tych zapłakanych twarzach i w skrytości ducha chichotam do siebie drwiąco, w *mogile ciemnej śpij na wieki*. — No, przydawka jest to, co? Co to jest przydawka? — Zdenerwował się, zaraz zejdzie z katedry, przyjdzie usiąść na moim pulpicie, jakie ma mokre oczy, tak by splunąć w tę obleśną twarz, po tym wszystkim jeszcze ma czelność uśmiechać się do mnie! zetnie mnie, jasne. — Wydaje mi się, proszę kolegów, że od pana Ostudy nie dowiemy się dzisiaj nic ciekawego. A szkoda, chętnie byśmy posłuchali, prawda, koledzy? — Nie rozumiem, jak ona może, takie próchno, kark czerwony, gruby, ślady po jakichś tam czyrakach, przecież nawet czegoś takiego się tylko dotknąć, nie, obrzydliwość zdejmuje na samą myśl, i z gęby mu cuchnie, jak mogła, tak na nią tą zgnilizną zawiewał. — Co ty robisz, Ostuda, poza szkołą, że zawsze przychodzisz nieprzygotowany na lekcje? A może ty już za dziewczynkami się uganiasz, co? he? — Ma brudne zęby, parska śliną, ofiarę sobie znalazł, a klasa mu wtóruje, prawiczki! — No, panie Ostuda, mnie jest bardzo przykro, po prostu serce boli, ale nie mam innego wyjścia, będę musiał tę dwójkę jednak postawić, klasa poświadczy, że sprawiedliwie. — Panie profesorze! — A,*

koledzy słyszeli? Pan Ostuda się odezwał! Słuchamy, słuchamy! Spokój, koledzy, niech pan Ostuda mówi! Nic? To my jednak tę dwóję postawimy. Weźmiemy do ręki czerwony ołówek, już wzięliśmy, o, właśnie, i tu sobie zapiszemy, o, już! Bardzo niedobrze, Ostuda! Tych dwój już tu się sporo nazbierało, a koniec roku blisko. Co ja z tobą zrobię na świadectwie? Może masz jakieś propozycje? Żadnych? Trzeba będzie się pożegnać z gimnazjum, wrócić do krów. Tak już, widać, musi być. Pan Bóg nierówno ludziom rozum porozdawał, trudno do ciebie mieć o cokolwiek pretensje, zresztą pastuch też człowiek, prawda, koledzy? Widzisz, koledzy poświadczyli. — *Poczekaj! poczekaj! teraz jest duża przerwa, tylko wyjdiesz na boisko, zaraz ja ci tu, jest! ręce założone do tyłu*, ten głupekowaty uśmiech przyklejony do twarzy, stary pryk, próchno takie, z młodą dziewczyną, śmiechu warte, stary cap, kiedyś go jeszcze szlag trafił, gdy to będzie z nią robił. — No, co jest, Ostuda? Stoisz tu, jakbyś się w słup soli obrócił. Smutno ci z powodu tej dwój? Sam rozumiesz, nie mogłem inaczej, ani jednego słowa nie potrafiłem z siebie wybąkać. Ale się nie martw, tyłu ludzi nigdy do gimnazjum nie chodziło i jakoś sobie w życiu radzą. — A ja panu profesorowi mówię, że pan profesor mi dwój na świadectwie nie postawi, bo ja wiem co pan profesor robi z Oleńką Pietrzykowską, gdy ona przychodzi do pana profesora na korepetycje. — Co ty? Co ty? Jak śmiesz? Co to ma znaczyć? — Dobrze trafiłem, rozgląda się, boi, żeby kto nie posłyszał, zdejmuje okulary, chustką je, musi się zastanowić, opanować się, zastanawiaj się, ile ci się żywnie podoba, stary capie, okulary mu spadły, nie podniosę, niech sobie sam — Jak śmiesz takie rzeczy? — Jeśli mi pan profesor wsadzi dwóję, wszystko powiem panu dyrektorowi. — Ale go uderzyłem, skurwysyna, ale go uderzyłem! ale znalazłem na niego pałkę! ale! *Któraż to już będzie? trzecia? czwarta? nieistotne, czym później wrócę do domu, tym lepiej, tu pustki na stacji, wieje wiatr, szyby dzwonią, pójdę do bufetu, kilku ludzi, czekają na ranny pociąg, teczki, jakieś zawiniątka.* — Proszę o butelkę piwa. — Poznali mnie, rozmowa się urwała, zawsze tak jest, tylko gdzieś wejść, zaraz jakby makiem posiał, po co przyszedłem? po kogo? zaraz oczy rozlatują im się niespokojnie, kto najbliżej drzwi, czmycha niepostrzeżenie, a jeśli drzwi z drugiej strony obsadzone? głupi ten naród, zawsze myśli, że mądrzejszy od człowieka, że gdzieś tam przez jakąś szczelinę, boją się mnie, nawet



dziś, jak już strach raz się załęgnie w kimś, to, dobrze, tak ma być, obywatel musi znać mores dla Władzy Ludowej. — Dziękuję. — Ona też jakaś nieswoja, oczy spłoszone, pamięta, niejednego aresztowało się przy tym właśnie bufecie, może to ta sama, która tu wtedy, spokojnie, królowo, dziś nie będzie żadnej draki, ja tu prywatnie, uśmiecha się, co innego ma robić, jak ja do niej szczerzę zęby, niech by się nie uśmiechnęła! w każdym razie tak źle jeszcze z mną nie jest, żeby sobie można było na mnie bimbać, wszystkie oczy na pewno wbite w moje plecy, a może się odwrócić, potoczyć po nich moim władczym wzrokiem a potem podejść do któregoś i zapytać o nazwisko, nic więcej, niech tylko powie nazwisko, jak wasze nazwisko, obywatelu? pozwólcie dowód osobisty, i zobaczyć jak topnieje przede mną, jak mu kolano zaczyna się trząść, nie, będę się znęcał nad ludźmi? — Dobranoc. — Tylko drzwi za sobą zamknąłem, natychmiast każdemu mowa przywrócona, dopóki jeszcze mają przede mną pietra, dopóty można jeszcze żyć, dopiero gdy zaczną sobie w oczy z człowieka kpić, ale do tego nigdy nie dojdzie, ładny ten skwer, powinni tu ławki postawić, nie, niech już lepiej chleją przy bufecie, za mało wypilem, czy Basiuła się zorientowała, że ja wcale nie taki pijany, jak udawałem? ale teatr im odstawiłem! nie dojdzie, bo to przecież byłoby przekreśleniem wszystkiego, cośmy dotychczas, zresztą, czy to co kiedy wiadomo? pójdę przez Plac Kasprzaka, ani jednego milicjanta, co ta swołocz robi nocami? chleją po bramach, skurwysyny, w Komitecie Powiatowym jeszcze się świeci, noc, czarna posępna noc, miasto śpi, cisza nad domami, a Partia pracuje, Partia czuwa! jest w tym wszystkim jednak jakiś olbrzymi patos, nowy świat! *budujemy nowy dom, jeszcze jeden nowy dom*, miliony ludzi w marszu! raz dwa! raz dwa! od Łaby het po Pacyfik! jednym krokiem, w karnych szeregach, czy jest coś, co może nam się oprzeć? dreszcz przebiega po plecach, my! burzymy stary świat, na jego gruzach budujemy nowy, gigantyczna operacja chirurgiczna, największa w historii, w straszliwych bólach rodzi się nowa era, jak śmia nam zarzucać, że nasze ręce są umazane krwią? o mnie mówią, zachłystując się nienawiścią zawiedzionych impotentów, że własnymi rękami wieszam więźniów na rzeźnickich hakach, prawda! i będę wiesział, dopóki nie wytępiamy wszystkiego zła, dopóki nie stworzymy gruntu urodzajnego, z którego wyrastać będą istoty czyste, nie tknięte piętnem przesądu i niesprawiedliwości,



a ja! a ja! jam jest Jan Chrzciciel Świętej Rewolucji! jam jest ten, który pożogą, powodzią i mordem gotuje drogę królestwu ziemskiemu, *zaprawdę, zaprawdę powiadam wam*, w moim umyśle kształtuje się wspaniały obraz przyszłości, *zaprawdę, zaprawdę powiadam wam*, gmach wzbijający się pod same niebiosa, z którego szczytu ręką uzbrojoną w rzeźnicki nóż osobiście poderżnę gardło samemu Bogu, potem mu utnę ten jego dumny łeb, zetnę z ust raz na zawsze jego wyniosły pogardliwy uśmiech, a zezwłok rzucę w dół w czeluście piekielne, gdzie jego prawowite miejsce. — *Sam się bawiłeś, czy wspólnie z kimś drugim? Ile razy? Ile razy na tydzień? Ile razy na dzień? O, nieszczęsny grzeszniku, czyż nie wiesz, że bramy piekielne stoją zawsze otworem dla tych, co się nurzają w błocie grzechu nieczystości? W siarce palić się będziesz, w gotującej smole nurzać się będziesz! Serce twoje uschnie, zwiędnie z żalu, że już nigdy, nigdy, czy rozumiesz to słowo straszliwe? nigdy już Boga na własne oczy oglądać nie będziesz!* — Ja wam dam bramy piekielne! ja wam dam siarkę! smołę! nie będę oglądał! ja mu łeb jego dumny utnę, niech zapłacze nad sobą, nie nad nami, że ten ohydny świat stworzył, że człowieka ulepił na kształt i podobieństwo, ten arcyzbrodniarz, ten, ten. *W gabinecie ciemno, cicho, może już śpią, zapłaci mi za to, spleceni uściskiem rąk i nóg, nasyceni sobą, ofiara, jaką chętnie składam na ołtarzu rewolucji, kurwa jego mać, u mamy się jeszcze pali, dlaczego nie kładzie się spać? co tam mamrocze? we śnie? płacze? ejże? trzeba zobaczyć, to stara wariatka, tak krzyżem leżeć na podłodze. — Co mama robi? Co to za wygłupianie się? Czy mama wie, która godzina? — Ale łypnęła na mnie, Chryste Panie! jak ta jedza mnie nienawidzi, teraz mi dopiero cyrk tu urządzi, no, wal! wal tą głową w podłogę! opętało ją, nic, tylko ją opętało, oto do czego prowadzi zacietrzewienie religijne, stara bigotka! — O Matko Boska! O Słodkie Serce Jezusa! Przebacz jej grzesznej! Sama na siebie niech wezmę jej grzechy, ale tego piekielnika strać w ogniu wiekuistym! — Co tam mama bajdurzy? I co to w ogóle ma znaczyć takie to leżenie krzyżem na podłodze o tej porze nocy? — Nawet nie wymawiaj tego słowa! Nie waż się! — Niech mama już wstanie i skończy z tymi głupstwami. Wstaje mama, czy nie? — Nie dotykaj mnie, ty zarazo bezbożna! — Bzdury mama plecie. Czy nie lepiej się położyć spać? — Jeszcze cię kara boska za to nie minie. Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy! Sodoma i Gomora w*

domu! Sama widziałam, tam na tapczanie, serce mi się krajało, takiej zgryzoty, takiego zgorzenia doczekać się na starość! Córka wyrodna! Bodaj się nigdy nie była urodziła! Bodaj mi w łonie była zdechła! O Matko Boska! O Jezu Przenajświętszy! Wszystko, bo za tego diabła wyszła! I to dziecko teraz, to słodkie niewinne dziecko, bez Boga, bez chrztu, kara boska was za to spotka! Dopóki jeszcze żyję, to i nauczę przeżegnać się i modlitwę zmówić, ale jak mnie nie starczy? — Mama nie pamięta, że zabroniłem uczyć go tych zabobonów? — Nie waż mi się tak mówić! Zabobony! Boga w sercu nie masz, córkę mi skurwiłeś, jeszcze dziecko chciałbyś diabłu oddać! Nie uda ci się! Sama chyłkiem do księdza zaniosę, niech ochrzci, żeby Bóg łaskawym okiem wejrzał na niego i w przyszłości nie karał za zbrodnie ojca i grzechy matki. A nad tobą niech nie ma litości! Przeklęty ty! Lucyfer! — Ależ mama majaczy! I jak nudnie! Koniec tej zabawy, teraz mama pójdzie spać, jazda! — Nie rozkazuj mi, ty Belzebubie! — Jeśli mama się w tej chwili nie uspokoi, to przysięgam, że dam po buzi. Daję mamie pięć minut, za pięć minut w łóżku, czy mama rozumie? Bo ze mną żartów nie ma! — *Czyba już niedługo Warszawa, ludzie już wychodzą na korytarz, po co? by przez następne pięć minut deptać sobie po piętach? po co to szaleństwo? aby być pierwszym! no i co z tego że będzie pierwszym? żadnego zastanowienia, owczy pęd, bo inni się pchają, to ja też muszę! przedział opustoszał, a te strzępy gazet, te niedogryzki jabłek, to kto będzie zbierał? ja? bydło! wyszli? proszę, nie można było spokojnie? z taksówką też będzie kłopot, ale przecież mi się nie spieszy, spieszy mi się? nie, nie spieszy mi się, pójdę do fryzjera. — Pan do golenia? Proszę siadać. — Namydlił i małą ze mnie zrobił, powinni tu mieć manikurzystkę, ładną manikurzystkę o miękkich dłoniach, ślicznych połyskujących paznokciach, w Rumunii przed wojną podobno młode panny usługiwały w łaźniach publicznych, obok wanny tapczan, taka panna goła pod fartuchem, to rozumiem, troska o klienta! wchodzi taka, namydlić plecy? ho! ho! wytrzeć? jak tu nie ulec pokusie? tapczan jest, tylko facetce rozpiąć fartuch, albo jeszcze lepiej, zaprosić taką do wanny, żeby się razem z człowiekiem wykąpała i w wannie ją, też można, nie? z tamtą cizią trzeba było pójść, przyjechałbym do Warszawy po południu, no to co? Hibisz cały dzień urzęduje, ot, człowiek nigdy nie wie jak z okazji skorzystać, aż się paliła, połowę uda odstończyła,*

żeby mnie podrajcować, niedorajda jestem, jeszcze bym był w łóżku, pół godziny snu i numerek, i znowu, no, godzinę, i znowu, tak to można żyć, zamiast się włóczyć pociągami, patrzeć jak ta ciemnota przewala się z miejsca na miejsce, takie łaźnie u nas zaprowadzić, naród brudny, spożycie mydła najmniejsze w Europie, nawet ze względów higienicznych byłoby wskazane, w każdym większym mieście na dworcu, jabym osobiście zajął się selekcją personelu, w kolejce bym je sobie ustawił i tak po jednej, pokaz co umiesz, można by żyć, obok tapczanu lodówka na szampan, ściany obite lustrami, sufit też, oczywiście. — Proszę bardzo szanownego pana. — Już? Dziękuję. — I człowiek miałby ciągle apetyt, bo to, dam mu dwa złote, wystarczy — Dziękuję szanownemu panu, polecam się na przyszłość — Jeszcze durak drzwi otworzy, ukłoni się w pas, lokajski naród, bo to każda inna, człowiek ciekawy jak to będzie z tą, a jak z tamtą, albo dwie naraz sobie wziąć, byłoby życie, zamiast się szwendać po dworcu, czas zabijać, co teraz? pójdę do restauracji, te ławki zawsze takie zatłoczone, ile razy przyjeżdżam do Warszawy, tu zawsze tłum, czy oni tu śpią? te tobołki jakieś, walizki sznurkiem przewiązane, powinni to przepędzić stąd, od czego jest milicja? no i ten smród, czy oni się nigdy nie myją? — Poproszę o kawałek szynki, trzy bułki z masłem i kawę z mlekiem. — A może Hibisza nie będzie w KC? może zapomniał, że miałem przyjechać? nie zapomniał, wyraźnie mówił, że dziś, trzeba było kupić gazetę, może aresztowany, ale byłbym w sosie. — *Ja do towarzysza Hibisza. — Pozwólcie z nami.* — I do budy ze mną, a ja nic nie wiem, bo gazety nie kupiłem, trzeba będzie kupić zanim stąd wyjdę, ale dlaczego mieliby aresztować? a dlaczego nie? powody zawsze są, w odniesieniu do każdego, żeby aresztować, albo żeby jeszcze nie aresztować, to jest los na loterii, dziś ja, jutro ty, albo odwrotnie, to nikogo nie minie, zresztą jak można polegać na towarzyszu, który swego nie odsiedział? to jest ostatecznie, próba lojalności, ja bym ich wszystkich wsadzał, nie na długo, miesiąc, dwa, i faceta pod mikroskop i w czapę, pokaz jaki naprawdę jesteś, tak okresowo, rodzaj weryfikacji członków Partii, nie chciałbym wiedzieć, jakie by to przyniosło rezultaty, łącznie z członkami KC i Biura Politycznego, niech siedzą, przywileje były za sanacji, teraz jest równość, *wsio gawno*, człowiek to jednak jest szmata, niech tylko poczuje strach, niech tylko go trochę przycisnąć, bohaterów ze świecą szukać, podjadłem, teraz będę

się zbierał, aha! gazeta! — „Życie Warszawy” poproszę. — Nic nie ma, zatem nie aresztowali, oczywiście mogli aresztować, ale jeszcze nie wydali komunikatu, no nic, trzeba zaryzykować, jeśli nie znajdę taksówki, będę musiał drałować na piechotę, spróbujemy zatrzymać jakiś prywatny samochód. — *Ja do towarzysza Hibisza. — Tak? No to pozwólcie z nami.* — Ten! zatrzyma się? dlaczego miałby się nie zatrzymać? dziś każdy łasy na dychę. — Dokąd? — Do Nowego Światu. — Wskakuj pan! Będzie kosztowało dwie dychy. Tylko płacić trza z góry, i nie ostentacyjnie! Dziękuję. Pan wie jak to dzisiaj jest, ktoś zobaczy, że wóz służbowy, potem kłopot, milicja, panie, tylko czeka, żeby się przyczepić. Wieśniaki! — Albo taki szofer, wóz rządowy, benzyna rządowa, a ten dorabia sobie na boku, dwie dychy, niech znajdzie choćby tylko pięciu na dzień, już stowa w kieszeni, a inni muszą harować jak wół przez cały tydzień na głupie dwieście złotych, ależ wiatr zawiewa po placu, nie pojmuję czemu ludzie czepiają się tego pałacu, mnie się podoba, szykowny, wiadomo czemu, bo radziecki, wystarczy, żeby co było radzieckie, zaraz plują, oczerniają, wybrzydząją się, nienawidzą nas, skurwysyny, *jam jest ten, który gotuje drogę Świętej Rewolucji, zaprawdę, naprawdę powiadam wam, iż królestwo ziemskie, człowiek haruje, zdziera sobie ręce, potem do niego z pretensjami.* — Panie, wyskakuj pan! — Przejdę ją dziś na drugą stronę, czy nie? nie powinni pozwalać jeździć na stopniach, jak to wygląda! do pierdła i koniec! co znaczy przeładowane? niech idą na piechotę! dwie naraz sobie wziąć, dopiero by była zabawa, jakie to można by odstawiać kombinacje! no, nareszcie zdecydował się pozwolić nam przejść, a ten idiota się pcha, nie widzi, że czerwone światło? Polaka tylko za kierownicą posadzić, to od razu, proszę, o mało nie przewrócił faceta, tak mu się spieszy, i jeszcze z pyskiem na niego! dwie naraz, to byłby jubel! że sam mu wlaź pod koło, batem, cholera! batem! ładna dziunia, taką sobie przygadać, jeszcze są szczęśliwcy na świecie, Hibisz już powinien być, gdzieś za którymś z tych okien, żeby to wiedzieć gdzie, ktoś siedzi nad moją teczką, ślini koniec ołówka, Ostuda? Ostuda? co to za człowiek? czyta donosy, plotki, napisze potem jedno, dwa zdania i los człowieka przypieczętowany, to się nazywa sprawiedliwość, ależ wypolerowali tę posadzkę! Stalina zdjęli, skurwysyny, jak tak dalej pójdzie to i Lenina zdejmą, do tego prowadzi rozcieńczanie rewolucji, ale Cyrankiewicz jest,

to jest sztuka! ten to chorągiewkę na nosie ma! wieczysty premier! trzeba przepustkę. — *Ja do towarzysza Hibisza.* — *Tak? Do Hibisza? To pozwólcie z nami.* — Ładna dzierlatka, zmysłowe wargi, biust. — Wy do kogo, towarzyszu? — Do towarzysza Hibisza. Miałem się stawić na dziewiątą — Pozwólcie legitymację. — Tylko z taką byłoby niebezpiecznie się zadawać, najpierw cacy cacy kochanie, a potem raport napisze, żeby jeszcze prawdę napisała, nie! pozmyśla, z palca wyssie jakieś niestworzone rzeczy, w pijanym widzie czynił antypartyjne uwagi, w czasie odbywania ze mną stosunku płciowego szkalował Związek Radziecki, takie pierdoły, o tak! na pewno, mam nosa, zawsze wyniucham, gdzie kto po instrukcje chodzi. — Trzecie piętro. — Ładnie się uśmiecha, *my zawsze z życzliwością do człowieka*, a gdyby Hibisz był powiedział, że nie przyjmie, czy wtedy też by się tak uśmiechała? właśnie! grube chodniki, szykany, ściany specjalnie obite, żeby nie przepuszczały żadnych odgłosów, cisza jak w kościele, ani telefonu, ani maszyny do pisania, tak to można urzędować, do pracy i do domu limuzyną z szoferem, dziesięciopokojowe mieszkanie w Alei Niepodległości, willa nad morzem, druga w górach, potem mi zarzucają, że ja straciłem kontakt z masami! ja! ja! — Towarzysz Ostuda? Siadajcie. Towarzysz Hibisz jest w tej chwili zajęty, ale to nie potrwa długo. — Też ładna cizia, kochanka Hibisza? takim to dobrze, faceci wyjeżdżają za granicę, przywożą im nylonowe majtki, kosmetyki, perfumy, potem orgie w willach za miastem, Woźnicki mówił, on chyba wie, cholera, rewolucjoniści! — Możecie wejść, towarzyszu. — Cham z prowincji przyjechał, może kłankę ująć przez chustkę, żeby nie pobrudzić? nigdy nie wiadomo, co tam za bakterie, proszę! co za gabinet! kaplica! — Wchodźcie, towarzyszu. Co taki nieśmiały? Usiądźcie sobie, zaraz będę mógł się wami zająć, tylko dokończę tego czytania. — A jak na nagusa przez pola drałował, to już nie pamięta, ważny, bo ma szerokie biurko, oberka by na nim można tańczyć, gdzie oni zdobywają te dywany? a gruby, noga grzęźnie jak w mchu, dobrze, że mi butów nie kazali zdjąć i włożyć filcowe pantofle, na oknach story z materiału, którego nazwy nawet nie znam, gdzie oni to kupują wszystko? w Paryżu? Londynie? boazeria, tak się to chyba nazywa, na ścianach, z czego to? z mahoniu? kryształowe kandelabry, tak, ale jak w takim luksusie przesłuchiwać człowieka? nie do pomyslenia, żeby krew na ścianach, na dywanie, nigdy by się tego nie do-

myli, szeszlong tu ma, no tak, jak poczuje wolę bożą, to sobie tę cizię tu, pięć telefonów na biurku, dzieła zebrane Lenina, Stalina wyrzucił, jeszcze widać gdzie stał, taki jeden z drugim podniesie telefon i wydaje mu się, że rządzi, biurokratyczne pierdzenie w stołek! ja bym was! na nagusa przez pola leciał, workiem po niemieckich nawozach sztucznych jajka sobie zakrywał, a teraz na niego popatrzeć! dygnitarz! nawet włosy na skroniach zaczynają mu dystygowanie siwieć, przepisowo, ta cizia to chyba jego, no pewnie, ma jej czym zaimponować, jak sobie ktoś ubrania sprowadza z Paryża, koszule z Londynu czy z Rzymu! — Co wyście tam znowu nabroili, towarzyszu Ostuda? — Tylko spojrział na człowieka i już go ma za skazanego, za szmatę, którą można pomiatać, już się nic nie liczy, żadnych względów, z góry wiadomo, że winny, tylko pod ścianę i kula w łeb! nabroili! — Nabroilem? Nie rozumiem, towarzyszu Hibisz. — Co to za sposób zagajania rozmowy, ja nabroilem? przecież nie ja jego, co to, nauczyciel, żeby jak uczniaka strofować? a on mnie wzywał do siebie, niech powie od razu co do mnie ma, zamiast bębnić palcami po biurku i gały na mnie wytrzeszczać, myślał, że przyjadę i zacznę się przed nim spowiadać? w piersi się bić? już ja mu, ale lepiej go nie drażnić, gotów się rozeźlić i człowiek się wkopie na dobre. — Widzicie, towarzyszu sekretarzu, powiadacie nabroilem, zgoda, nabroilem, tylko co? Bo ja nie wiem. Patrę w swoje sumienie i nic takiego nie znajduję, czego musiałbym się wstydzić. A przecież coś jest, wiem, wyczuwam to, jakieś dziwne rzeczy, wiecie, dzieją się wokół mnie, jakaś, wiecie, atmosfera, jak bym był trędowatym. Nie podchodzić do mnie! Nie dotykać! Była akademia październikowa. Myślicie, że mnie zaprosili? Albo weźcie moją pracę. Odsuwają mnie od spraw, które w moim dziale tylko do mnie należą. Dlaczego? Wchodzę do biura, ludzie milkną. Żona urzęda przyjęcie, wymawiają się brakiem czasu. Dlaczego? Ale gdy spytać kogo, każdy wody do ust nabiera. Coś za tym wszystkim się chyba kryje, ale co? Jeśli ktoś ma pretensje, jeśli są jakieś zarzuty, proszę bardzo, wysłucham, odpowiem. Ostatecznie, mam przecież jakąś pozycję w Partii, jakieś zasługi i przecież nie można tak — Wszyscy mają zasługi, to się nie liczy. Zapalicie? Będę z wami szczerzy, towarzyszu Ostuda. W waszej sprawie albo już rozpoczęto, albo zanoszą się na to, że lada dzień rozpocznie się śledztwo. — Zacisznie tu, ciekawe, bo przecież okna otwarte, nawet tramwaje, jakiś

zapach tu, co to jest? woda kolońska? serce mi nawala, z tą babką trzeba było pójść, byłbym to odsunął, popieścić się, choćby tylko na kilka godzin, serce mi nawala, ja sobie kiedyś w łeb jeszcze strzelę, specjalnie tak ten szlafrok, że-  
bym, w łeb i koniec, spokój wreszcie, nago leciał przez pola, Chryste Panie! i odbłask księżycy ślizgał mu się po dupie, ale dystans zachował, towarzyszu! nie ty! albo Karolek! o nie! towarzyszu! jak w Komitecie, jak na zebraniu! — W mojej sprawie? Jakiej sprawie? Jaka to jest ta moja sprawa? — A tego to już nie wiem. Myślałem, że może wy będziecie mi mogli coś na ten temat powiedzieć, przecież wy sami chyba najlepiej się orientujecie. Może to ma jakiś związek ze sprawą Srokosza? — Jaki? Weźcie na zdrowy rozum, no jaki? Sami wiecie, jak odbywały się te procesy. Partia żądała, ja w najlepszej wierze — W najlepszej wierze? — Partia uznała, że trzeba towarzysza Srokosza skompromitować i zlikwidować. Nie wchodzę w tej chwili w to, czy to było rzeczywiście potrzebne. Moje zdanie w tej materii jest nie istotne. Nigdy nie kwestionowałem i nie będę kwestionował decyzji Partii. — Dlatego wspominałem o Srokoszu, bo nie wiem czy się orientujecie, że towarzysz Niecały został wczoraj zwolniony z więzienia i w najbliższym czasie, no, po kilku miesiącach kuracji, bo coś tam u niego podobno ze zdrowiem nie tego, wróci do pracy w aparacie partyjnym, może nie na tak wysokim szczeblu jak dawniej, no, ale to jest na razie tylko początek. — Rozumiem. Niecałego się zwalnia, mnie się wsadzi na jego miejsce, tak? — Nic takiego nie twierdziłem, nawet nie wiem, czy jego zwolnienie ma jakikolwiek związek z wami. Raczej wątpię. Wspominałem o tym tylko dlatego, że obaj byliście wmieszani w ten sam proces i chcę, żebyście wiedzieli, jak wygląda sytuacja. — On nie wie, siedzi w KC i nie wie, to kto ma wiedzieć? ja? no, ale ostrzegł, sumienie, kurwa, go ruszyło, że mam się mieć na baczości, że tu bat na mnie kręca, to sam tego nie wiedziałem? ale samemu się zaangażować, żeby mi pomóc, o nie! co to to nie! — Towarzyszu sekretarzu, nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Ale to boli, wiecie, taka ta nagonka na mnie. Przez tyle lat pracowałem, dobrze pracowałem, nigdy żadnych zastrzeżeń, same tylko pochwały. I teraz mam iść pod nóż? Dlaczego? Nie twierdzę, że nigdy nie popełniłem żadnego błędu. Boże drogi, jesteśmy tylko ludźmi. Zresztą sami wiecie, jaka to jest praca w aparacie bezpieczeństwa, białych rękawiczek nikt do niej nie zakłada. Niszczyłem

ludzi? Owszem. Wyrzuty sumienia? Żadnych! Partia kazała, moim obowiązkiem zaś jest wykonywać jej polecenia, jak na wojnie, żołnierz nie kwestionuje rozkazu. Przejrzyjcie te papiery! To są instrukcje, rozkazy, okólniki. Spójrzcie na nazwiska. Ludzie, którzy dziś pełnią odpowiedzialne funkcje w Komitecie Centralnym i w rządzie. Wtedy wyznaczali linię partyjną w zakresie pracy resortu bezpieczeństwa. Pewnie, że była samowola, pewnie, że było przeginięcie pały, ale sami wiecie, że na to patrzono przez palce, mało! aprobowano, pod jednym warunkiem, żeby były rezultaty, jakie w danej chwili były nam potrzebne. I dziś z tego powodu załamujemy ręce? Szaty na piersiach rozrywać? Ronić łzy? Że niby ja nie wiedziałem, jak mogliśmy do tego dopuścić? Wybaczcie, towarzyszu, to jeden wielki pic i fotomontaż. Wcale nie rozumiem po co cały ten szum? Popuściliśmy im cugli, dobrze, taktyka tego wymaga, ale my wszyscy wiemy, że jeśli zajdzie potrzeba, to się je znowu przyciągnie. Więc na co ten cały krzyk? Aparat bezpieczeństwa to jest zbrojne ramię Partii, bardzo słusznie, więc nie wymagajmy, żeby to była szkółka dla niemowląt! Wy tu w Warszawie podpisujecie świstek papieru, to idzie w teren do nas, tam przestaje być świstkiem papieru, staje się konkretnym problemem, który trzeba załatwić. Załatwić to znaczy w ten czy w inny sposób wymóc posłuszeństwo. W ostatecznej instancji to oznacza pałkę. Nie macie się co obruszać, mówię po prostu prawdę. Towarzyszu sekretarzu, pozwólcie, kawa na ława, dobrze? Gdybyśmy nie mieli ciągle ręki zaciśniętej na pałce, zjedliby nas wszystkich, powywieszali na latarniach ulicznych, nie utrzymalibyśmy się przy władzy przez pół dnia. Pamiętacie Poznań? No więc! Ja wiem, dzisiaj taka moda, żeby dużo mówić o liberalizacji, o praworządności, takie te wszystkie dupersznity, ale na miłość boską, nie przeginajmy pały znowu w odwrotną stronę, bo jeśli my im dziś za bardzo poluzujemy, towarzyszu, wspomnicie kiedyś moje słowa, zapłacimy za to bardzo gorzko za kilka czy kilkanaście lat. Zapłacimy, zobaczycie! To się zemści! To się potwornie zemści na nas! Wy nie wiecie jak to wygląda w terenie, ja wiem! Ja mam palce na pulsie, ja wiem co ludzie mówią między sobą, ja wiem co naprawdę myślą! Tylko im dać okazję, ale mielibyśmy się z pyszna! Ja wam to mówię, nie chcę wywoływać wilka z lasu, ale zobaczycie, tylko tak dalej, a zobaczycie gdzie to się skończy! Powtarzam, to się wszystko jeszcze kiedyś na nas zemści! Oni



tylko czekają, żeby się na nas rzucić, do gardła nam skoczyć! — Usiądźcie z powrotem, towarzyszu. Za bardzo daliście się ponieść temperamentowi. Nagadaliście tu rzeczy, jakich członkowi Partii nawet słuchać nie przystoi. No, co ja mam z wami zrobić, Ostuda? Przecież trzeba jednak jakoś panować nad sobą. Jesteście wzburzeni, czujecie się pokrzywdzeni, no dobrze, ale przecież nie można się aż na tyle zapominać, no, jak mam rozumieć taki niepoczytalny wybuch? — Niepoczytalny wybuch? Niepoczytalny wybuch? — Siadajcie, Ostuda, albo w ogóle przestaniemy rozmawiać! No! Jesteście zupełnie rozkojarzeni, trzeba się wziąć w garść, bo inaczej nic dobrego sobie takim postępowaniem nie przysporzycie. Zapatrzyliście się w własny pępek i straciliście właściwe rozeznanie całości sytuacji. — Ja straciłem? Ja? Ja na rewolucji zęby zjadłem! — Znowu się unosicie, Ostuda. Po co? Nie chcecie ze mną rozmawiać? Oczywiście, nie przeczę, że w tym wszystkim co mówicie jest pewna doza prawdy, ale mimo to sprawy tak nie można formułować. Pałka! Co to za język? Tak nie można. Mówimy o aparacie władzy, o metodach mniej lub bardziej skutecznych. Środki fizycznego oddziaływania, no, pewnie, czasami trzeba się uciekać do metod, które, wiadomo, nie są przyjemne, ale nie na tym polega istota rzeczy, to są marginalia. Skupiając uwagę na tych drobiazgach tracie z oczu główną rzecz, wymyka wam się spod panowania całość sytuacji, narastają jakieś tam chorobliwe kompleksy zaciemniające jasność widzenia. Problem pałki nie jest już dziś centralnym zagadnieniem rewolucji. Nie trzeba tak, towarzyszu, nie trzeba. Tamto było, teraz należy zapomnieć i pchać sprawy naprzód innymi metodami, bo czasy się zmieniły, realia, z którymi mamy do czynienia, uległy również zmianie. — Dobrze, dobrze, ja to wszystko rozumiem, inny etap i tak dalej, ale dlaczego w takim razie prześladowujemy ludzi, którzy dawniej wykonywali dobrą partyjną robotę, bez których te realia, jak powiadacie, nie byłyby się zmieniły? — Nikt ich nie prześladowuje. — Jak to nie prześladowuje? Sami przecież powiedzieliście, że przeciwko mnie wszczęto śledztwo. — Wszczęto, nie wszczęto, jeszcze nic nie wiadomo. Zresztą, nawet, to czego się boicie? To dziś są już tylko gesty. — Dla kogo? — Trzeba jakoś opinii publicznej, społeczeństwu pokazać, że wzięliśmy rozbrat — Czyli inaczej mówiąc, po prostu opinia publiczna domaga się kosztów ofiarnych, tak? — Ja bym tego tak nie wulgaryzował. To nie takie proste.

To wszystko trzeba rozpatrywać na płaszczyźnie innej semantyki. — A ja pierdołę waszą semantykę! Semantyka! A chodzi o to, żeby ze mnie zrobić kozła ofiarnego! Ja tym kozłem nie będę! Nie mam sobie nic do zarzucenia! Niszczyłem ludzi, owszem, oczy wypalałem, szczury im w tyłek wpuszczałem, pasy dałem ze skóry, biłem, torturowałem, strzelałem w potylicę, żywcem zakopywałem w dołach, tak! Tak! Dzięki temu jesteśmy dziś u władzy! — Ja sobie wypraszam! Ja nie pozwalam! Co to za język! Na co wy sobie pozwalacie? My tu takiego nie używamy! Jeśli się w tej chwili nie uspokoiacie, to was stąd każę wyrzucić na zbity pysk! No! Już? — Przepraszam. — W porządku. Macie szczęście, Ostuda, że to ja, jestem wyrozumiałym człowiekiem, kto inny na moim miejscu inaczej by zareagował. — Przepraszam, jak człowiek ma nóż na gardle — Nonsens! To wszystko tylko w waszej chorobliwie rozpasanej wyobraźni zamieszkałej przez jakieś strachy, koszmary, zwidy monstrialne, bo ja wiem co. Trzeba panować nad sobą, Ostuda, bo kiedyś palniecie jakieś głupstwo w nieodpowiednim towarzystwie i, nie daj Boże, nieszczęście gotowe. Zapalmy. Więc powiadacie, że nie wiecie o co w tej całej historii chodzi? Hm. Nie chcę, żebyście wracali do domu z niczym. Bo ja wiem, co tu zrobić? Możebyście wstąpili do towarzysza Bełczyńskiego z Komisji Kontroli Partyjnej? Możliwe, że on jest bardziej w tej sprawie zorientowany, co? Chcielibyście z nim porozmawiać? — Jeśli uważacie, że to się może na co przydać. — Porozmawiać nie zaszkodzi. Wobec tego zadzwonię do niego. Zobaczmy. Tu Hibisz. Słuchaj, Franek, jest tutaj towarzysz Ostuda z bezpieczeństwa, chciałby się z tobą spotkać. No, jakieś tam sprawy, dokładnie nie wiem. Czy znajdziesz dla niego kilka minut? Ostuda! Z Najdrzyc. Tak. On ci sam najlepiej wytłumaczy. Dobrze. Za kilka minut będzie u ciebie. Dziękuję ci bardzo. Widzicie, Ostuda, załatwione. Bardzo się cieszę, żeście przyjechali, żałuję tylko, że tak mało wam mogłem pomóc. Napiszcie do mnie, albo zadzwoncie przed powrotem do Najdrzyc. Co? Przepustka? To już towarzysz Bełczyński podpisze. No, na razie, Ostuda. Głowa do góry, wszystko będzie dobrze. Nie martwcie się. Dowidzenia. — No i co załatwiłem? nic nie załatwiłem, on coś wie, ale farby nie puści, musi coś wiedzieć, wezwał mnie, bo chciał mnie wziąć na spytki, myślał, że, cholera wie, co myślał, nie trzeba się było tak unosić, coś wie, chciał sprawdzić czy ja, nie wierzę, żeby

nie wiedział, to wszystko Franek, Zenon, Józek, jak jeden wie, to wszyscy wiedzą, nie powiedzieliby sobie? ale co? gest, opinia publiczna, niech zrobią proces Bermanowi, Radkiewiczowi, mało ich się zachowało? nie, do lamusa ich schowali, do naftaliny, na placówki zagraniczne, bo jeszcze się mogą kiedyś przydać, a my to co? na stos? może lepiej nie pchać się do tego Bełczyńskiego? roznosić ten swój smród? musiałbym wrócić do Hibisza, żeby mi przepustkę, zdziwi się, Bóg wie co, obrazi się, że lekceważę sobie jego rady, albo pomyśli, że może mam jakiś powód, żeby Bełczyńskiemu przed oczy nie włożyć? nie, powiedziałem, że pójdę, trudno, słowo się rzekło, kobyła u płotu, byłem u Annasza, teraz do Kajfasza, logiczne, jeśli postanowili mnie ukrzyżować, to i tak mnie ukrzyżują, mnie już wszystko jedno, faryzeusze! — Ja do towarzysza Bełczyńskiego. — Towarzysz Ostuda? Zaraz, zobaczę, dobrze, możecie wejść. — Niech ukrzyżują, ten też, umyvam ręce, niech krew tego człowieka, dziś wszyscy umywają ręce, własnych zbrodni nikt nie pamięta, czym więcej takich jak ja znajdą lwu na pożarcie, tym lepiej dla nich, bo im się udało sianem wykręcić, teraz tylko nas gnębić, niszczyć, żeby tylko broń Boże nikt ich nie zapytał, a co wyście wtedy robili? niech ukrzyżują, na nich też przyjdzie czas, wszyscy stoimy w kolejce. — Witajcie, towarzyszu. Chcieliście porozmawiać, proszę, siadajcie. O czym to chcieliście ze mną porozmawiać? — Podobno są przeciwko mnie jakieś zarzuty. Chciałem się dowiedzieć czy to prawda. — Czego się śmieje? tylko by się natrzęsali z ludzkiego nieszczęścia, im samym dobrze, bo jeszcze w siodle, ja do niego po ludzku, a on, cóż to, kawał jakiś powiedziałem? boki sobie zrywa, bo człowiek do niego po ludzku — A to dobre!! Wyśmienite! Zarzuty! Podobacie mi się, Ostuda. Lubię szczerłość i odwagę, lubię jak ktoś stawia sprawy po robociarsku. Wy z Najdrzyc, prawda? — Tak. — Pamiętam. Wypadki poznańskie. Wyście wtedy aresztowali połowę tych waszych Najdrzyc, a jakże, pamiętam! — Wcale nie połowę, a zresztą już wielokrotnie wyjaśniałem tę sprawę i byłem przekonany, że cały incydent poszedł w zapomnienie. — Nigdy nie wiadomo, towarzyszu, nigdy nie wiadomo. — W każdym razie komisja, która tę sprawę badała, uznała moje wyjaśnienia za wystarczające i sprawę umorzono. — No, tak, umorzono, ale akta zostały, prawda? — Więc co z tego? — Do akt zawsze można zajrzeć. — Ale dlaczego? — Dlaczego, towarzyszu? Pracu-

jecie w aparacie partyjnym od wielu lat, powinniście wiedzieć, że tego rodzaju pytań nie należy stawiać. Wyście wtedy popełnili błąd, wielki błąd, ulegliście panice, odeszliście od linii partyjnej, wasza subiektywna ocena jest tu nieważna, wy mogliście mieć najlepsze chęci, ale to nie zmienia faktu, że na własną rękę podjęliście kroki, które przyniosły Partii wielką szkodę. Sprawę zaklajstrowano, oczywiście, ale plama zostaje, prawda? Dziś, jeśli kto weźmie do ręki waszą teczkę personalną, wszystko jedno o co by mu chodziło, prawda, i zobaczy to, prawda, trudno mu się oprzeć wrażeniu, że w obecnych, nowych przecież warunkach, wymagających dużo taktu, wyrozumiałości, czasem nawet daleko idącej pobłażliwości, prawda, taki człowiek, prawda, jak wy nie powinien, być może, zajmować stanowiska, które w oczach społeczeństwa i tak jest już zdyskredytowane. — Czy wyście wtedy byli w Poznaniu, towarzyszu sekretarzu? Powiadacie, że uległem panice, że na własną rękę i tak dalej. Wątpię, czy mówilibyście to samo, gdybyście wtedy widzieli to, co ja tam zobaczyłem. Przyjechałem odwiedzić Targi. Był ranek, miasto wyglądało normalnie, nikt się niczego nie domyślał. Owszem, było wiadomo, że w ZISPO robotnicy strajkują, tajemniczą polityczną delegacją było również, że kilka dni przedtem załoga wysłała delegację do Warszawy, ale o tym, że delegację aresztowano wieść się rozeszła dopiero później. No ale mniejsza z tym. Przyjechałem i poszedłem powłóczyć się po terenach targowych. W pewnej chwili wśród zwiedzających powstał jakiś niezwykły ruch, ktoś krzyknął, że idzie pochód. Pobiegłem do głównej bramy. Właśnie czoło pochodu wkraczało na Most Dworcowy. To trzeba było widzieć, towarzyszu! Robotnicy, kobiety, dzieci. Nieśli transparenty: „Żądamy chleba i wolności!” „Niech żyje Polska!” „Żądamy obniżki cen!” To było coś nie realnego, to się w głowie nie chciało mieścić! Jak można było do tego dopuścić? Od czego mamy milicję? Od czego mamy bezpieczeństwo, wojsko? A tłum szedł i śpiewał „My chcemy Boga!”, śpiewał „Warszawiankę”. Z terenów wystawowych wysypywali się cudzoziemcy, w ruch szły kamery filmowe. Następnego dnia to wszystko miało być w prasie zagranicznej: „Robotnicy demonstrują przeciwko komunistycznemu rządowi!”. Co miałem robić? To był koniec świata. Ruszyłem za pochodem. Obok przebiegali ludzie krzycząc „Wolność! Wolność!”, zatrzymywali mnie ze słowami „Doczekali się! Będą mieli nauczkę!” Tak o Władzy Ludowej mówili!

Publicznie! „Będą mieli nauczkę! Cały świat dowie się wreszcie prawdy!” Na chodnikach stała milicja, nie reagowała. Przy kinie „Bałtyk” tłum skręcił przez Most Uniwersytecki na Kaponierę i tam przed Aulą Uniwersytecką rozpoczęła się wielka demonstracja. Przez megafon padały groźby, obelgi pod adresem Władzy Ludowej. „Żądano”, rozumiecie, towarzyszu, „żądano” wypuszczenia na wolność aresztowanych delegatów, tłum wrzał, słychać było ten wzbierający wulkan, myślało się, że za chwilę wszystko trzaśnie, zaleje nas ich nienawiść. Strach brał i złość i ślepa wściekłość. Kto był za to odpowiedzialny? Dlaczego nie było wojska? Dlaczego milicja przyglądała się z założonymi rękami? Gdzie są władze i dlaczego nikt nie usiłuje opanować sytuacji? Te pytania rozsadały mi głowę. Trzeba było coś zrobić. Wpadłem do najbliższej budki telefonicznej. Dzwonię do KW, nikt nie odpowiada, dzwonię do WRN, nikt nie odpowiada, dzwonię wreszcie do Urzędu Bezpieczeństwa. Powiadają mi, żeby zachować spokój, że sytuacja rozwija się prawidłowo, że mamy swoich ludzi wśród tłumu, oni wiedzą co robić. Zachować spokój! Dobra rada, ale jak można było zachować spokój widząc co się dzieje na ulicach? Sprawa była groźna, z każdą chwilą stawała się groźniejsza, tłum już wdzierał się do budynku Komitetu Wojewódzkiego Partii. Po chwili na dachu powiewała biała chorągiew, z jednego okna zwisał transparent ze słowami „Żądamy chleba i wolności!”, jakiś dowcipniś kredą napisał obok głównych drzwi wejściowych „Pokoje do wynajęcia!”. Tłum szalał, wybijał szyby, z okien sypały się papiery, dokumenty, portrety naszych przywódców. Ogólne opętanie! To trzeba było widzieć, towarzyszu, ten wybuch nienawiści, ten rozpętany żywioł wściekłości, tę orgię niszczenia, tę pogardę dla nas. Tłum deptał to wszystko, darł na strzępy, palił. Na dachu WRN również już powiewała biała chorągiew. Nawet na Głównej Komendzie MO również! Tłum zaś parł teraz z kolei w kierunku więzienia, gdzie spodziewano się znaleźć aresztowanych delegatów. Widziałem jak wyważono bramę, jak ta oszalała hołota wpadła do środka. To było potworne, w to się wierzyć nie chciało! To się działo u nas, w Polsce Ludowej, jedenaście lat po objęciu przez nas władzy, po tym ogromie pracy, jaki włożyliśmy w budowanie podwalin naszego ustroju! I żadnej próby przeciwdziałania, żadnego oporu, nikt jednego strzału nie oddał, kompletna kapitulacja. Po jedenastu latach w Poznaniu tego dnia Władza Ludowa ru-

nęła w przeciągu jednej godziny! Rozumiecie jak się czułem? Oczywiście, więźniów tam nie było, podniosły się więc okrzyki, żeby iść do UB na Kochanowskiego. Ulica Dąbrowskiego była już zatłoczona kiedy dotarłem do Mostu Teatralnego. Od strony Kochanowskiego padły pierwsze strzały. Nareszcie! Tłum się rozpiezchnie, za godzinę będzie spokój. Gdzie tam! Okazało się, że na Kochanowskiego zabito dziecko. Wiadomość rozniosła się po całym mieście lotem błyskawicy. Ludzie jakby dostali wścieklizny. Pojawiła się broń. Zewsząd nadjeżdżały ciężarówki wypełnione uzbrojonymi robotnikami. Na Moście Teatralnym przewrócono tramwaj i zaczęto budować barykadę. Na rogu zatrzymał się samochód z zagranicznymi znakami rejestracyjnymi, na dachu stał operator z kamerą filmową. Rzuciłem się ku niemu, tłum mnie odepchnął. Im właśnie na tym zależało, żeby to się przedostało za granicę! Z górnych okien Ubezpieczalni Społecznej zrzucano aparaturę do zagłuszania szkiełkach zagranicznych. Tymczasem na Kochanowskiego rozpoczęło się formalne obłężenie Urzędu Bezpieczeństwa. Rozpoczęło się powstanie, rozumiecie, powstanie przeciwko Władzy Ludowej! Ulicami zaczęły śmigać pierwsze karetki pogotowia z rannymi. Miałem przy sobie broń, jasne, ale co mogłem zrobić? Zmasakrowaliby mnie. Wróciłem na most. W pewnej chwili zobaczyłem idącego w moją stronę towarzysza Koźlickiego z poznańskiego bezpieczeństwa, z którym kiedyś pracowaliśmy razem w Najdrzycach. Zawołałem na niego, podszedł, powiedział: „Nic się nie martw, szafa gra, zobaczysz co tu się będzie później działo, dostaną tak w skórę, że” i nie skończył, bo jakiś mężczyzna zatrzymał się przed nami, wskazał na Koźlickiego i krzyknął na cały głos: „To ubek!” Zaraz zważyło się na niego kilku ludzi, ale Koźlicki wywinął im się z rąk i rzucił się do ucieczki. Niestety w złym kierunku, ku dworcowi. Ludzie za nim jak sfera psów. To był brzydki widok, te twarze ziejące nienawiścią, te ręce drapiące nawierzchnię ulicy, żeby z niej wyrwać kamień. Koźlicki wbiegł na Most Dworcowy i na dół po schodach na plac przed dworcem, cała czereda za nim. Coraz gęściejsza, coraz wrzaskliwsza, już mu nieledwie włazi na pięty. Koźlicki kluczy po placu, między tramwajami, między taksówkami, uchyla się przed kamieniami, które ścigają go jak grad, ale gdzie dalej z tego placu uciekać? Na perony! Tylko to pozostało, na peron, przez tory, między stojące tam pociągi, zmylić pogoń, przycupnąć gdzieś, przeczekać. Ale pe-

rony również były zapchane narodem. Nie ubiegł dwudziestu kroków, ktoś mu podstawił nogę, resztę możecie sobie wyobrazić. Ktoś wprawdzie krzyknął: „Ludzie! Chrześcijanie, opamiętajcie się!”, ale wy wiecie, towarzyszu, co to jest tłum. Kiedy od niego odstąpili, na betonie leżały krwawe strzępy. Wyszędłem z dworca. Co się stało? Jak to się stało? Gmach, który budowaliśmy przez tyle lat, runął na moich oczach. Co się ostało? Nic. Stałem przed bramą targową zastanawiając się, co robić. Nagle zdałem sobie sprawę z dziwnej ciszy. Megafony, które od rana rozbrzmiewały muzyką, milczały. Przerazenie zdjęło mnie na myśl co się stanie, jeśli ta czereda rzuci się i opamięta radiostację i wieść rozprzestrzeni się po całej Polsce. Na Kochanowskiego wrzała regularna bitwa. Olbrzymi śłup dymu wznosił się w powietrze nad miejscem, na którym stał gmach Urzędu Bezpieczeństwa. Jeszcze kilka godzin, Urząd padnie, całe miasto znajdzie się w rękach rebeliantów. Trzeba było działać. Każda minuta była droga. Musiałem jak najprędzej wrócić do Najdrzyc. Złapałem niemiecki samochód idący w tym kierunku. Niemcy uciekali z Targów bojąc się, że przy braku władzy Polacy rzucają się na nich, a może myśleli, że powstanie da początek nowej wojnie? Po dwóch godzinach byliśmy w Najdrzycach. Ulice zabite tłumem. Wystarczyła jedna iskra. Ściągnąłem komendanta MO, przedstawiłem mu sytuację. Podobno po mieście chodziły już pogłoski, że w Warszawie wybuchło powstanie, na Śląsku w kopalniach wieszano sekretarzy organizacji partyjnych. Uzgodniliśmy, że ludzi trzeba przepędzić z ulic, ewentualnych prowodyrów wziąć w areszt prewencyjny. W przeciągu niecałej godziny w mieście zapanał spokój, aresztowaliśmy trzydziestu kilku ludzi, w węzłowych punktach miasta ustawiliśmy karabiny maszynowe. Sytuacja została uratowana, bo działaliśmy szybko i zdecydowanie. Gdyby w Poznaniu zrobiono to samo, nie byłoby doszło do wybuchu. — Wybaczcie, towarzyszu, że zanim wam co powiem, to najpierw się serdecznie uśmieję. W jakim wy świecie żyjecie? Czy wy naprawdę wierzycie, że gdybyśmy chcieli, to nie moglibyśmy w Poznaniu sytuacji z miejsca opanować? Czy jesteście tak naiwni, towarzyszu, że myślicie, żeśmy nie wiedzieli co się dzieje i czym cała rzecz pachnie? Przecież myśmy nawet więzienie opróżnili, aby mieć miejsce na nowych aresztantów. Przecież myśmy mieli swoich ludzi rozstawionych po mieście, którzy filmowali wszystko. Kto rozbijał sklepy na

Dąbrowskiego? Nasi ludzie! Kto podjudzał tłum? Jak to się stało, że tak łatwo znaleźli dostęp do broni? Zastanówcie się, towarzyszu, w naszym ustroju zorganizować powstanie to jest bardzo trudna rzecz. Niemożliwa, powiedziałbym wręcz. Oczywiście, w niektórych wypadkach sytuacja na chwilę może wypaść nam z rąk, ale tylko na chwilę. Jak długo w Poznaniu trwał strajk? Dwa tygodnie. Myśmy zupełnie dobrze zdawali sobie sprawę, że prędzej czy później robotnicy wyjdą na ulicę. Mogliśmy do tego nie dopuścić, ale nie ruszyliśmy palcem. Dlaczego, drogi towarzyszu Ostuda? Uprzytomnijcie sobie jaka była wówczas sytuacja w kraju. Paskudna. Brak towarów na rynku, drożyzna, fala strajków zataczała coraz to większe kręgi, ogólne wrzenie po XX Zjeździe. Sytuacja nie mogła być gorsza. Poznań zdarzył się w sam raz. Czy nie przyszło wam nigdy na myśl, że myśmy tam celowo zezwalali na taki właśnie rozwój sytuacji, mało, żeśmy go podsycali, niech się zaogni, niech wrogowie wyjdą na wierzch, niech zrzucą z siebie maski, by w odpowiedniej chwili z tym większą mocą się rzucić na nich siłą. Przecież wystarczyło nam jeszcze w czwartek posłać tam towarzysza Cyrankiewicza, niech by przemówił przez radio, zgodził się na dalsze pertraktacje, obiecał wypuścić delegatów. Można było tak postąpić, prawda? I sprawa by od razu ucichła. Ale to oznaczałoby, że ugięliśmy się przed siłą. Poczekaliśmy więc, aż wrzód dojrzeje, potem rzuciliśmy do akcji wojsko, czołgi, zaślaliśmy ulice trupami i po kilku godzinach zapanował spokój. Myśmy w Poznaniu uczyli polską klasę robotniczą, obalamuconą przez różnego rodzaju demagogów, respektu dla Władzy Ludowej. Po tej rzezi już nikt nigdy w Polsce nie podniesie łapy na Władzę Ludową. Wasz błąd tego dnia polegał na tym, że daliście się unieść panice, na moment straciliście zaufanie do mądrej i dalekosiężnej polityki Partii. Wszystko co potem nastąpiło to były właśnie konsekwencje tej jednej chwili słabości. Zgodzicie się z moją diagnozą? — Powiedzmy, że się zgodzę, ale dlaczego całą tę sprawę podnosi się przeciwko mnie teraz właśnie? — Zaraz, towarzyszu, wcale nie twierdzę, że ją się podnosi, ale z całą pewnością zaważy ona w jakiejś mierze na ostatecznej decyzji, jaką podejmie prokuratura. — Prokuratura? Ale co konkretnie mi się zarzuca? — Nie wiem. Widocznie macie coś na sumieniu, skoro się wami zainteresowała. Ja tylko otrzymałem pisemko, żeby tam przekazać waszą teczkę personalną. To wszystko, co w tej sprawie



wiem. Nic wam poradzić ani pomóc na razie nie mogę. Gdy prokuratura zakończy dochodzenia, gdy będziemy wiedzieli jakie są zarzuty, może wtedy da się coś zrobić. Może. Na razie musicie się uzbroić w cierpliwość i czekać. Czego się martwicie? Macie taką minę, jakbyście koniec świata zobaczyli. W najgorszym razie zdejmą was z kierownika wydziału bezpieczeństwa i przeniosą gdzie indziej na mniej eksponowaną funkcję. Jest się czym martwić? — *A wy za kogo się macie, towarzyszu Bełczyński, żeby polską klasę robotniczą uczyć respektu dla Władzy Ludowej? Wy się nie uważacie za członka klasy robotniczej? A w ogóle waszym zdaniem, Partia to już nie klasa robotnicza? A co? Może wam się wydaje, że jakaś klika, która zagarnęła przy pomocy bagnatów radzieckich władzę dla siebie i tylko lud bałamuci socjalistycznymi hasłami? Coś kiepsko z waszą postawą ideologiczną. Przejęczyliście się? Zobaczmy, czy to było tylko przejęczenie. My wam się tu teraz dobrze przypatrzemy. Zobaczmy co tam u was na dnie duszy naprawdę siedzi. Kto jeszcze z członków Komitetu Centralnego myśli podobnie jak wy? Kto? Gadać! Gadać! Wszyscy? Co to znaczy wszyscy? Nazwiska! Gadać! Ja się tu zaraz inaczej do was zabiorę, już ja na was znajdę sposób, na takiego szczurą, co to przez tyle lat Partię podgryzał, taką źmiję wredną, takiego padalca, taką pchłę, co to kąsała i krew wysysała i zatrzuwała zdrowy organizm Władzy Ludowej. O, już my się z wami, Bełczyński, teraz rozliczymy, tyle lat maskowaliście się i oto teraz zdarliśmy maskę z waszej twarzy i wyjrzała na nas ohydna morda wroga, ale wy się nie martwicie, Bełczyński, już my wam tę mordę zmasakrujemy, my was, Bełczyński, przez maszynkę do mięsa przepuścimy, my was, Bełczyński, do ścieku kanalizacyjnego spuścimy, my was, Bełczyński, my was — *Spokojnie, no już spokojnie, Karolku, a bo mnie zdenerwowało to bydlę, ta źmija kąśliwa, ten gnój, ten szczur śmierdzący, mnie do prokuratora, mnie do więzienia, pod ściankę, a taki gnój przez tyle lat, respektu dla Władzy Ludowej, ja was nauczę respektu dla klasy robotniczej, przez tyle lat krecią robotę prowadził i nikt się nie połapał, dopiero ja, no, już ja go sobie zapamiętam, za dużo sobie pozwolił, polską klasę robotniczą respektu, trzeba będzie na piśmie złożyć odpowiednie oświadczenie — *To wy nie wiecie, Bełczyński, że takiego zdania nawet w myślach wam nie wolno formułować? A jeszcze na głos je wypowiadać? Nawet do pustej ściany, rozumiecie? Nawet gdyby najbliższy człowiek***

*był oddalony od was o sto kilometrów, rozumiecie?* — Pozwolił sobie, bo w jego oczach ja już przestałem istnieć, z duchem rozmawiał, mógł sobie pozwolić na szczerość, niby że ja już nie mogę mu zaszkodzić, może ma rację, nie wiem, ręce opadają, sprawa jest widocznie przesądzona, tylko mnie aresztować, pod ścianę, sprowadzić pluton egzekucyjny, prosta formalność, proszę! proszę! aresztujcie! nie uciekam, bierzcie mnie! niedoczekanie wasze! nie pójde pod nóż jak baran, wykluczone, rękami i nogami, pojedę porozmawiać z Wachowiakiem, swój chłop, ten sam resort, całe lata w terenie, z takim się można dogadać, to nie to co tamto skorumpowane towarzystwo od pierdzenia w biurokratyczny stołek, trzeba taksówkę, gdzie tu złapać taksówkę? cholera, nawet się nie zatrzymał, wziąłbym ja takiego na warsztat, na całe życie, kurwa, taką szkołę bym mu, że już nigdy więcej, no, może ten? a, zatrzymał się, kochany człowiek! — Do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. — Pan za paszportem? Teraz łatwiej dają, słyszałem, nauczyli się jednak czegoś, dranie, bo dawniej, panie, to tam był płacz i zgrzytanie zębów. — Dzisiaj nikomu nie można zaufać na piękną gębę, nauczyli się czegoś, tylko się do jednego z drugim uśmiechnąć, słowo rzec po ludzku, zaraz bierze człowieka za swojego, dalej plwać, rzygać, kumpla od wódki sobie znalazł? nauczyli się, zawsze mówiłem, tylko im trochę poluzować, to są właśnie rezultaty, tylko tak dalej, a któregoś dnia wszyscy zawiśniemy na latarniach, kurwa, w kościołach w dzwony uderzą i — Ile? Piętnaście złotych? Proszę. — To dla firmy a dla mnie? Jeden? Coś pan, niekształcony analfabeta? Nie wstyd panu, żeby członek klasy robotniczej musiał się upokarzać i o zarobek się dopominać? Łaskę mi zrobił i jeszcze złotówkę dorzucił! Patrzcie, panowie, co za wieśniak! Trzy kilometry wiozę wieśniaka, a on mi złotówkę! Potem dodaje jeszcze jedną. Wielka łaska! Dziedzic, skurwysyn! Do ministerstwa jedzie taksówką, to już myśli, że ważny i prostym człowiekiem może pomiatać. Dwa złote, panowie widzieli? I jeszcze się musiałem dopominać! A masz tu, kmiotku, swoje dwa złote, do dupy se je wsadź! A na drugi raz naucz się co to honor zanim do taksówki wejdiesz! Spierdalaj, bo za korbę złapię i cię tu na miejscu — Jeszcze by zlinczowali, co za naród, żebrać o napiwek, potem pretensję, honorem się unosi, dziś byle gówno, a honor jak nie wiem kto, zwraca pieniądze, na ziemię rzuca, niczego się ci ludzie nie nauczyli, stare nawyki, za mocno nimi nasiąknęli, trzeba bę-

dzie lat, trzeba było zanotować numer samochodu, przega-  
piłem, takiemu by się przydało dać trochę wciry, przega-  
piłem, cholera, już nie dlatego, że to ja, ale tak w ogóle,  
żeby się nauczył szacunku dla samego siebie, tę pańszczyznę  
z niego wybić, ten serwilizm, żeby podniósł głowę do góry,  
żeby się poczuł człowiekiem, człowiek to brzmi dumnie,  
kurwa, to on o tym nie wie? — Towarzysz Ostuda? Cie-  
szę się. Siadajcie. Dawnośmy się nie widzieli. Ja, zdaje się  
wiem, z czym wy do mnie. Dobrze, żeście zajrzeli, bo ja  
i tak miałem zamiar się z wami skontaktować. Co wyście  
tam mieli z tym Wielgockim? — *Skończył się dla ciebie  
cały twój Dominik. On już nigdy nie będzie mógł tego  
robić z żadną kobietą. — To wszystko dlatego, że nigdy  
nie mogłeś mi wybaczyć, że gdy mnie spotkałeś, nie byłam  
już dziewicą. — Chyba człowiek ma prawo żądać od tego  
świńskiego życia, żeby mu dało przynajmniej jedną czystą  
rzecz, czy to tak dużo? — Nie wiem o którego Wielgoc-  
kiego chodzi. Było ich trzech. Ojciec siedział za sabotaż  
gospodarczy i zmarł w więzieniu. Młodszy syn przesiedział  
kilka lat za bandytyzm, wyszedł z więzienia, o ile się nie  
mylę, w pięćdziesiątym drugim roku. Starszy siedzi do dziś  
za dywersję i szpiegostwo. — To ten. Dominik. Podobno  
wyście go skastrowali w czasie śledztwa, to prawda? —  
Czy ja go skastrowałem? Wy wiecie, towarzyszu, jak to  
jest, gdy się prowadzi śledztwo, bardzo możliwe, że odniósł  
pewne obrażenia na ciele, które odbiły się ujemnie na jego,  
no, męskości, trudno zawsze dopilnować, żeby, rozumiecie,  
czasami się zdarza, że — Tego mi nie musicie mówić, to-  
warzyszu, ale, widzicie, trzeba pamiętać o naszej starej  
dobrej zasadzie. Jak się ma takiego człowieka w garści i  
jak się już raz nad nim zaczęło pracować, to sprawy nie  
można spaskudzić. Robota powinna być czysta, potem taki  
kaleka pęta się niepotrzebnie po święcie i robi nam złą  
markę. Wyście sprawę spaskudzili, teraz się ona ślimaczy.  
Wielgocki wniósł podanie o rewizję wyroku. Jak można  
było do tego dopuścić? — Powiem wam szczerze, towarzy-  
szu, czasami rzeczywiście wyrzucałem sobie, że sprawę spar-  
taczyłem, ale, wiecie, nigdy nie przypuszczałem, że on tak  
długo w więzieniu pociągnie. — No właśnie, widzicie, a to  
twarda sztuka, on nas wszystkich przeżyje. — Dobrze, ale  
skoro jeszcze siedzi, można by go jakoś, no, wiecie, wyda  
się odpowiednie zaświadczenie lekarskie, prosta sprawa, nie  
uważacie? — Obawiam się, że to dziś już wcale nie takie  
proste, już nie teraz, w sprawę wkroczyła prokuratura, te-*

raz w niej wszyscy grzebią, a to najgorzej, bo jak raz zaczął grzebać, to zawsze czegoś się w końcu dogrzebią. Ot, widzicie, takie małeńkie przeoczenie, a jak się to teraz mści. Zawsze mówiłem, roboty nie należy partolić! Z ludźmi nigdy nie wiadomo, lata płyną i wszystko jest pięknie i ładnie, potem któregoś dnia robi się chryja. A cóż dopiero teraz, kiedy wszyscy na wypródki krzyczą o praworządności! — Czy tego nie da się jakoś inaczej załatwić? — Nie wiem. Będziemy się starali, aby sprawę pogrzebać zanim dojdzie co do czego. Ostatecznie nam też przecież nie bardzo na rękę, żeby naszych towarzyszy ciągaliby na sądach i wywlekali na wierzch jakieś stare historie. Nie trzeba sprawy jednak dramatyzować. My nad nią czuwamy, jeśli się da, to ją utopimy. Najważniejsze, żeby nie robić wokoło niej za dużo szumu. Nie trzeba, jak wy to robicie, łązić od jednego towarzysza do drugiego — A wy skąd wiecie, że ja? — Ano, wiem, te sprawy się szybko rozchodzą. Po co? Lepiej siedzieć cicho i czekać. Jeszcze kto gotów pomyśleć, że rzeczywiście macie coś tam na sumieniu skoro tak zabiegacie o udowodnienie swojej niewinności. Po co siebie stawiać w niewyraźnej sytuacji? Nie powinniście byli w ogóle przyjeżdżać do Warszawy. To zwraca na siebie uwagę. — Więc tamci do niego dzwonili, Hibisz też, asekurują się, to Bełczyński musiał mu wszystko powiedzieć, może do prokuratury dzwonił też? jak teraz zaczął grzebać, znowu spartoliłem sprawę, to moje nerwy, nerwy trzymać krótko! — *Wstawać! Co się tak ociągasz? Żal się z życiem rozstawać? I tak długo się nażyłeś. Czas teraz wyjść naprzeciw swojemu przeznaczeniu. — Przyszli po mnie, tyle lat czekałem, do garażu, zapuszczają motory, dlaczego pętają mi ręce? oczy zawiązały? usta zatkały pakietami? — Za co, towarzysze? Za co? Za co? — Aha, przepustka, trzeba oddać, czego ona się na mnie tak patrzy? na czole mam napisane, że skazaniec? wszyscy już wiedzą, biegają tu z tymi teczkami, znoszą materiały, wszystko żeby mnie jeszcze bardziej obciążyć, tyle lat, nigdy nie pomyślałem, tak na serio, że mnie też przecież ktoś tam rozpracowywuje, ufałem ludziom, miałem ich za przyjaciół, oni raporty pisali na mnie, czekali aż mi się noga pośliznie, teraz wszyscy wiedzą, wróg, trzeba zniszczyć, a on mi mówi, żeby się nie martwić, my nad sprawą czuwamy, już ja wiem jak się te sprawy załatwia, nie mnie piaskiem w oczy sypać, jak się raz na kogoś teczkę założy, to nie po to, żeby, cóż to, nie wiem? jak ja nie wiem, to kto ma*

wiedzieć? to kto ma wiedzieć, co? ochłodziło się, słońce zaszło, *na Anioł Pański biją dzwony, niech będzie Chrystus pochwalony*, coś mi wpadło do oka, wszędzie ten cholerny pył, tylko trochę zawieje, zaraz kurzawa, lepiej nie trzeć, samo wypadnie, oko się załzawi i jeszcze kto pomyśli, że facet idzie ulicą i płacze, no to co? nie wolno mi płakać? mało mam powodów? *i polały się tży me czyste, rześiste*, ten milicjant, dlaczego na mnie tak długo patrzył? śledzą? jeszcze przejdę kilka kroków i się zatrzymam, zerknę, gapi się? patrzy za mną, tylko spokojnie, nie uciekać! już ja wiem, teraz wszystkie telefony w Warszawie terkoczą: Ostuda! Patrzeć! Pilnować! Meldować o każdym kroku! może nam się uda sprawę pogrzebać, bujać to my, panowie szlachta, trzeba się ratować, jak? do kogo się zwrócić? kto zechce się za mną wstawić? — *Towarzyszu, wyście się podjęli jego obrony wiedząc o charakterze zarzutów, jakie Partia mu stawia. Czy to nie stawia w dziwnym świetle waszego stosunku do Partii?* — Może zadzwonić do Grzędzielskiego? niemożliwe, żeby zapomniał, jak był w zeszłym roku, cały dzień piliśmy razem, wieczorem prosił, żeby mu jakąś zdziurę naraić, to go wtedy spiknąłem z Zawodzianką, ładna, dyskretna, z własnym mieszkaniem, sam jej nigdy nie chędożyłem, jak człowiek żonaty, dzieciaty, to, ale może on wolałby, żeby mu tej eskapady nie wspominać? szkopuł, zadzwonić? nie zadzwonić? a trzeba było, tyle okazji, żonaty? to co? to jak żonaty to już ma żyć jak zakonnik? on ma chody w naczelnej prokuraturze, zadzwonić? nie zadzwonić? szlag trafił, zadzwonię. — Kto? Towarzysz Ostuda? Pamiętam, a jakże! No, co u was słyhać? W Warszawie jesteście? — Przyjechałem na dzień, najwyżej na dwa. Chciałbym z wami porozmawiać. Bardzo pilna sprawa, ale to nie potrwa długo, pół godziny. — Świetnie, bardzo chętnie, tylko zaraz, jak my to zrobimy? Za pół godziny mam naradę w ministerstwie. A jaka to sprawa? — Raczej delikatna i, sami rozumiecie, wolałbym o niej przez telefon nie mówić. — A, taka sprawa, rozumiem. Zebym to wiedział, o której ta narada się skończy. A może lepiej gdy będziecie w Warszawie następnym razem? — To było do przewidzenia, nie trzeba było mówić, że sprawa delikatna, zresztą, może już słyszał? — *Jak nazwisko? Ostuda? Nie, wybaczcie, bardzo chętnie, ale nie mogę, już i tak mam za dużo spraw na tapecie.* — Spietrał się, jasne, da się wciągnąć, potem sam sobie kłopotu napyta, on nie frajer, tylko jeden jest frajer na świecie, ja! do kogo by

tu jeszcze się zwrócić? nie znam tu nikogo na tyle, żeby, to się tak łatwo mówi, że człowiek ma kupę przyjaciół, a jak trzeba, to się okazuje, że sam jeden jak ten palec, nikt dobrego słowa nie powie, nikt nawet żadnego współczucia, ot, jak ten pies, byle kto może kopnąć, co jestem? zero! wielkie zero! skończony człowiek! co teraz robić? wracać do Najdrzyc? z niczym? co powiem Basiuli? że wpadłem w tryby maszyny, której nie jestem w stanie zahamować? że tysiące ludzi pochylają się teraz nad moją przeszłością, wnikają w każde słowo, jakie kiedykolwiek wypuściłem z ust, zastanawiają się nad każdym krokiem, jaki kiedykolwiek postawiłem? co robiłem wtedy a wtedy o takiej i takiej godzinie? jak wyglądała moja twarz? dlaczego w pewnej chwili przebiegł przez nią skurcz zniechęcenia? — *No, odpowiadać! Dlaczego? Dlaczego?* — Życ się nie chce, doprawdy, tylko w łeb sobie — *Więc po to musiałam leż z tym facetem do łóżka, żebyś teraz mi mówił, że to wszystko na nic?* — *Dziecino, już ty masz najmniej powodów do płaczu. Zresztą, nie przypominam sobie, żebyś się znowu tak bardzo przed tym wzbraniała. A kto później jeździł do niego do Poznania? Myślałaś, że nie wiem? Ja wszystko wiem. Już ty do mnie nie mów takim tonem* — Ech, na kogo ja się złościę? ona też Bogu ducha winna, ściemnia się, jechać z powrotem? człowiek z sercem do drugich, a oni zaraz z nożem, może zostanie jeszcze jeden dzień, zastanowię się, coś wykombinuję, jakiś ratunek, Foksal, w Kameralnej zjem obiad, dobrze, zjem obiad, za moją dobroć, za tyle serca co im zawsze, własną żonę skurwysynowi dałem, jak jakiś stręczyciel, a teraz oni wszyscy tak mi się odwdzięczają. — *Czy oskarżony przyznaje się do winy?* — *Nie!* — Płaszcz oddam w szatni, teczka? zabiorę z sobą, nie daj Boże żeby się miała zgubić, pustki tu. — Proszę o kartkę. — Już szanownemu panu służę. — *Do niczego nie przyznaję się. To są wszystko wymysły. Nie jestem winny. Nie miałem z tą sprawą nic wspólnego.* — Co tu macie dziś dobrego? — Jest bardzo smaczna zupa ogórkowa. Polecam. Na drugie może być sznyצל po wiedeńsku, też bardzo dobry, wszyscy klienci bardzo go sobie dziś chwala. Albo może być schaboszczak. — Niech będzie sznyצל. Ale najpierw proszę mi przynieść setkę wódki i tataru. — *Kiedy oskarżony otrzymał ostatni raz instrukcje z Monachium?* — *Nie dostawałem żadnych instrukcji. Wszystkie te zarzuty są bezpodstawne.* — *Nie otrzymywał? Wobec tego odświeżymy oskarżonemu pamięć.*

*Zarządzam odczytanie zeznań złożonych przez oskarżonego w śledztwie. — O, już jest wódeczka, szybko się wokoło tego zakręcił, no, to na pohybel! — Pan szanowny tak do mnie? — Nie, ależ skąd, tak tylko do siebie. — Już nawet do siebie gadać nie wolno? wszyscy tacy przewrażliwieni dzisiaj, słowa nie można, bo od razu wszystko do siebie biorą, moja gęba mu się nie podoba, czy co? już ja mu! niech tylko będzie ostrożny! zresztą, gieroj ze mnie, zawołają milicjanta, nawet legitymacja nie pomoże, wiadomo, człowiek na spaleniu, zbijają, skopią, ręka, noga, mózg na ścianie, nie będzie nawet czego pozbierać. — Panie starszy, jeszcze jedną setkę! — Smutno, smutno mi, Boże, gdy się spać położę, nawet wódka nie wiele pomaga — To my wam pomożemy sobie przypomnieć! — Wódka lepi, cukier krzepi, lepi, to jakiś idiota wymyślił, dla otumanienia klasy robotniczej! i na odwyrtkę, cukier lepi, wódka krzepi, panie z lewa! panowie z prawa! upiję się, na frasunek dobry trunek, raz kozie śmierć, gdyby kózka nie skakała, to by nóżki nie złamała, fortuna kołem się toczy, jak się jest na wykończeniu, dochadziaga, trudno, nie ma rady, każdemu koniec pisany, nóż pod topór, źle! głowa pod topór! — Synu, pojednaj się z Bogiem! Bóg miłosierny, wszystko wybaczy, tylko żałuj za swoje grzechy, boś nimi Boga obraził, pogardził miłością Jego wielką! — Jeszcze się nic nie stało, Wachowiak powiedział, że czuwają, przecież nam też nie bardzo na rękę, żeby naszych towarzyszy, he! he! — Przynieś pan całe pół karafki! — Za długo się to wszystko wlecze, sprawiedliwość losu powinna być natychmiastowa, w trybie doraźnym, a nie tak, gdzieś człowiek popełnił błąd, potem całe życie, jeden błąd, nawet nie wiadomo jaki, potem całe życie — Wy mi nie mówcie, towarzyszu, że zło to jest coś, co się nabywa jak jakąś chorobę, syfa łapie się na drugich, zło siedzi w nas od samego początku, każdy z nas się rodzi potworem i niech mi ksiądz nie pieprzy o wielkiej miłości Boga. Stworzył nas, czy nie? No więc! Już za to samo należy mu się kula w łeb! — Człowiek ma od samego początku związane ręce, nogi też skute, i żeby jeszcze był sam, nie! przykuty do drugiego! i tak jeden do drugiego w nieskończoność, ot ludzkość! i jest tu czym się chwalić? — Życie, proszę zebranych, to jest kurwa, na której łapie się nieuleczalnego syfa, oto konkluzja, do jakiej doszedłem po wnikliwym zbadaniu sprawy, po wieloletnich studiach, konkluzja zresztą poparta najtęższymi głowami w historii myśli ludzkiej. — Nikogo*

nie prosilem, żeby mnie sprowadzał na ten zasrany świat, więc niech się teraz mnie nie czepiają, dlaczego ja? dlaczego akurat ja? wszyscy są tacy sami, kwestia przypadku, szczęścia, jednemu noga się powinie prędzej, drugiemu później, wielka filozofia! — *Zwykła komedia, towarzyszu Ostuda, ale musicie ją odegrać. Po kilku miesiącach wyjdziecie na wolność, pošlemy was gdzieś w Białostockie lub na Rzeszowszczyznę, będziecie się tam mieli jak, nie przymierzając, u Pana Boga za piecem. Za rok, za dwa wróćcie sobie na obecny szczebel.* — No tak, ostatecznie Radkiewicza nikt pod sąd nie stawiał, zrobiliśmy go, czym to myśmy go zrobili? pojechał na placówkę zagraniczną, grunt żeby ludziom na pewien czas zejść z oczu, no tak, to Radkiewicz, a ja? na Rzeszowszczyznę! a potem do garażu pod mur! już ja wiem, jak ta Rzeszowszczyzna wygląda! dobra zupa, miał rację, a nie żeby człowieka od razu wykańczać, Chryste Panie! jak sobie pomyślę, jak sobie przypomnę! — *Karolku, czy widziałeś dzisiejszą gazetę? Jest artykuł o tobie! Z fotografią! Popatrz, jaki przystojny chłopak.* — *Pokaż! Rzeczywiście, popatrz, popatrz! Na całą stronę! „Reportaż wzruszeniem pisany”.* Ale tytułek, co? To ten, co tu był w zeszłym tygodniu? Podziwiam faceta, w pijanym widzie cokolwiek zapamiętać. Pod stołem leżał, dwóch kelnerów trzeba było zaprząć do roboty, żeby go do samochodu wsadzili. Nie chciał iść. Na dziewczynki mu się chciało. Ciekawe co tam takiego o mnie napłótl. „Najdżryce, powiat, jakich w Polsce całe setki. Mało się o nich wie, mało pisze. A przecież właśnie tu, na tej szeroko rozlanej ziemi, tak polskiej jak obrazy Chełmońskiego, toczy się codzienna zażarta walka o ugruntowanie Władzy Ludowej, o nadanie tej ziemi nowego piętna pięknej socjalistycznej przyszłości. Tu toczy się bój śmiertelny o zapewnienie prostym ludziom, klasie robotniczej i pracującemu chłopstwu idącemu z nią w jednym potężnym szeregu robotniczo-chłopskiego sojuszu, spokoju, aby jeszcze mocniej, jeszcze głębiej mogli się wczepić w tę starą polską ziemię, na nowo ją przeorać ku dobru matki naszej, Polski Ludowej. Czym bardziej rośnie i potężnieje Władza Ludowa, tym bardziej — jak to mądrze nas o tym uczy genialny Stalin, wielki przyjaciel narodu polskiego — tym bardziej wzmaga się opór resztek zbankrutowanego kapitalistycznego świata. Ksiądz z ambony nawołujący do oporu, szeptana propaganda znajdująca swój początek na falach eteru płynących z ziejących do nas nienawiścią szczekaczek zagranicznych, a



nierzadko również w mrokach konfesjonau, wreszcie sabotaż, mord skrytobójczy — każda metoda jest dobra, jeżeli tylko zdoła ugodzić w młode ciało rosnącej Polski Ludowej. A jednak mimo tych trudności, mimo nieustającej kreciej roboty wroga zasilanego amerykańskimi dolarami, ludzie pracują, na podwórzach naszych szkół rozlega się szczebiot dzieci łapczywie garnących się do wiedzy, wieczorem od pół niesie się szept zakochanych. Jeśli tak się dzieje, to jest to zasługą tych naszych towarzyszy, którzy nie szczędzą trudu, nieprzespanych nocy, czasem i własnej krwi, aby żywym torować drogę do życia, aby się rozwijało i wzmacniało ku chwale naszej pięknej Ludowej Ojczyzny. Miałem szczęście poznać jednego z nich. Myśląc o nim jakieś wielkie wzruszenie łapie mnie za gardło. Oczyma pamięci widzę jego szczerą polską twarz, jego szerokie jasne czoło, jego zmęczone, a przecież blaskiem jakiejś tajemnej radości rozjarzone oczy, jego lekko przygarbioną postawę człowieka ciężko kroczącego przez świeżo zaorane pole. Mówię o tow. Karolu Ostudzie, szefie Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Najdrzycach, mieście powiatowym. Nieśmiały, cichy, łagodny, promieniujący jakąś wewnętrzną szlachetnością, tow. Ostuda niechętnie mówi o sobie, boć przecież mówić o sobie, to mówić o tym, co tu dokonała Władza Ludowa, której wspaniałym uosobieniem jest właśnie tow. Karol, bohater pozytywny na szczeblu powiatowym wielkiej, czekającej jeszcze na swoje pióro epopei, szczodrym pędzlem malującej początki Polski Ludowej nad cicho szemrzącą Najdrą”. — Ładnie to napisał, nie sądzisz? Zobaczysz, jeszcze dostaniesz order Bohatera Pracy Socjalistycznej albo Budowniczego Polski Ludowej. — Chyba mi się należy. — *No i dali, a jakże! sam Cyrankiewicz dał.* — „Drodzy towarzysze! Drodzy przyjaciele! My wszyscy, cała klasa robotnicza, chłopci, inteligencja pracująca, dziatwa szkolna, my wszyscy, cały naród polski, myślimy dzisiaj z jakąś szczególnie ciepłą miłością o waszym zaszczytnym i trudnym znoju, o waszej ofiarności w pracy nad utrwaleniem bezpieczeństwa wewnętrznego w naszym kraju, o znoju, bez którego przecież, nasz wysiłek, nasza praca, praca całej polskiej klasy robotniczej, chłopów, inteligencji pracującej, wysiłek tych naszych najmłodszych pokoleń, wliczając w to również i to pokolenie, które jest rówieśnikiem samej Polski Ludowej, matki naszej ukochanej, a które my, Partia, nasz rząd i całe społeczeństwo otaczamy szczególną opieką, cały ten wysiłek, powtarzam, byłby daremny bez

waszej ofiarności, bez waszego samozaparcia, bez waszego, tak przez nas cenionego, całkowitego poświęcenia się naszej wielkiej sprawie budownictwa socjalistycznego. Przecież, kochani bezpieczniacy, jeśli pozwolicie, że was tak pieszczotliwym nazwę słowem, jesteście tym, co naród polski ma w sobie najszlachetniejszego, najwznieślejzego, najpiękniejszego, najświętszego. Jesteście, wy, kochani bezpieczniacy, duszą i sumieniem narodu polskiego. Przecież to wy zapewniacie nam wszystkim, klasie robotniczej, chłopom, inteligencji pracującej, naszej dziatwie szkolnej, spokój tak bardzo nam potrzebny do coraz lepszej, coraz bardziej wydajnej pracy. Jesteście zbrojnym ramieniem Władzy Ludowej, jesteście naszą tarczą ochronną i dlatego my wszyscy, cały nasz naród, cała klasa robotnicza, chłopci, inteligencja pracująca, dzieci wreszcie, wliczając w to również i to pokolenie, które jest rówieśnikiem naszej umiłowanej Polski Ludowej, matki naszej najlepszej, my wszyscy, powiem po prostu, po robociarsku, tak bardzo was kochamy, z takim wzruszeniem o was mówimy, wciąż tak wielką was otaczamy. Niech żyją najlepsi synowie narodu polskiego! Niech żyją nasi kochani bezpieczniacy!" *A jakże! dat! własnymi rękami do piersi przypiął, ten obrzękły paskudny kark, toju na cztery palce, takiego wziąć na warsztat, byłoby z czego pot wyciskać, a teraz łasy na moją krew, ja bym mu kurację odtłuszczającą zaaplikował, no! no! a teraz mnie zakatrupić jak szczura, zdeptać, z błotem mieszać, do rury kanalizacyjnej wrzucić, wykreślić z rejestru urodzin, żeby się nawet pamięć po mnie nie została, żeby nikt nigdy nie wiedział, że był taki, Ostuda się nazywał, działał, walczył, ponosił ofiary, krew serdeczną ronił dla dobra, nic nie ma po mnie zostać, na nawóz przerobią, glebę ojczystą, kurwa, mną użyźnią, jakby im mojej krwi, mojego potu jeszcze było za mało. — Pan szanowny zobaczy, sznycelek taki, że palce lizać, symfonia na podniebieniu, o, proszę! A wódeczka? Niewiele już wódeczki w karafeczce zostało, może podać nową? — Może być, czemu nie? wódka myśli popędza, może być jedna, klaruje spojrzenie na skomplikowane sprawy życia i śmierci, mogą być dwie, na rozległe dziedziny zagadnień eschatologicznych, ontologicznych i onanicznych, wsio rawno, dobry sznycelek, symfonia na podniebieniu, poetycznie to powiedział, kelner, poeta! wieszcz! nazywam się milion, bo za miliony cierpię i płaczę, może nie? może nie? kto mówi, że nie? niech wstanie! niech ja spojrzę na tę jego wredną mordę, niech ja się temu*

zdraycy przypatrzę, niech ja go sobie zapamiętam, zakarbuję w głowie na wieczne czasy, ty puchu marny, ty wietrzna istota! miał rację, on mistrz! wietrzna istota! już wtedy, wszystkie kurwy, tylko parę spodni zobaczą, już się wiercą, już je tam świerzbi, ja wiem, towarzysze, nikt nie wie lepiej, niż ja, gdybym opowiedział ile się nacierpiałem, ech, nikt by nie uwierzył, wyśmialiby się, że pokornie przez tyle lat, palcem by na ulicy wytykali, jeszcze bardziej by rogi przypinali, a ja nic, bom kochał serdecznie, głęboko, kochał i cierpiał za miliony, i zagryzał swój ból, bo tak trzeba, bo do celu! bo ludzkość, kurwa, w marszu! bo ja wierny do końca, do ostatniej kropli krwi, semper fidelis, do ostatniego naboju za naszą i waszą, kurwa, ku wiecznej chwale, dla ojczyzny to i śmierć nie przykra, kurwa, *jam nie z soli, ani z roli, jeno z tego, co mnie boli*, kurwa, z tego co mnie boli, co mnie boli, mnie boli, boli, kurwa ich — Szanowny pan zasnął? — Nonsens, proszę pana, niech mi pan tu nie bredzi! Kto zasnął? Ja zasnąłem? Ja? — Tak, proszę szanownego pana. Nie przeszkadzałem szanownemu panu, bo oszczędnie człowiekowi trochę snu się należy, ale pan już sobie tak drzemie sporą chwilę, dobrze, że ruchu o tej porze nie ma, ale już wkrótce zacznie się urwanie głowy, pan wie, jak to jest wieczorem, więc może lepiej byłoby, żeby pan, bo pan wie, jak to dziś jest, ludzie zaraz krzyczą o książkę zażaleń, potem trzeba się tłumaczyć, same nieprzyjemności, pan rozumie, prawda? — Odczep się pan, wcale nie spałem, na chwilę utonąłem w myślach głębokich i bolesnych, nie wolno? Nie płacę? — Ja wcale nie mówię, że pan nie ma prawa, dla nas klient święta rzecz, ale zakład, obawiam się, nie jest do spania. — Odczep się pan, grzecznie mówię. Co pan się tak głupio na mnie patrzy? Pijany jestem? Awanturę robię? Krzesła łamię? Turbuję się? — Ja tego wcale nie mówię, ale — To spierdalaj pan! — Ja sobie wypraszam! Ja nie pozwolę! Co pan sobie myśli! Jestem może tylko kelnerem, ale mam swoje prawa, swój honor i nikt nie może mi ubliżyć. Ja zawezwę kierownika, ja złożę zażalenie! Skończyły się te czasy, żeby można było bezkarnie — Zawołaj se kogo chcesz, ale potem, najpierw drańuj po jeszcze jedną setkę, zrozumiano? — Z nimi tylko w ten sposób, batem! nahajką! innego języka nie rozumieją, łobuzy! Polaczki! w kibitki i na Sybir! psiakrew, czego się facetka na mnie gapi? rozporek mam rozwarty? odwróciła się, jej szczęście, bo jeszcze bym jej przygadał, lokal jest

do jedzenia, a nie do gapienia się na drugich, jak się chce gapić na drugich, to niech sobie — Dobry chłopak z pana. Nie można było tak od razu? Teraz może mi pan również podać rachunek i potem ja cichutko, na palcach, nawet buty zdejmę, wymknę się z lokalu. Pana zdrowie! Resztę proszę sobie zatrzymać. — Dziękuję szanownemu panu. Może pomóc? — Zostaw pan, ręce precz od Korei! Jeszcze człowiek zupełnie nie zdziadział, Dowidzenia szanownej pani! Popatrz pan, jakie to dziś maniery, nawet głową się nie odkłoni, wielka dama! nawet uśmiechu nie prześle, panna Andzia! „Dziś panna Andzia ma wychodne, dziś ona sama, wielka dama!” Poczekaj, już ja jej przemówię do rozumu. Pani szanowna ma pretensje? — Niech pan w tej chwili tego pana stąd zabierze i niech nie zaczepia porządnych ludzi. Idź z Bogiem, człowieku! I w kimono, dobrze panu zrobi. — Zaczepia? Kto zaczepia? Ja? Pan słyszy, panie starszy? Widzę, że szanowna pani mnie nie lubi, antypatia od pierwszego wejrzenia, ha! zdarza się i tak, trudno, nie narzucam się, odepchnięty przez ludzi, zapomniany przez Boga, kłaniam się pani głęboko, do nóżek padam. Dowidzenia, kwiecie dziewiczy! Zostaw pan! — Ale do szatni trzeba, płaszcz włożyć. — Zdejm rękę, bo uderzę! Co to ma znaczyć takie spoufalanie się? Kwiat dziewiczy! Pan słyszał? Taka ona dziewica, jak pan, czy ja prawiczek. Nie zliczyłyś ile tego w sobie już miała. Swoją drogą nie brzydka, nie można powiedzieć. „Dziś panna Andzia ma wychodne, dziś ona sama wielka dama!” Przespałyś się z nią, co? Prawdę mi tutaj gadaj, przespałyś się? — No, już dobrze, dobrze, tylko ciszej! Ciszej! I niech pan nie śpiewa, bardzo pana proszę. — Co? Nie podoba się mój głos? — Podoba się, podoba, o Jezu, co za człowiek! Chodź pan, teraz tylko płaszcz wdziejemy, no! Ostrożnie teraz, bo stopnie. Ot, przewrócił się. A mówię, iść ostrożnie. Może zawołać taksówkę? — Odczep się, ojciec dobrotliwy, bo w pysk dam, do ciurmy wsadzę, na haku za język powieszę. — Popatrz, Felek, co to za bydlę, znowu leży. Weź go za jedno ramię, ja za drugie, ostrożnie, bo nam szyby powybijają! A teraz w dupę gówniarza i niech się wlecze do domu, jak się pić porządnie nie nauczył. Paszo! — Wyrzucili człowieka, co im zrobiłem? kopniaka dali, z lokalu wyrzucili, zelżyli, opluli, potraktowali jak psa, gorzej, jaki porządny człowiek? wsadzę, zobaczysz, wsadzę i zgnijesz! Zobaczysz, zgnijesz, i ani ojciec, ani matka, ani żadna rzecz, która jego jest, kto spał? ja spałem? skuję

mordę, jak mi Bóg miły, skuję mordę. — *Nauczysz się respektu dla przedstawiciela Władzy Ludowej. Władzę Ludową pohańbił, towarzyszu prokuratorze! Plugawymi słowami obrzucił, do buntu nawoływał, żeby nas powywieśzali, wołał, żeby z nami na latarnie, towarzyszu prokuratorze, mam świadków, wszystko słyszeli, potwierdzą.* — Błoto na rękach? deszcz? skąd błoto? coś mi się przywidziało, nie mogli grzecznie wyprowadzić za drzwi? nie mogli? wcale bym się nie pogniewał, rozumiem, gość trochę za dużo wypił, zresztą, może wcale nie za dużo, a po prostu zesłał, ludzka rzecz, po co od razu uciekać się do gwałtów? trzeba przecież być człowiekiem, nie? jakiś szacunek mieć do samego siebie, ale tak potraktować mnie, kto to widział, jak gnoja jakiegoś najgorszego, wcale nie jestem pijany, co? pani nie wierzy? proszę popatrzeć, przejdę po tej linii, dobrze? proszę patrzeć, jeden krok, postawiłem jeden krok, czy nie? no więc! teraz drugi, proszę, a zaraz oskarżają człowieka, że, przepraszam, potknąłem się, chodnik jakiś nierówny, jeszcze raz. — Coś się pan tak zagapił na mnie? Człowieka pan nie widział? Spierdalaj pan, już! — Cyrk sobie znalazł na ulicy, jak chce cyrku, to niech sobie idzie do, w głowie mi kołuje, trzeba się gdzieś oprzeć, upadłem jak mnie z Kameralnej wykopali, zapamiętam, w notesie sobie zapiszę, ja wam! krew? z nosa krew? dam ja im za swoje! bohatera pracy socjalistycznej, *jesteście sumieniem i duszą narodu polskiego*, właśnie, sumienie i dusza, i oni mnie z Kameralnej, mnie, który zawsze z oddaniem, a jakże, z samozaparciem, mam odpowiednie zaświadczenia, zaraz pokażę, sprawa się wyjaśni, ja spisku nie knułem, inni, mam dowody takie, że mucha nie siądzie, spiszek, kuchnia Felek, knują, a mnie na kozła ofiarnego, co, źle mówię? pani się śmieje? hej! pani! z pijanym nie będzie się zadawała, jeszcze kto zobaczy, potem poruta, ale trzeba się wziąć w garść, jesteście na ulicy, towarzyszu Ostuda, ludzie patrzą, nie wolno robić wstydu Władzy Ludowej, właśnie, a z Kameralnej mnie wykopali, a ja wtedy tamtemu, masz łopatę, kop sobie grób! zaraz, gdzie ten kelner? już ja mu! gdzie tędy do Kameralnej? panie! panie! co za ludzie! nie spojrzysz nawet, a jak spojrzysz to tak, jak bym był ze szkła, tak dziś traktują człowieka, tegośmy się doczekali, byle kto gębę sobie nami wyciera, ze wzruszeniem o mnie w gazecie, bohater pozytywny powiatowej epepei, fakt! pan nie wierzy? zaraz panu pokażę, tylko w kieszeni, gdzie to ja? nie mam przy sobie, w domu zostawiłem, pan uwie-

rzy na słowo? wspominam go z głębokim wzruszeniem, tak o mnie pisał, z głębokim wzruszeniem, bohater pozytywny, i fotografia była, Basiuli się bardzo, a jaki przystojny! Boże drogi! cmokała z zachwytu, kurwa stara, fakt! wiem co mówię, z byle kim, aby para spodni, a w spodniach klejnot, chce pan, to pana skontaktuję, nie chce pan? dlaczego? śmieje się, dureń, widzi pan, co to dziś za naród! — Jak pan tu będzie na ulicy takie brewerie odstawiał, raz dwa znajdzie się milicjant i do mamra pana wsadzi, słowo daję, zobaczysz pan! — Kto wsadzi? Kto się odważył powiedzieć, że wsadzi? Ja wsadzę! Wszystkich powsadzam, do jasnej ciężkiej Anielki, krety do odbytnicy powpuszczam, kał własny zreć każę, gnój taki, mnie będzie groził, nikt nie wsadzi! ja wsadzę! odejść pan, pókim dobry, bo — *Powiadacie, towarzysze, że komedia? Że po kilku miesiącach wypuscicie? A jaką mi dajecie gwarancję, że nie utłuczecie jak wieprza w chlewniku? Najpierw cacy cacy, a potem człowiek ziemię gryzie. Znam się na tych sztuczka-  
kach aż za dobrze, żeby się na nie dać nabrać. Wykluczone! Nie zgadzam się! Nie pójdę na żadne takie układy! Na żadne targi! Jestem niewinny! Słyszycie! Żądam tylko sprawiedliwości! Nic więcej. Nie, dziękuję, adwokata nie potrzebuję, będę się sam bronił. — Wysoki Sądzie! Mój klient wyraża jak najgłębszą skruchę za popełnione przestępstwa i prosi o odpowiednio wysoki wymiar kary. Mój klient jest bowiem zdania, że kara, jaką Wysoki Sąd zechce mu łaskawie wymierzyć, powinna być przestrogą dla tych towarzyszy, których słabość ideologiczna mogłaby doprowadzić do odstępstwa od jedynie słusznej linii partyjnej, do zejścia na pozycje wroga, na manowce antyradzieckiego nacjonalizmu. — Nie, dziękuję serdecznie, to byli ukraińscy nacjonalisci, sam się obronię, bandyci, nie miałem żadnych skrupułów, dlaczego miałbym mieć? byli zdrajcy, czy nie? no więc co z tego, że kobiety i dzieci? zaraz trzeba tępić tam, gdzie się znajduje, całą wieś? a czemu nie? dzieci, dzieci, wielki krzyk, że dzieci, najlepiej zło tępić w zarodku, zresztą, tam gdzie się drzewo rąbie, ostatecznie w bólu i krwi rodziła się nasza władza, teraz, panie, im wstyd, chcieliby zakłamać naszą przeszłość świetlaną, kurwa, wolność przynosimy wam na bagnietach zwycięskiej Armii Radzieckiej, w pocie, krwi, zbrodni, fałszu, teraz, wiesz pan, nieprzyjemnie im, teraz oni wszyscy wydelikatnieli, wstydzą się, woleliby o tym nie myśleć, teraz tylko dyrektor-  
skie, ministerialne gabinety, dywany, boazerie, sekretarki,*

wyjazdy za granicę, ja wiem, oj, ja wiem, panie, ja patrzę i boleję. — Wierzę panu, ale narobi pan sobie ambarasu, jeśli pan tak tu będzie dłużej stał i takie rzeczy opowiadał. Ludzie przystają, słuchają, nigdy nie wiadomo kto się wśród nich kryje. — Niech słuchają! Niech się raz prawdy dowiedzą! — Jeszcze ktoś milicjanta sprowadzi i będzie draka. Po co się narażać? Chodź pan tu do kawiarni, usiądzie pan, napije się kawy, zaraz panu przejdzie. Zaprawił się pan trochę, to wprawdzie nie hańbi, bo człowiek zawsze w dobrej intencji pije, ale po co się narażać? — Nie chcę, nigdzie nie pójde, milicji się nie boję. Niech spróbują! Ja im pokażę! Powywieszam, zgnoję! Nie takim chojrakom dawałem radę. Mnie, panie, nikt nie wystraszy. Od straszenia to ja! Mnie, panie, jak wchodziłem na salę, to, panie, wszyscy wstawali, tak, panie, respekt przede mną czuli, bo jak nie, to ja już im! Co to jest? Krew? Skąd krew? — Upadł pan gdzieś na twarz i się pokaleczył. — Dużo krwi? — Dużo. Nos pan sobie rozharatał. — Trzeba umyć. — Nareszcie głos rozsądku, gdzie pan się tak urządził? — Byłem na obiedzie w Bristolu. Pan zna Bristol? Zagraniczna plutokracja. Jak swój wejdzie, to, panie, służba na niego spode łba. Życie, panie, to jest kurwa, na której łapie się nieuleczalnego syfa, fakt, panie, takiego syberyjskiego. — Tak, tak, wiem, włąz pan do środka. Pani droga, kolega miał wypadek, zaprowadzę do toalety, niech się pani nie martwi, nie pobrudzimy, własną osobą gwarantuję. Trzymaj się pan prosto! Dziękuję szanownej pani. Widzisz pan, jacy ludzie dobrzy, zawsze w nieszczęściu przyhołubią, pomogą. Pochyl pan głowę, przemyję panu mordę. Boli? A po co pan się walił na ziemię? Na nogach źle się stało? Już dobrze, popatrz pan do lustra, trochę podrapane, ale co tam, nieszczęście się każdemu przytrafi, a jeszcze jak człowiek pod gazem. — Porządny z pana człowiek, jak Boga kocham, dziś rzadko takiego, tak pomóc, tak gębę moją wredną przemyć, a tamci, panie, w dupę dali, plugawymi słowami obrzucili. Uścisnę pana, buzi! — O Jezu! Udusi pan! — Nie uduszę, kochany człowiek, ze świecą takiego szukać. Dziś, panie, każdy by tylko drugiego chciał zniszczyć. Zło, panie, nie ma początku, nie ma końca, ja wiem, ja te rzeczy studiowałem, skąd się bierze zło? No? Bo Pan Bóg się mści za zło, jakie sam w sobie odkrył, fakt, nie wierzy pan? My to przynajmniej możemy na niego kłać, bo od niego to wszystko się bierze, ale on? Na kogo? Na siebie? On nie ma nikogo, więc się na nas mści, jak drugiemu źle, to i samemu lżej

znosić własne przekleństwo. — Bał byś się pan Boga takie bluźnierstwa mówić. — Prawda w oczy kole. Freud poświadczy. Pan czytał Freuda? — Ja do książek to głowy nie mam. — Jeszcze leci? — Co? — Krew. — Trochę. Ale nos panu spuchnie, nie ma co. Po co się pan pchał do Bristolu? — To nie było w Bristolu. — A mówił pan. — Nieprawda. Proszę mi nie zaprzeczać. — Nie zaprzeczam, jeśli pan mówi, że nie w Bristolu, to nie, ale ja na pewno słyszałem, że w Bristolu. — Nie, nie w Bristolu. — Czy ja mówię, że nie? Mówię tylko, że poprzednio pan twierdził, że — Nie twierdziłem. — Dobrze, dobrze, nie twierdził pan, przesłyszałem się widocznie, bo mnie się zdawało, że w Bristolu. — Nie. Powtarzam, nie w Bristolu! — O rany boskie! Czy jest o co się kłócić? — Kto się kłóci? Ja się kłócę? — Zapomnijmy o tym, dobrze? Ja nic nie mówiłem, pan nic nie mówił. Zacznijmy od początku, dobrze? Gdzie się pan tak poharatał? — W Kamestralnej. — Bójkę pan miał? — Wykopali mnie z lokalu. — Kto? — Kelnerzy. — To nie można było dać po mordzie? — Spiłem się. Wykopali, panie. A fagasowi dałem czterdzieści złotych napiwku. — Po co? Nie szkoda pieniędzy? — Niech zna moje dobre serce, u mnie pieniądze się nie liczą. Do końca życia będzie miał wyrzuty sumienia. Dobrze mu tak. Tak mnie pohańbić? Czy pan wie jak to boli? Czego się pan tak głupio uśmiecha? — Nie głupio. — A jak? — Ze współczuciem. — Nie potrzebuję niczyjego współczucia. — O Jezu, jaki delikatny! Już nie leci, chodź pan. — Gdzie? — Napije się pan kawy. Siadaj pan. Łaskawa pani, dwie kawy, ale żeby były mocne. — Nie! Nie kawy! Pan pozwoli, wybawco, wiem co robię! Proszę nam podać po setuchnie i coś na ząb. A tak, kochany panie, przyjacielu mój najdroższy, ja funduję! Żadne ale! Co się pan! Jest pan moim gościem. Dwie setki! Jak mówię, że jest pan moim gościem, to jest pan moim gościem i sprawa załatwiona. Zrozumiano? Miła pani, jakie to śliczne rączki, oj jej jej, jakie delikatne, a jak pachną, pani pozwoli, dotknę wargami, hołd złożę najuniżeńszy. Może się pani do nas przysiądzie? Służba? No tak. Z samozaparciem, niewzruszenie, z pełnym oddaniem. Dla dobra! Dla dobra i chwały! Pana zdrowie! Jak panu na imię? — Kazimierz. — Panie Kazimierzu! Mnie Karol. Ale normalnie wołają na mnie Karolek. Więc jeszcze raz pana zdrowie, panie Kazimierzu, a im wszystkim na pohybel! Pani Andzia idzie. „Dziś pana Andzia ma wychodne, dziś ona sama wielka dama!”



— Może pan wpłynie na swojego kolegę, żeby się zachowywał trochę ciszej, to jest lokal publiczny, klienci już zaczynają zwracać uwagę. — Dobrze, proszę na mnie polegać. I jeszcze dwie wódki, poprosimy. — Obraziła się. Dziś wszyscy tacy obrażalscy. No to zdrowie! „Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz!” Kochanowski! Wieszcz! „Jam nie z soli, ani z roli, jeno z tego co mnie boli”. Też wieszcz, ale inny, nie wiem dokładnie który, tyłu ich było. „Nam strzelać nie kazano, wstąpiłem na działo, dwieście armat grzmiało”, coś takiego, nie pamiętam. Wypijmy bruderszaft. Pan wie, całe życie chciałem mieć przyjaciela, pan nie wie, jak to boli, jam nie z roli, ani z soli, coś mi się pomieszało. Nigdy prawdziwego przyjaciela. — Czemu? — Nikt mnie nie lubi. Zrażam do siebie ludzi. Fakt! A czy zły ze mnie kumpel? — Dobry! — Nō, właśnie, bratnia dusza! Zaraz poznaję. Wypijemy bruderszaft. Chyba, że pan nie chce. Jeśli pan nie chce, to niech pan powie, bo może pan nie chce i — Wypijemy. — Chce pan? — Pewnie. — Wódki! Wódki! „Młodości, podaj mi skrzydła, niech nad martwym wleczę światem w martwą dziedzinę ułudy!” Pani Andziu! Wódki! — Może ja lepiej zamówię? Jeszcze dwie wódki prosimy i niech pani wybaczy mojemu przyjacielowi, jego żona dzisiaj wychodzi za mąż, stąd ta zbyt może hałaśliwa radość. — Jeśli panowie się nie uspokoją, będę musiała prosić o opuszczenie lokalu. — Pani będzie spokojna, już ja mojego przyjaciela upilnuję. No, więc, Karolku, przepraszam, obywatelu, przecież jeszcześmy nie wypili bruderszaftu, co za poufność z mojej strony. — *Obywatel? Gnój jesteś, nie obywatel. To żołnierz radziecki po to za nas krew swoją serdeczną przelewał, żeby teraz wśród nas takie zgniłki się znalazły, co by pomnik wdzięczności, jaki mu naród wystawił, w powietrze dynamitem wysadzali? A czy ty wiesz, obrazo rodu ludzkiego, że cięższej zbrodni już nie mogłeś popełnić jak obrazić żołnierza radzieckiego, naszego wyzwoliciela i przyjaciela?* — Żadna poufałość, panie Kazku, wypijmy. — No to już. O cholera, nie goliłeś się dzisiaj? — Mam taki paskudny zarost, powinienem się właściwie golić dwa razy dziennie. Basiuła też taka delikatna, nie dopuści do siebie, jeśli się przedtem nie ogolę. Mówię ci, Kazek, żyć się nie chce. — *Towarzysze, macie przed sobą człowieka, który całe życie służył szlachetnym ideałom Partii. Nie zapominajcie o tym zastanawiając się nad tym, jaki wydać na mnie wyrok. Mimo, że stoję przed wami w*

*roli oskarżonego, jestem nadal człowiekiem partyjnym i jeśli zażądacie, abym ofiarą krwi zadokumentował moją wierność dla Partii* — Nie mają prawa. Kazek, jesteś mój druh, powiedz, że nie mają prawa. — Nie mają — Pani Andziu! — Jeśli pan się w tej chwili nie uspokoi — Karolku, daj spokój, ja załatwię. — Właśnie, nie mają prawa takiej ceny żądać ode mnie, inni płacili, no to co? dlaczego ja też? po co im moja śmierć? co przez to udowodnią? zawsze się coś takiego znajdzie, co można będzie udowodnić, Niecałego trzeba było wtedy rozwalić, nigdy mu nie ufałem, ktoś inny znalazłby się na jego miejscu, świat jest zapluskwiony, wyróżnać wszystko, cały ten interes wysadzić do powietrza! — Wiesz, co to jest życie? — Kurwa na której łapie się nieuleczalnego syfa. — Inteligentnie to powiedziałaś, Ty, widać kształcony człowiek. — Chodziło się do szkoły. A ty? — Kilka lat w gimnazjum, potem mnie wykopali. Profesor sprowadzał sobie dziewczynki, złapałem go kiedyś na tym. — *Nie mów mi o miłości, wiem jak u was miłość wygląda. Ona też mówiła, że kocha, a potem ją zdybałem jak się z tym profesorem ruchała. Wy nie macie pojęcia co to jest miłość. Ruchać się, o tak! To to tak! Ale miłość?* — Trzeba było widzieć, jak ten stary przyk trzymał ją sobie na kolanach, sapał jak ten pies, gały mu z twarzy wylażyły, ślina ściekała z ust, potworne! Ale kobietom wszystko jedno. Aby był palant. — No, nikt z nas z wiekiem nie pięknieje. A tę kelnerkę to byś sobie chętnie tego, co? — Ba! Jędrna babka, tak się w to łono wtulić, czemu nie? — A może, posłuchaj, Karolku, mam tu taką jedną metę, facetka ładna, śliczna figura, trochę droga, ale czysta, zna się na robocie, druta też pociągnie, w ogóle wszystko. Pojechalibyśmy? — Dlaczego by nie? — Tylko u mnie z forszą — O forszę się nie martw, sprawa załatwiona. Pani Andziu, rachuneczek! Gdzież ja te pieniądze? Weź ode mnie, Kazek, bo u mnie w głowie karuzela. — Ale ty ładowany facet! Same setuchny! Pani, Andziu, to my już sobie pójdziemy, ale na drogę nam pani jeszcze literka do kawałka gazety zawinie, dobrze? Oprzyj się, Karolku, o mnie, dojdziemy do rogu i poszukamy taksówki. O cholera, nie potrafisz iść prosto? — Nie klnij na przyjaciela! — Nie kłamię. — Kłamię! Powiedziałeś cholera. — Istotnie, ale to wcale nie świadczy, że kłamię na ciebie. Poczekaj, oprzyj się o mur, rozglądnę się za taksówką. — A wrócisz aby? — Karolku! Jestem twoim przyjacielem, czy nie jestem twoim przyjacielem? — Jesteś. — No więc!

Tylko mi się nie przewróć! Przewrócisz się? — Nie przewrócę się. — Na słowo honoru? — Na słowo honoru. — No to lecę. A nie przewrócić mi się! — *Wysoki Sądzie! Niniejszym odwołuję zeznania, jakie złożyłem w śledztwie. Zostały na mnie wymuszone środkami fizycznego oddziaływania. — Co to ma znaczyć? Jak oskarżony może twierdzić, że zostały wymuszone, skoro sam oskarżony podpisał oświadczenie, że złożył je dobrowolnie oraz że zachowanie się władz śledczych było nienaganne? — Napisałem, ale teraz odwołuję. — Sąd zarządza godzinę przerwy. Proszę odprowadzić oskarżonego z powrotem do celi. — Nie! Nie!* — Chodź! Jest taksówka. — Dokąd? — Zapomniałeś? Przecież mówiłem, mam tu taką metę. — A! — Pakuj się do środka. Zobacysz, babka taka, że tylko palce lizać. — *Pani Andziu, wyobraźmy sobie, że jesteśmy zakochani w sobie. Proszę nie wspominać o pieniądzach. Jest pani moją ukochaną, moim serduszkim najstodszym, muszką moją, kotuniem moim pieszczotliwym.* — Dokąd jedziemy? — Zaczynasz nudzić, Karolku. Już raz mówiłem, do Madzi odwalić wolę boską. Zaraz będziemy na miejscu. — Twoja głowa w tym, żebyśmy dojechali. Jeśli ci się wydaje, że wywleciesz mnie gdzieś na pustkowie i tam, wiesz, tylko dlatego, że jestem pijany, to ja — Karolku, za kogo ty mnie masz? Nie ufasz mi? Jeśli nie chcesz, to nie pojedziemy. Kierowca! — Zostaw, zostaw! Po co się zaraz obrażać? — No bo jeśli mi nie ufasz — Kto mówi, że nie ufam? — Sam powiedziałeś. — Co powiedziałeś? — Że mi nie ufasz. — Ja powiedziałeś? — Powiedziałeś! — Kłamiesz! — Kto kłamie? Ja kłamię? Powtórz to jeszcze raz! — Panowie, zdecydуйте się raz wreszcie, jechać czy nie? — Od ciebie, Karolku, zależy. — Ja od samego początku byłem za. — No to jedźmy. Przepraszam cię, Karolku, że się uniosłem. — To ja ciebie przepraszam. Ja zacząłem. — Wcale nie, ja zacząłem, przyjmuję to na siebie i bardzo cię przepraszam, ale miałem dziś piekielny dzień. Od Annasza do Kajfasza. Nigdzie żadnej sprawiedliwości — *Wasze postępowanie, towarzyszu, jest wysoce nierozsądne. Czy nie lepiej je zmienić? Jeszcze jest czas. Umówiliśmy się przecież, że będziecie z nami współpracowali, a my już ze swej strony postaramy się, żeby sprawa wzięła odpowiedni obrót. Za dwa miesiące będziecie znowu na wolności. Czy warto wobec tego robić tyle niepotrzebnego szumu? — Bili mnie. Rozpalonym pogrzebaczem przypiekali stopy. — Zawracanie głowy z głupim pogrzebaczem. Nie trzeba było od*

razu ruszyć po rozum do głowy? Jeszcze macie czas. Więc? — Nie wierzę wam, Srokoszowi też obiecywaliście, że nic mu się nie stanie, a jednak wyrok wykonano. — Przyszedł nakaz z góry, z samego Biura Politycznego. — Jaką macie pewność, że i ze mną nie będzie to samo? — No, nie przesadzajmy, Ostuda. Srokosz to była jednak figura! Nie przesadzajmy, dobrze? Wasza sprawa to jest drobnostka, którą my tu załatwimy we własnym zakresie. — Nie. — Co znaczy nie? — Nie pójdę na to. To wszystko mydlenie oczu. — Ano wobec tego nie pozostaje nam nic innego, jak uciec się do innych sposobów perswazji. — Nie! Nie! Nie!!! — *Czego się drzesz? Najpierw chciałeś, teraz już nie? Strach cię przed dupą obleciał?* — *Co? Co? Przepraszam cię, Kazek, mam straszny katzenjammer w głowie.* — Krzyczysz jakby cię ze skóry obdzierano. Opamiętaj się, człowieku, na dziwki jedziemy, nie na tortury! — Co ty wiesz, Kazek, co ty wiesz! Życie to jest, ot, dmuchniesz i nie ma. Czasem jeden podpis na papierku wystarczy, wierz mi, ja wiem. — Daj mi trochę pieniędzy. Za taksówkę trzeba zapłacić. — Gdzie jesteśmy? — Co się martwisz? Na miejscu. Tędy, trzymaj się mnie, bo tu ciemno, jak u murzyna w dupie. No, uważaj, człowieku, nie będę cię ciągle z ziemi podnosił. Uważaj, stopnie! Dwa piętérka. Tylko ciszej! Na miły Bóg, chcesz, żeby nam kto wiadro pomyj wylał na głowę? Pani Helunia wybaczy, kolega się potknął. Jak zdrowie szlachetnej pani? A małżonka? Widzisz, narobiłeś tyle hałasu, już ludzie zaczynają głowy przez drzwi wystawiać. Jeszcze tylko kilka stopni. Zmachając się? Zaraz odpoczniesz. Naciśniemy dwa razy. Już idzie. Dobry wieczór, Madziu. — Ach, to ty! — Byliśmy w okolicy, więc sobie pomyślałem, że dobrze byłoby odwiedzić, pobawić się w atrakcyjnym towarzystwie. — Ależ proszę bardzo, ja zawsze bardzo chętnie. Panowie wejdą do środka. — Dziękujemy uprzejmie. Czas dziś nie wesoły, mojego przyjaciela jakaś chandra gryzie, a jakież jest lepsze lekarstwo na wszelkie duchowe dolegliwości, jak nie towarzystwo kobiety miłej, kulturalnej, znającej się na rzeczy i umiejącej wywołać uśmiech błęgiego zadowolenia na ustach nawet najbardziej troskami przywalonego mężczyzny? — Ach, Kazku, po co tyle tej mowy? Proszę bardzo, panowie wejdą, pierwsze drzwi na prawo, tylko cicho, jeśli można prosić, bo pani Skudrowska już śpi. — Zawsze wiedziałem, Madziu, że można na tobie polegać. Pozwól, że ci przedstawię. Mój serdeczny przyjaciel Karolek. — Kłaniam się

nisko. — Mnie również bardzo miło pana poznać. Pano-  
wie pozwolą płaszcze, powieszę w korytarzu. — Madziu,  
myśmy pozwolili sobie przynieść butelkę wódziuchny, ma-  
my nadzieję, że nie poskąpisz nam swojego czarującego to-  
warzystwa przy jej konsumpcji, a przy okazji może i tro-  
chę słoniny się znajdzie, albo kawałek ogórka? Bylibyśmy  
bardzo wdzięczni. — Ależ oczywiście, z wielką chęcią. Już  
wykładam kieliszki, a za chwilę będzie i coś do zgryzienia.  
— Jak, Karolku, ładna? — Niczego sobie. — A zobaczysz  
dopiero potem! Facetka ma pod czterdziestkę, ale ciało!  
Zobaczysz! Z nią nie trzeba się ceregielić, kulturalnie, ow-  
szem, bo ona chamstwa nie lubi, ale bez preludów. Ona  
lubi ten sport i dla niej sama gimnastyka jest ważna. O, już  
Madzia wróciła. Właśnie mówiłem Karolkowi o tobie, wy-  
chwalałem wdzięki, podnosiłem kunszt towarzyski. — Ach,  
same komplementy! Aż się rumienię. Proszę panów do sto-  
łu. Panie Karolku, może tu obok mnie na tapczanie? —  
Porozlewam. Wypijemy na zdrowie uroczej pani domu. —  
Panie Karolku, dlaczego czoło takie pomarszczone? Może  
jeszcze raz, Kazku? Trzeba nam Karolka wyrwać z tej de-  
presji. Za zdrowie i pomyślność pana Karolka! — Niech  
nam długo żyje! — Dlaczego pan taki zachmurzony? Ko-  
biecego ciepła panu trzeba, niech się pan do mnie przytuli,  
dłoń tutaj, o tak, a ja pocałuję w oczka, o, a teraz w ustecz-  
ka. Lepiej? Kazku, nalej jeszcze raz, wypijemy z Karolkiem  
bruderszaft. Bardzo mi się Karolek spodobał i chciałabym,  
żeby dzisiejszy wieczór stał się dla nas początkiem długiej  
i zażyłej przyjaźni. A teraz się pocałujemy. — Sądząc po  
jakości całusa, będzie to bardzo zażyła przyjaźń. — Karolek  
ładnie całuje. — Madzia ładnie całuje. — No, przynajmniej  
się uśmiechnąłeś. Jeśli mi panowie wybaczą, ja się ulotnię  
na kilka chwil. — Prosimy bardzo. No co, klawa babka?  
Zobaczysz jak wróci i rzuci z siebie te fatalaszki. Poszła się  
podmyć. Bardzo kulturalna kobieta. A figura! Zobaczysz!  
Grecka figura! A wewnątrz! Wypijmy jeszcze po jednym  
zanim ona nie wróci. Co tobie się oczy tak wciąż przymy-  
kają? Nie śpij, człowieku, potem sobie pośpisz. Ładny  
ubaw, co? Nie przypuszczałeś nawet, że dzień się tak  
kławo skończy. No, proszę, Madzia! — A panom smutno,  
mam nadzieję, było beze mnie. — Bardzo! Popatrz, Ka-  
rolku, popatrz! Co za ciało! Zawsze twierdziłem, Madziu,  
że jakiś rzeźbiarz powinien cię rzeźbić w białym marmu-  
rze, tylko biały marmur, jakiś alabaster oddałby sprawied-  
liwość takiemu ciału. — Ach, Kazku, znowu te kompli-

menty! Komplimentom dziś, jak widzę, nie ma końca. Usiądę sobie obok Karolka, a Kazek usiądzie tutaj i będzie grzeczny, dobrze? Grzeczny, powiedziałam. I ręce przy sobie proszę, dobrze? O tak, Karolku, rączkę tutaj, ja obejmę za szyję, teraz Karolek popieści Madziunię. Kazku, przesun się trochę na bok i zrób nam miejsce. No, chodź, Karolku! Jeszcze chcesz, żebym cię popieściła? Pieściuch! A teraz już chodź, bo Madziunia chce, żebyś ją kochał. Nie chcesz? Nie możesz? Nie wierzę, taki chłop! Jesteś zmęczony, prawda? Odpocznijemy trochę. Ach, Kazku, co za zachłanny człowiek, no poczekaj, nie możesz chwili, no poczekaj, ach! — Sapie to bydlę, jak wtedy ten profesor, *a może kawaler już za pannami się rozgląda?* wszystko to jest idiotyczne, ja wam dam bramy piekielne! do czego to podobne, włazi jedno na drugie, żeby dwoje dorosłych ludzi, *ach, ty głuptasku, Karolku, ty głuptasku!* takie te podrygi, te nogi zadarte do góry, te jakieś spazmatyczne ruchy, zupełnie niepoważne, *co wyście tam mieli z Wielgockim?* jak można? wyciąć, psiakrew! wyciąć z korzeniami, raz na zawsze byłby spokój, ta to lubi ten sport, widać, Basiulę bym chętnie na miejscu tej kurwy posadził i patrzył jak to z nim robi, jak mogła z takim Niecałym, zapadnięta klatka piersiowa, taki potworek, ten idiotyczny worek między nogami, kobiety nie mają żadnego zmysłu estetycznego, mają? nie mają, słusznie, bardzo dobra odpowiedź, zapiszemy w notesie, *a odejdziesz ty stąd! będziesz mi się tu na takie święstwa patrzył!* kobieta to co innego, jeśli ładna, zgrabna, czemu nie, jest nawet na co popatrzeć, *czy oskarżony w dalszym ciągu podtrzymuje to swoje śmieszne twierdzenie, że w rzeczonym dniu nie odbył spotkania z agentem zachodnoniemieckiego imperializmu?* jakie bzdury! czegoż jeszcze nie wymyślą? z agentem zachodnoniemieckiego imperializmu! *proszę odpowiadać!* na co im to jest potrzebne? kogo przez to kompromitują? przecież żaden rozsądny człowiek w to nie uwierzy, *czy oskarżony nadal upiera się przy tych gołostownych,* nie da rady, kochani, będzie publiczny skandal, trzeba będzie szybko publiczność wyprosić z sali sądowej, oskarżony nawalił, oskarżony wierzga, jeśli ładna, zgrabna, czemu nie, nawet w tych idiotycznych pozach, nawet ta kurwa, lubi ten sport, oj! lubi, lubi! a ja nie mogłem, próbowała, nic, może później, nawet widok tych dwojga, *no, panie Ostuda, mnie jest przykro, ale nie mam innego wyjścia, będę musiał postawić dwie, klasa poświadczy, że sprawiedliwie, ciekawe, bo*

zawsze chciałem, żeby kiedyś być świadkiem takiej sytuacji, nie, uczestnikiem, a teraz, *zaufać nieomylnemu instynktowi klasy robotniczej*, to on nie wie, gdzie dzisiaj bylibyśmy, gdybyśmy mu zaufali? Basiule tak bym tu posadził, niech się z nim rucha, i tylko bym w pysk bił, w oczy pluł, jak-bym ja jej nie wystarczał! specjalnie rozpuściła szlafrok, żebym zobaczył, rozjątrzyć mnie, potem zaraz za telefon i do tego skurwysyna, *Karolek właśnie wyjechał do Warszawy, chcesz żebym przyszedł? tak, na całą noc*, a ja łażę po Warszawie i się męczę, *przyjdę na całą noc, już lecę*, a ja się tłukłem tych kilkaset kilometrów, żeby potem łaźić po urzędach, *nic nie wiem, owszem, coś tam słyszałem*, nikt nic nie wie, cholera, każdy tylko ręce umywa, asekuruje się, zwracanie głowy z tym Wielgockim, jakby tego nie można było załatwić, nie chcą, oczywiście, nie chcą, *sam się bawiłeś, czy wspólnie z kimś drugim? ile razy? o nieszczęsnym grzeszniku!* na umyślnie tak, jasne, chcą mnie wykończyć, pozbyć się niewygodnego świadka, żeby im nie przypominać, że oni też, *Ostuda? on się przeżył, nie potrafi się przystosować*, kłamstwo! potrafi! *zresztą za dużo wie*, a tak! a tak! za dużo wie! wóz rządowy, benzyna rządowa, a ten dorabia sobie na boku, dwie dychy od łebka, a inni muszą jak wół, ale ja im jeszcze, czy mnie kto oszczędza? skończyła się lojalność, jak Kuba Bogu, tak, *no, widzisz, ty głuptasku, nie mogłeś się wcześniej domyśleć?* teraz ja będę oddawał pięknym za nadobne, jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, właśnie, święta prawda, skończyło się podawanie drugiego policzka, bohaterów nie ma, na bohaterach fiołki rosną, *rośnij lilio wysoko jak pan leży głęboko*, wszyscy są bydlacy, aby tylko drugiego zgnoić, co tam, że żona, że rodzina, zgnoić go! kurwa, zgnoić go! — Ależ mnie wymęczyłeś, Kazku, przyjść do siebie nie mogę, oddechu złapać nie mogę, co za buhaj z ciebie! — Ona też, *ach, ty buhaju!* to jest dla nich najważniejsze, żeby buhaj był dobry, jak się nie brzydzić takimi istotami? i że my też musimy z nimi — Zostaw już, Kazku, zostaw! Więcej nie mogę! Serduszek nie pozwala. Później, później. Karolku, dlaczego taki smutny? Pozwól, że sobie głowę położę na twoich kolanach. Poglądź po włosach, pocałuj Madziunię, opowiedz coś o sobie. — *W świetle dowodów jakie przygotowaliśmy, jego wina nie ulega najmniejszej wątpliwości. Nie sądzę, zresztą, żebyśmy mieli z nim jakiegokolwiek kłopoty. To człowiek bardzo nam oddany, dał tego niejednokrotnie dowody i pójdzie na wszystko, co mu zaproponu-*

*jemy. Ręczę, że się na nim nie zawiedziemy. — O sobie? Nie ma nic ciekawego. Zaufałem historii, historia mnie wykiwała. Przegrałem, to wszystko. — Nie rozumiem, Karolku, jaka historia? Jakies brednie. Zostaw historię. Żywa kobieta nie przyjemniejsza niż historia? — Przyjemniejsza? może, ale obydwie jednakowe kurwy. — Karolku, czy ja ciebie nie podniecam? — Ależ, oczywiście. — Więc dlaczego? — Zmęczony jestem. — To może ja spróbuję w ten sposób? — Sam się bawiłeś, czy z kimś drugim? w siarce palić się będziesz, w gorącej smole nurzać się będziesz, serce twoje zwiędnie, niech robi, tylko żeby nie pogryzła, Basiula też tak lubi, ale dzisiaj z tego nic nie będzie, sam się bawiłeś? za dużo wypilem, gdzie ta butelka? schleję się na śmierć, jak już mężczyzna nie potrafi kobiecie dogodzić, żeby tak pod zimny prysznic, potem jeszcze raz spróbować, wstyd, cholera, babka wcale sobie niczego, i tak to ładnie robi, ma wprawę, widać, a tu chłop jak z drewna, postawią człowieka pod ścianę, rozwalą, tyle lat służyłem, czy to jest sprawiedliwość? czy człowiek jest po to, żeby służył historii, a nie historia po to, żeby służyła człowiekowi? — Karolku, co z tobą jest? Nie podobam ci się? — Rób, rób, zaraz będzie wszystko dobrze, zobaczysz. — Odbyłem tu przed Wysokim Sądem spowiedź z całego mojego życia, nie ukrywałem niczego, opowiedziałem o rzeczach, które człowiek nawet przed samym sobą zataja. Moje życie, Wysoki Sąd snadnie to stwierdzi, było od początku do końca związane z Partią, z naszą wielką sprawą. Jeśli tu można mówić o typowości, to powiem, ośmielę się powiedzieć, że jestem uosobieniem naszego ruchu rewolucyjnego. Walczyłem tam, gdzie Partia kazała mi walczyć. Milczałem tam, gdzie Partia kazała mi milczeć. Kłamałem tam, gdzie Partia kazała mi kłamać. Ktoś inny na moim miejscu, mniej zaprawiony w praktyce rewolucyjnej, nie podparty, tak jak ja, wskazówkami teoretycznymi towarzyszy Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina, Chruszczowa, Bieruta i Gomułki, byłby się może w chwilach szczególnie ciężkich i załamał. Człowiek bowiem nie rodzi się komunistą, staje się nim dopiero, jak to słusznie stwierdził towarzysz Lenin, dopiero się nim staje w toku żywej działalności rewolucyjnej. Ktoś inny, powiadam, załamałby się pod naporem skrupułów drobnomieszczańskiego obciążenia, ale ja wytrwałem zawsze do końca. Wyrzuciłem z siebie, wydarłem z korzeniami wszystko, co było we mnie słabe, sentymentalne, zahartowałem swe serce i duszę, nie wahałem się przed żadną —*



zbrodnią? nie! nie zbrodnią! przed żadnym rewolucyjnym czynem nakazanym mi przez Partię. Jestem dzieckiem zrodzonym z łona Partii i wyrok, jaki Wysoki Sąd wyda na mnie, będzie wyrokiem na całą naszą Partię. Taka bowiem jest nieuchronna logika tego procesu. — *Nie podobam ci się, Karolku? Iskry życia nie mogę z ciebie wykrzesać. Czy jestem taka brzydka, Karolku?* — *Jestem* bardzo zmęczony. Miałem straszny dzień. Lepiej już sobie stąd pójde. — O nie! Nie pozwolę! Przytul się do mnie, pocałuj, popieść mnie przynajmniej. — Szkoda, facetka się rwie, żeby ją, a człowiek jak kawał flaka, szkoda, Basiuli bym po potem opowiedział, przynajmniej jeden raz, gdzie tam, jeszcze bardziej by ją to podnieciło, szczegółów by chciała, teraz rozumiem dlaczego taka rozpalona, jak wraca od niego, no tak, ze mną, a w myślach jeszcze raz co z tamtym przed niedawnym czasem, a każde wspomnienie, każdy szczegół jak oliwa do ognia, ach ty kurwo! — *Tak! Tak! Mów do mnie „Ty kurwo!”* — *Ty kurwo! Ty apokaliptyczna kurwo!* — *Ach, Karolku, jeszcze nigdy tak przyjemnie z tobą nie było, myślałam, że umrę, że trzęsienie ziemi, jakby jakiś pocisk rozerwał się we mnie. A z tobą? Czy z tobą było to samo?* — I wtedy ja ją w pysk! i bić! bić! i tłuc sukę przeklętą, na miązgę, *ach ty buhaju!* ja jej dam buhaja! żeby jedna rzecz była czysta, święta, gdzie tam! wszędzie ta zgnilizna, jedna rzecz, czy to tak dużo? żeby jak powie kocham, żeby to tylko to znaczyło, czy to tak dużo? człowiek rodzi się w tej kloace, umiera w tej kloace, czy z tobą było tak samo? wtedy ja ją w pysk! rodzi się, umiera, przez jeden nawet moment nie poczuwszy się naprawdę czysty, wszystko zatrute tą zgnilizną, szlachetność? dobroć? piękno? gdzie? niech mi kto pokaże jednego takiego, co by się ośmielił, już ja mu! szmata! mocny w pysku! tylko zastraszyć, uderzyć, zaraz wszystko w nich pęka, rwie się, jedna zasłona spada po drugiej, co zostaje? esencja! śmierdząca, wstrętne esencja! zło! oto człowiek! ecce Homo! człowiek to brzmi dumnie, kurwa, ja bym mu dał dumnie! a do kloaki nie łaska? *przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy cierpicie, czy jak tam, ja was pocieszę, tak ludzi tumanić! tak ich okłamywać! dumnie! nadzieją jakąś pocieszać! dać się pocieszać! bo nikt nie ma odwagi spojrzeć prawdzie w oczy, powąchać samego siebie, przekląć samego siebie, wyrzygać się na to wszystko, sła-beusze! tchórze!* — Kazku, co Karolek bredzi? — Kto bredzi? kto mówi, że bredzi? prawdę komu w oczy po-

wiedzieć, zaraz bredzi, każdy by tylko siebie oszukiwał, in-  
ni to szczury, on nie, on szlachetny! dobry! uczciwy! on  
nie taki jak inni! dawać go tu! już ja mu pokażę jaki on  
dobry, jaki on szlachetny, odechce mu się raz na zawsze  
— Karolku! — Zostaw, Madzia, niech blubra, on tak cały  
czas, jakem tylko go spotkał, to już bredził. — Basiula,  
*i widziałem bestię występującą z morza, mającą siedem  
głów i rogów dziesięć*, ta biedna kurwa, ja wiem, nic na to  
nie poradzi, każdy rodzi się z tym rakiem, dobry, szlachet-  
ny! blubra i sprawa załatwiona, okulary zostały na nosie,  
tak wygodnie, powiedział, że blubra, bredzi, siebie rozgrze-  
szył, to jego nie dotyczy, ja jeden wiem jakie to gówno,  
człowiek, *i widziałem anioła jednego biegnącego przez po-  
środek nieba*, ta stara idiotka leżała krzyżem na podłodze,  
czekała na wniebowstąpienie, *wołającego wielkim głosem:  
biada, biada, biada mieszkającym na ziemi*, i wyciąłem mu  
jaja, wszystkim im tak zrobię, zobaczysz, a tobie twarz  
zmasakruję, kwasem pruskim zeszpecę, zobaczymy do kogo  
wtedy po miłość pójdziesz, kwasem pruskim, żyletką, ja  
cię nauczę, że słów nie wolno tak nadużywać, słowo to jest  
słowo, *na początku było słowo*, nawet już w Biblii, nie  
czytujesz Biblii? *a słowo ciałem się stało*, to ty nie wiesz,  
co to słowo? żyletką ja cię, żebyś wiedziała, że słowo to  
jest słowo, jak mówisz kocham, to ci już nie wolno z inny-  
mi, albo nie mów, że kochasz, to wtedy będziemy wiedzieli  
co i jak, żyletką ja cię, kwasem pruskim — Kazku, ja się  
boję, te jakieś potworności! Co to za człowiek? — Pocze-  
kaj, niech gada, dowiemy się. Karolku, jeszcze kielicha?  
— Czemu nie? Śmieje się, idiota, wódka lepi, cukier krze-  
pi, myśli, że mnie upije, nie dziwię się, że wszyscy na nią  
sobie ostrzą apetyt, ja też, *taka jest potęga złta, że nikt mu  
się nie oprze!* jak pierwszy raz ją zobaczyłem, koniec! cia-  
ło i duszę bym był sprzedał, dobra wódka krzepi. — Bar-  
dzo słusznie, Karolku, może jeszcze? — Niech dolewa,  
twoje zdrowie, Basiula, żeby ciebie zaraza zjadła, gadanie,  
bidulka, płakać się chce, płaczcie, ludy! płaczcie, narody,  
nad losem swoim niezasłużonym! nie, winni są gdzie in-  
dziej, ja wiem gdzie, jeden główny winowajca, ten arcy-  
zbrodniarz, ten arcymorderca, nożem rzeźnickim bym mu  
głowę urznął, tak się mścić na nas, tak się tarzać w swej  
własnej nienawiści, trzeba stąd spływać, wstrętna ta kurwa,  
cycki jej wiszą jak dwa worki, stara bladź, nie chciałyby ja  
wiedzieć, ilu ona już facetów w życiu obsłużyła, *ale przy-  
najmniej nie kłamie!* chyba już sperma w jej żyłach krąży

zamiast krwi, trzeba jej zapłacić, patyka nie odstawiłem, ale nie jej wina, robiła co mogła, zapłacić i do domu, gdzie ja ten portfel, przecież miałem w kieszeni, no gdzie? ukradli! Pani natychmiast odda mój portfel! — Co pan? portfel? — Mój portfel! — Ja sobie wypraszam! Nie jestem złodziejką. Kazku, słyszysz, oskarża mnie o złodziejstwo. Co pan sobie wyobraża, że jestem jakaś zwykła ordynarna kurwa? Mój mąż w Ministerstwie Leśnictwa pracował, był naczelnikiem wydziału, niech pan sobie nie myśli, że ja to już byle co, że wolno na mnie, dlatego tylko, że biedna wdowa, rzucać jakieś oszczerstwa i oskarżenia! — Proszę mi w tej chwili oddać portfel, pani słyszy? Lokal zdemoluję, jak nie, ja im, kurwa, miazgę z niej, *ty buhaju, ty!* no gdzie mój portfel? — Słuchaj, Karolku, przecież nie myślisz chyba, że — A co mam myśleć? — Oddałem ci go po zapłaceniu taksówki. Widocznie potem zgubiłeś. — Nie zgubiłem, tu, w tej kieszeni miałem. Ona ukradła! — Cofnij to słowo! — Nie cofnę! — Zostaw go, Kazku, nie chcę mieć u siebie w domu żadnej awantury. Wyprowadź go stąd czym prędzej! Co za bezczelność! Kto tam znowu? Ach, panie Stefku! A ja nawet nie ubrana! Niech pan oczy zamknie, tylko szlafrok narzucę na siebie. Już dobrze! Cieszę się, że pan przyszedł, bo ten pan, to indywiduum, krzyczy, że mu portfel ukradłam, uczciwą kobietę oskarżyć o taką podłość! — Tak? Co pan? Z uczciwej kobiety złodziejka robi? — Potrzyj go, Stefek, ja mu płaszcz włożę i wysiudamy gościa na zbity pysk! Patrz, co on tu ma! Rewolwer! Jezusie słodki, rewolwer tu ma! — Daj mi go! Więc to tak, he? Bandyta? Uczciwą kobietę o kradzież posądza, a sam bandyta, he? Już ja się z tobą, przyjemniaczku, załatwię. Mało, że ci dupy dała — Impotent, panie Stefku! — Co pani powie? To ją jeszcze o kradzież oskarżasz? Ty skurwysynu, to tak się postępuje z uczciwymi ludźmi? — Niech go pan tak mocno nie bije, panie Stefku. Już mu krew leci z nosa, a ja tak nie znoszę widoku krwi, tyle się na to napatrzyłam w czasie okupacji, teraz już nie mogę, zaraz mnie mdłości — Niech się pani odwróci, pani Madziu, gościowi przecież tego płazem nie puszczę. — Ojej! Wazonik! Potłukł się! Przedwojenny! Gdzie ja teraz taki kupię? — Poskleja się, niech się pani nie martwi. Otwórz drzwi, Kazek, i weź gościa pod rękę. Spokojnie, proszę państwa, nic się nie stało, gość sobie trochę podchmielił, ludzka rzecz. Po co pani dzieci wypuściła z pokoju? Niech pani je stąd zabierze! To nie widok dla

maluczkich. Bardzo państwa przepraszamy za ten maleńki incydencik. Co za ludzie! Otwórz szerzej, Kazek, uważaj, bo nam przez ręce leci. — Stefek, a nie zabiłeś go przypadkiem? — Nie zabiłem, spokojna głowa, facet schlany jak wieprz, takiemu to wszystko jedno, nieszczęście się takiego nie trzyma, stracił przytomność, żeby tylko rzygać teraz nie zaczął. — Co z nim zrobimy? — Pomóż mi go zarzucić na plecy, zaniosę na śmietnisko przy Wodziszewskim, prześpi się do rana, przejdzie mu. Wódka? — Madzia dała. Na dworze zimno, powiada, niech się rozgrzeje. — Popatrz, co za kobieta, gość ją sponiewierał, a ona mu jeszcze tyle serca okazuje. Anioł! Z tym rewolwerem to będzie chyba lepiej, jeśli mu się go z powrotem do kieszeni włoży. Nie wiadomo co za gość, może być chryja. No, to już, zostań, sam doniosę. Wracaj do Madzi. Ja też, jak tylko się tego paskudztwa pozbędę. Widzisz, gnoju, ile to dobroci dla ciebie mamy? Jak my się to tobą opiekujemy? A przecież gardło ci powinienem poderznąć, ale nie zrobię tego, bo serce mam miękkie. Ale w pysk to ode mnie dostaniesz, jak mi Bóg miły, takiego kopniaka dostaniesz w pysk, że ci się będzie wydawało, że ci bomba wodorowa w głowie wybuchła. Na ziemię z tobą, gnoju jeden, i czort z tobą!

.....  
.....O Jezu! ależ głowa, gnaty połamali, co to było? gdzie ja? taksówką jechaliśmy, potem szofer stanął, aha! Madzia! nawet jej nie podymałem, jak mnie głowa boli, kopnął mnie w głowę, tak człowieka sponiewierać! szofer stanął, bo ten, jak mu było? Kazek? krzyknął, że mu nie ufam, butem kopnął w głowę, co za naród, jak tu nie płakać nad takim narodem, Polak Polakowi takie rzeczy, jak bym mu matkę zabił, czy co, nie musiał mnie kopać w głowę, czy mu co zrobiłem? nawet mnie nie znał, nie ufam, nie ufam, a przecież portfel ukradł, i jeszcze zbił i nogą w głowę, O Boże, O Boże Drogi, za co mnie tak? *robotą powinna być czysta, potem taki kaleka pęta się po świecie i robi nam złą markę*, ktoś zobaczy, rozpozna, Wachowiak ich nasłał, niemożliwe, nie mógł wiedzieć gdzie mnie szukać, szli za mną, ten milicjant przecież, czekali gdzieś za rogiem i jak tamci mnie wynieśli, nie, to byli by już wykończyli, Wachowiak by roboty nie partolił, trzeba się stąd ruszyć, bo oni tu jeszcze gdzieś, żadnych papierkowych ce-regieli, zamordują na odludziu, ciało wrzucą gdzieś do rowu, do gnojówki, bez dokumentów, nikt nie będzie mógł rozpoznać, zidentyfikować, rano dzieci znajdą, jak będą szły

do szkoły, ja do niego z otwartym sercem, jak do księdza, a on zbirów na mnie nasyła, nikomu nie można dowierzać, zamordują w ciemnościach jak ostatniego zoczyfcę, żebym nie odwołał zeznań, żeby prawda, moja biedna głowa, na wierzch nie wyszła, *Karolek nam powie, nie? Karolek znowu nie nauczył się lekcji, a może Karolek już za dziewczynkami?* jak mnie gnaty bolą, czy musiał mnie kopać w głowę? i za co? za co? ludzie! powiedzcie, za co? czy ja nie człowiek? nie Polak? przecież ci nic, człowieku, nie zrobiłem, więc za co? wódka? zbijają, skopią, a do kieszeni wsadzą butelkę wódki, więc nie Wachowiak, ale on gdzieś tu, tylko im się pokazać, wykończą, zakopią gdzieś na odludziu, wódki dała, gołębie serce, nawet jej nie pojebałem, ładna, piersiasta, a ja lubię takie, z piersiami, i nic, nie mogłem, taką okazję przepuścić, a potem w pysk! i w oczy bym pluł! i bił! bił! *widzisz, głuptasku, nie można się było wcześniej domyśleć?* palta mi nie gwizdnęli, trzeba uchościć, któraż to? ukradli zegarek, a teczka? przecież miałem jeszcze teczkę, gdzie teczka? Jezu Chryste, gdzie teczka? O Chryste Panie, moja teczka! O Matko Boska, ukradli teczkę, dokumenty, nazwiska, mogłem udowodnić, rozkazy, w niepowołane ręce, teraz już zamordują bez sądu, poćwiartują, psom rzucą na pożarcie, *ja was przez maszynkę do mięsa przepuszczę, ja was w chemikaliach rozpuszczę, ja was, zegarek też, gdzie ja teraz taki zegarek? szwajcarski, teczka wpadnie w niepowołane ręce, podły naród, butelką wódki sumienie uśmierzył i myśli, ja was, ja was, na haku rzeźnickim, oni gdzieś tu czatują, noże ostrzą, krew? zęby? nie, ale gęba spuchła, trzeba gdzieś przemyć, nóg nie połamali, gdzie iść? do kogo? powiedzcie, ludzie, do kogo? kto się za mną ujmie? bili, chcieli, żebym się przyznał, a ja nie, jestem niewinny! śmiali się, przyprowadźcie świadków, pokażcie dowody! a przedtem teczkę ukradli, żebym nie miał czym się bronić, żeby nikogo z nich nie skompromitować, ja już nie człowiek, czy ja już nie człowiek? żeby przynajmniej było wiadomo gdzie prowadzi ta, oni tu gdzieś na mnie, *to on po nogach, lece, to on za mną i tym batem i tymi przekleństwami, aż powietrze wilo się od tej nienawiści, złości, od tych plugastw, i zamieniło się w milion kłuszących żmij, a on nic, tylko bił, tak bił, że Matko Przenajświętsza, czekają i noże ostrzą, o Jezu, znowu się przewróciłem, ja już dzisiaj nigdzie nie, oprzeć się gdzieś, palta nie ukradli, napiję się, gołębie serce, dupy ci dała a ty ją,* kiedy ja wcale, nawet by mi do głowy*

nie przyszło, na ołtarzu ją stawiałem, boginię z niej zrobiłem, a ona z tym profesorem, a jak wieczorem go szukali po parku, to ryczał jak świnia w szlachtuzie, a ona cały czas z nim, i tak popiskiwała i śmiała się i podskakiwała mu na kolanach, a to bydlę sapąło, pociło się, Chryste Panie, ja nigdy jednej chwili spokoju w życiu nie miałem, wtedy nad rzeką, a jak zaczął bić, to myślałem, że Matko Przenajświętsza, jednej chwili, już nawet nie o to chodzi, żeby być szczęśliwym, mnie na to nikt nie nabierze, ja go znam, skurwysyna, ja go przejrzałem, ale żeby choć jedna chwila spokoju, tak się mścić? to Bóg tak robi? tak? ja ci tu zaraz, pani! dokąd prowadzi ta ulica? pani! nawet się nie oglądnie, co ją to, człowiek nieszczęśliwy, od takiego jak najdalej, czy ja już nie człowiek? panie, bądź pan człowiekiem, dokąd prowadzi ta droga? nie słyszą, co kogo obchodzi pijany pod murem, ale dlaczego? he? dlaczego? tego się nikt nie zapyta, pijany, ot, bredzi, niech bredzi, pani! niech pani wysłucha nieszczęśliwego człowieka, spowiadam się Bogu Ojcu Wszechmogącemu, *my polską klasę robotniczą respektu uczyliśmy dla Władzy Ludowej*, że ojca mojego własnego zamknąłem w domu dla wariatów, musiałem, proszę księdza, chciał oddać legitymację, *a ile razy, synku? sam, czy z kimś drugim?* Srokosza zakatrupili w więzieniu, takiego człowieka! ze mną chcieli to samo, zgon z przyczyn naturalnych, serce nawaliło, wątroba pękła, ale nie zdążyli, wywinąłem im się z rąk, ale ojciec żyje, *a raz, proszę księdza, to nawet w kościele pod chórem w czasie niezporów*, a mogłem go wsadzić do mamra i wykończyć, nie mogłem? czy to się już nie liczy? *ile razy, synku? ile razy?* co się pani śmieje? z nieszczęśliwego człowieka się pani śmieje? pani nie wie na jakim pani świecie żyje, ja wiem, ja go przejrzałem, na mszy świętej trzeba było, podczas podniesienia, spowiadam się Bogu Ojcu Wszechmogącemu, ja grzesznik, że większego ziemia nie nosiła, spowiadam się Bogu Ojcu Wszechmogącemu, że ojca mojego rodzonego wsadziłem, czego się pani śmieje? niech pani posłucha dalej, dlaczego pani odchodzi? boi się, boi się mnie! śmiechu warte, proszę pana, raz kozie śmierć, gdyby kózka nie skakała, teraz na mnie kolej, to by nózki nie złamała, ja, proszę Wysokiego Sądu, stojąc tu w obliczu historii oświadczam uroczyście, bardzo uroczyście oświadczam, że niewinnego człowieka, *niewinność jest zawsze podejrzana, zawsze warto w niej pogrzebać i zwykle okazuje się, że trud nie był daremny*, fotografię jego nosiła w to-

rebce, to nie dowód? przez tyle lat! ale jej powiedziałem, powiedziałem jej, nie powiedziałem jej, że się z nim porachuję, nie powiedziałem? *komedia, którą musicie*, komu wy oczy chcecie mydlić? ja na rewolucji zęby zjadłem, zapytajcie się ludzi, *nie zostawiliście mu żadnej instancji, do której mógłby zabiegać o wstawiennictwo, o sprawiedliwość, skazaliście go na bezcelowe szamotanie się z samym sobą*, kłamstwo, wybiegi, bo nikt nie ma odwagi prawdzie spojrzeć w oczy, tak, tak! ojciec też, aby się tylko ludzić, nie pozwolić żeby łuski spadły z oczu, apokalityczny strach przed prawdą, tchórze! szczury! krety! aby nie myśleć! ale ja wam te łuski zedrę, ja wam pokażę całą ohydę — *W dniu wczorajszym jedna z urogich nam rozgłośni zagranicznych rozpoczęła serię audycji demaskujących tak zwane zbrodnie bezpieki*. Audycje są oparte na dokumentach, które w tajemniczy sposób zniknęły z waszego biura. Wytlumaczcie nam to, towarzyszu Ostuda. — Nie moja wina. Nigdy ich z biura nie zabierałem. Przysięgam. — Towarzyszu Hibisz, powiedzcie jak było. — Miał przy sobie teczkę z tymi dokumentami i odgrażał się, że mógłby zaszkodzić wielu towarzyszom wysoko postawionym w hierarchii partyjnej. Zresztą, całą rozmowę nagrałem na taśmę magnetofonową, więc jeśli towarzysze sędziowie pozwolą — *Wszystko wyreżyserowali, skurwysyny, nawet taśmę magnetofonową, gdyby był jeden sprawiedliwy, nie, to też wybieg, gdyby, gdyby, zawsze jakieś gdyby, nagrał na taśmę, udławcie się swoją taśmą, ja i tak co mam do powiedzenia, to powiem, krzyknę na cały świat, tylko Boga przeklinać za to, że świat stworzył*, tak! tak! właśnie przeklinać, w twarz mu splunąć, nożem rzeźnickim gardło mu poderznąć, że tę ohydłą kloakę, to gnojowisko, ten ten, Chryste Panie, słów na to nie ma w ludzkim języku, *i wam na pastwę oddał*, nie, nie że nam oddał, to byłoby łatwo, jeszcze jeden sposób, żeby zrzucić z siebie odpowiedzialność, żeby się wymigać od obowiązku zniszczenia, przewróciłem się, trzeba go ukarać, że śmiał tę kloakę z zemsty, w głowę się uderzyłem, panie drogi, niech pan pomoże biednemu człowiekowi podnieść się z ziemi, niech pan pomoże, rękę poda, okaże gest przyjaźni, panie, bądź pan człowiekiem! tę kloakę stworzyć, nas wszystkich na swoje własne podobieństwo, żeby z nim dzielić jego winę, panie, pomóż pan, panie, bądź pan człowiekiem! — Ależ z pana jedzie woda, no! no! — Zostaw go, niech leży, schlał się, bydlę, niech leży. — Panie, bądź pan człowiekiem! — Trzeba mu pomóc, przecież — Zos-

taw pan. Ja go od kilku minut tu obserwuję, bredzi coś, trudno się połapać, w mózgu mu się wszystko rozprzęgło. W życiu nie widziałem nikogo tak spinego. Aż dziw, że mu serce nie trzaśnie. Niech leży, lepiej nie ruszać, serce może mu nawalić, potem się pana będą czepiać. — Najlepiej byłoby zawezwać milicjanta, niech by go zabrał na izbę wytrzeźwień. — Milicja? Nie! nie pozwolę, *i widziałem bestię występującą z morza, mającą siedem głów i rogów dziesięć*, ale ja nie pozwolę, ja wam jeszcze, *siedem głów i rogów dziesięć*, ja wam te łuski — Patrz pan, podniósł się jednak. Jak mogą ludzie do tego stopnia się zbydlęcić? Przecież znów się przewróci, zobaczysz pan. — Ktoś już poszedł po milicję. Powinni takich wysyłać na przymusowe leczenie. — Na leczenie, ja wam dam leczenie, zbił, skopał, krzyknę na cały świat, ja wam te łuski — Panowie, uważajcie, ma rewolwer! Cofnijmy się, bo jeszcze gotów — Nareszcie milicja! — Ze tę kloakę śmiał, że tak się mści za zło, które w własnym sercu, i krzyknę na cały świat — Ale draka, no! no! — Nie mów pan draka, bo facet pociągnie za spust i któryś z nas fiknie koziołka. Czego ten milicjant tak się tam guzdrze? — Pistolet wyjmuję z kabury. — A ja zawsze myślałem, że oni tam wódkę noszą. — Przeklinać, w twarz mu pluć, w własnej duszy tyle zła zobaczył, bo w własnej duszy, to zaraz żeby to z nim dzielić, na obraz i podobieństwo swoje, żeby z nim dzielił to zło i anioła wielkiego widziałem lecącego przez pośrodek nieba a miał siedem głów i rogów dziesięć, krzyczącego wielkim głosem: biada! biada! — Patrz pan, co ten pijany robi! Co on? Na ulicy będzie strzelał do ludzi! Jeszcze kogo zabije! — Już mu teraz ten milicjant dosoli, spokojna pańska szanowna głowa, już mu teraz ten milicjant — Ale draka, co? — Cyrk, panie, cyrk!

Czerwiec 1964 - sierpień 1965.  
Reading.



ACHEVÉ D'IMPRIMER  
LE 15 AVRIL 1982  
PAR L'IMPRIMERIE  
DE LA MANUTENTION  
A MAYENNE

N° 7790

Dar  
Biblioteka Polska  
Paryż

